



Kristin Hardy

Słodkie walentynki

Tytuł oryginału: Vermont Valentine



Prolog

Vermont, listopad 2005

- Co miałbym zrobić?! - Jacob Trask spojrział ze zdumieniem na Kelly, młodziutką kasjerkę, którą zatrudniał w swoim sklepie z pamiątkami.

Kelly odchrząknęła i odgarnęła za ucho płowy kosmyk.

- Nasza drużyna cheerleaderek zakwalifikowała się na krajowe mistrzostwa w lutym, ale nie mamy pieniędzy na wyjazd. Dlatego potrzebna nam pańska pomoc.

Jacob odetchnął z ulgą.

- Myślę, że to żaden problem... - zaczął, sięgając po portfel.

- Nie, ja nie proszę o pieniądze. Tylko o... - Kelly stropiła się... - Oglądał pan może taki program na kablówce, w którym pięciu stylistów bierze nieciekawego poczciwca i robi go na bóstwo?

- Nie. - Nadał nic nie rozumiał.

- Chcemy przygotować lokalną wersję. Zgłosimy aż pięciu kandydatów i poprosimy mieszkańców Eastmont, żeby wpłacali pieniądze na tego, którego chcieliby zobaczyć w tym programie.

- A gdzie tu moja rola? - zapytał.
- Chcemy, żeby to pan wystąpił w finale.
- Jako ten nieciekawy pocziwiec... - Jacob znacząco zawiesił głos.

Kelly zaczerwieniła się aż po korzonki płowych włosów.

- Hm, nie, pan jest super. Nam chodzi tylko o to, że potrzebny jest ktoś, kto po tych wszystkich zabiegach będzie wyglądał zupełnie inaczej. - Wskazała na jego gęstą brodę i długi czarny kucyk. - Nasza gazeta obiecała zamieścić na pierwszej stronie zdjęcia „przed” i „po” zwycięzcy.

Tego mu tylko brakowało, pomyślał, żeby stać się pośmiewiskiem całego miasta.

Kelly tymczasem mówiła dalej, i to najwyraźniej z coraz większym zapalem.

- Chcemy ustawić skarbonki ze zdjęciami kandydatów we wszystkich sklepach w Eastmont, a w Nowy Rok policzymy pieniądze i ogłosimy zwycięzcę.

Fantastycznie, uznał w duchu, po czym zapytał:

- A kiedy odbędzie się przedstawienie?

- Tydzień później. Niech pan się nie denerwuje, bo mamy umówione profesjonalne stylistki, więc będzie pan w dobrych rękach. Chodzi tylko o pański czas.

Czas, rzecz bezcenna. Niespełna rok temu, po śmierci ojca, przejął plantację klonów cukrowych i teraz liczyła się każda godzina i każdy grosz.

- Nie sądzę... - zaczął niepewnie.

- Tak bardzo chciałobyśmy pojechać na te mistrzostwa. -

Kelly spojrzała na niego błagalnie. - A to jedyny sposób na zdobycie pieniędzy, jaki nam przyszedł do głowy. Nie pomoże nam pan? Proszę!

Zerknęła przez ramię. Zza lady matka Jacoba, Molly Trask, spoglądała na syna, kiwając głową.

- A nie mógłbym po prostu ofiarować stu dolarów? - bronił się Jacob.

- Och, jeżeli się pan zgodzi, możemy zebrać znacznie więcej - przekonywała Kelly. - Przeprowadziłyśmy ankietę wśród miejscowych sklepikarzy, żeby sprawdzić, kogo chcieliby oglądać w tym programie, i pana nazwisko padało najczęściej. Zdobędzie pan mnóstwo głosów, a dla nas dużo pieniędzy, naprawdę.

Mógł sobie wyobrazić, jaką zabawę będą mieli sąsiedzi.

- Moim zdaniem, to świetny pomysł - odezwała się nagle Molly. - To już piętnaście lat, odkąd po raz ostatni dane mi było oglądać twoją twarz, Jacobie. Będzie to więc miła odmiana.

Rzecz w tym, że on nie potrzebował miłej odmiany. Czego chciał, to świętego spokoju, bo uważał, że dobrze jest tak, jak jest. Nie życzył sobie żadnych dodatkowych stresów.

Rozdział 1

Vermont, styczeń 2006

Celie Favreau przeczesała palcami krótkie ciemne loki. Drzewa, drzewa i jeszcze raz drzewa: buki, jesiony, a tu i ówdzie zieleń sosen. I oczywiście, jak okiem sięgnąć, klony cukrowe, symbol stanu Vermont. Celie uwielbiała klony i żałowała, że nie przyjechała tu jesienią. Miałaby wtedy okazję podziwiać słynną feerię kolorów zamiast monotonnych brązów i bieli uśpionego zimowego krajobrazu. Chociaż pod koniec stycznia w drzewach zaczynały już zbierać żywotne soki - zwiastuny wiosny.

Wiosny, która niosła z sobą widmo zagrożenia.

Marszcząc brwi, spojrzała na mapę. Kiedy zdecydowała się opuścić Montreal i podjąć pracę w leśnictwie, zrobiła to z miłości do otwartych przestrzeni. W ciągu minionych czterech lat wciąż była w ruchu. Nie uważała tego jednak za uciążliwość, bo lubiła odmianę, a nie znosiła rutyny.

Szyld na mijanym budynku „Jadło i czytało” rozśmieszył ją do tego stopnia, że postanowiła zajrzeć do środka. Może przy okazji dowie się, jak dotrzeć do instytutu. Gdy

otworzyła drzwi, uderzyła ją fala ciepłego powietrza. Po lewej stronie, za ladą, mieścił się punkt sprzedaży. Na betonowej posadzce stały palety z nasionami i paszą. Natomiast po prawej ręce znajdował się przytulny kącik z półkami i fotelikami. Na widok obcej osoby stojący za kontuarem łysy mężczyzna przestał się uśmiechać i skinął głową.

- Dzień dobry - zagaiła Celie. - Ładnie tu u pana. Mężczyzna odchrząknął.

- Czy to Eastmont? - zapytała, podchodząc do półki z kryminałami.

- Tak przynajmniej było, kiedy ostatnio sprawdzałem. Pani nie jest stąd, prawda? Mówi pani tak dziwnie.

Rzeczywiście, nawet po tylu latach w jej wymowie wciąż dało się wyczuć cień francuskiego akcentu.

- Pochodzę z Kanady. Z Montrealu.

- Ach tak. Byliśmy tam z żoną dwadzieścia lat temu w rocznicę ślubu. Ładne miasto, zwłaszcza stara część.

- Moi rodzice mają księgarnię na starówce.

- Co pani powie? Jak tylko pani weszła, pomyślałem sobie, że wygląda pani na kogoś, kto lubi książki.

Nie mogła mu powiedzieć, że wyjechała, bo dusiła się w księgarni. Wzięła z półki kryminał i podeszła do lady.

- Co lepiej się sprzedaje? Jadło czy czytało?

- Pewnie się pani zdziwi, ale ludzie często sięgają po książkę, a zwłaszcza w zimie. Mamy tu klienta, który kupuje ich tyle, że sam nie wiem, jakim cudem znajduje jeszcze czas na wyrób cukru. - Przesunął książkę nad czytnikiem kodów.

- Może chce się doksztalić?

- Myślę, że Jacob uważa się za wystarczająco wykształconego. Płaci pani sześć dolarów, dwadzieścia pięć centów

- dodał, wrzucając książkę do papierowej torby.

Celie podała mu banknot dwudziestodolarowy.

- Szukam Instytutu Badawczego Klonów Cukrowych. Czy to gdzieś w pobliżu?

- Owszem, dosyć.

- A jak blisko? Sprzedawca zastanowił się.

- Parę kilometrów stąd, prosto jak strzelił.

- Jest jakaś szansa, żeby się tam dostać? - zapytała, sięgając po resztę.

Mężczyzna oparł się o ladę.

- Musi pani poszukać Bixley Road. Skreśli pani w prawo i dojedzie aż do tablicy „Farma Traska”. Stamtąd, druga ulica po lewej, to będzie Bixley Road. Pojedzie pani pod górę, minie jakieś trzy przecznice i wtedy zobaczy pani drogowskaz do instytutu. Jeżeli spostrzeże pani most, to będzie znaczyło, że zajęła pani za daleko.

- Dziękuję uprzejmie - powiedziała Celie.

- Pani pracuje w instytucie?

- To zależy.

- Od czego? Uśmiechnęła się.

- Od tego, czy go znajdę.

- Jacobie, kto by pomyślał, że pod tą chyłą ukrywa się taki przystojniak - powitała go Muriel Anderson, sympatyczna sprzedawczyni w sklepie rolniczym. - Ledwie cię poznałam. Widzę, że te dziewczyny z Eastmont nareszcie zrobiły z tobą porządek.

„Te dziewczyny z Eastmont” strzygły go, czesały i pacykowały aż do granic wytrzymałości. Gdy wreszcie skończyły, poczuł się nagi i śmieszny. Patrząc w lustrze na swoją świeżo ogoloną twarz, zaczął gorączkowo liczyć, ile musi

potrwać, zanim włosy znów mu odrosną.

Brodę zapuścił w wieku dwudziestu lat, więc po jej zgoleniu z trudem rozpoznał sam siebie. Od tamtego czasu twarz stała się bardziej kanciasta, podbródek kwadratowy, a kości policzkowe wystające. Była to niemal obca twarz, na pewno nie ta, którą zapamiętał.

Nie wziął pod uwagę tego, że w odrastającej na nowo, czarnej brodzie, zobaczy tu i ówdzie siwe nitki. A skoro na głowie nie miał jeszcze siwych włosów, po co mu te w brodzie? Mężczyzna ma w końcu prawo do odrobiny próżności, prawda? Tak więc będzie musiał pożegnać się z brodą. Może lepiej nie, pomyślał niepewnie, stawiając na ladzie dwudziestokilowy worek z nawozem.

- Słyszałeś, że w stanie Nowy Jork znaleźli kilka zaatakowanych klonów*? - zapytała Muriel, wypisując mu fakturę. - Musieli wyciąć ponad czterysta dorodnych drzew w samym sercu plantacji.

Ponad czterysta drzew? Prawie dziesięć akrów**, może nawet więcej. Dla niego oznaczałoby to finansowy krach, którego skutki odczuwałby przez całe lata.

- Czy to pewne?

- Wiem to od Toma Bollingera, a jemu można wierzyć. - Muriel potrząsnęła głową. - Powinieneś spędzać mniej czasu nad książkami, a więcej w sklepie Raya, rozmawiając z ludźmi. Można od nich usłyszeć wiele bardzo przydatnych informacji.

- Wolę usłyszeć je od ciebie.

* *Mowa o *Glycobius speciosus*, chrząszczy żerującym na klonach cukrowych*

** *akr - 0,4 hektara*

- Och, ty! - Muriel pokręciła głową. - Łatwiej porozmawiać, niż później machać siekierą.

Jednak Jacobowi trudniej było rozmawiać, chyba że z nielicznymi osobami, do których zaliczał Muriel.

- Z tego co słyszałam, jest się czym martwić - ciągnęła Muriel. - Ludzie z instytutu byli niedawno u Willoughbyego i oglądali jego drzewa.

Jacob zdrętwiał. Plantacja Willoughbyego sąsiadowała z jego własną. Widmo zarazy podziało na niego jak zimny prysznic.

- Czy jego drzewa są chore?

- Nie wiadomo. Pobrali próbki i zapowiedzieli, że jeszcze wrócą.

Jacob z roztargnieniem wepchnął resztę pieniędzy do kieszeni.

- Gdybyś go widziała, powiedz mu, że trzymam za niego kciuki.

- Sam mu to powiedz na jutrzejszym zebraniu plantatorów. Powinieneś bywać na takich spotkaniach - podkreśliła.

- Ale ja bywam, Muriel.

- Powinieneś porozmawiać z ludźmi, a nie tylko przesiedzieć cały wieczór. W ten sposób niczego się nie nauczysz.

Jacob pomyślał, że właśnie tak nauczył się tego, co było mu potrzebne. A także z pomocą Internetu. Uważał, że pyłowanie o wszystkim i o niczym w nadziei, że człowiek dowie się czegoś więcej, to strata czasu.

Po przejechaniu kilku kilometrów Celie zaczęła się zastanawiać, czy aby nie przeoczyła skrętu. Nie dlatego, żeby miała trudności z rozróżnianiem kierunków, tylko dlatego, że określenie „ulica” nie było w tej okolicy jednoznaczne.

W jej pojęciu oznaczało jezdnię z chodnikiem, opatrzoną tabliczką z nazwą. Tymczasem minęła kilka przecznic, które wyglądały raczej jak drogi dojazdowe na plantacje albo podjazdy do domu.

Po namyśle doszła do wniosku, że musiała już dotrzeć do Bixley Road. Skoro nie natknęła się na most, dawno powinna była znaleźć siedzibę instytutu. Czyżby źle skręciła? Może, ale mogła także być już całkiem blisko, bo droga wiodła wśród równych rzędów klonów, a instytut znajdował się w środku plantacji.

Jadąc, machinalnie lustrowała wzrokiem drzewa i nagle zobaczyła coś, co kazało jej zatrzymać samochód na skraju drogi. Zmiany były ledwie dostrzegalne gołym okiem; drobne prążkowania na pniu, lekkie zgrubienie u podstawy. Mimo to w jej głowie rozległ się dzwonek alarmowy. Postanowiła przyjrzeć się temu bliżej, modląc się w duchu, żeby się pomyliła.

Bez zastanowienia zgasła silnik. Drzewa są ważniejsze od tego, o której zjawi się w instytucie. Zresztą była już o tyle spóźniona, że nie miało to większego znaczenia. To zaś, tutaj, ma ogromne znaczenie.

Wzięła przybornik, wysiadła z wozu i zaczęła się cofać równoległe do drogi. Krążąc pomiędzy drzewami, oceniła ich grubość na jakieś czterdzieści centymetrów. Wyrośnięty, zadbane zagajnik, z nielicznymi okazami innego gatunku. Niestety, wszystko zdawało się wskazywać na to, że przybędzie do instytutu z niemiłą wiadomością, że coś złego dzieje się na ich plantacji.

Uklękła, aby obejrzeć drzewo, a potem drugie. Z bliska trudniej było zidentyfikować to, które wcześniej przykuło jej uwagę. Musiała sprawdzić z tuzin, zanim je znalazła. Skulona na śniegu, nie zwracała uwagi ani na przejeżdżające

pojazdy, ani na zimno, tylko w skupieniu oglądała pień przez lupę.

Spostrzegła małe otworki, ale nie te charakterystyczne, okrągłe, tylko bardziej nieregularne. Czy to dzieło szkodnika, czy po prostu normalne nieregularności kory? Wyjęła cieniutką metalową szpatułkę i z głębi otworu wyskrobała ciemną grudkowatą substancję. Spróchniała kora? A może grzyb przenoszony przez chrząszcza? Roztarła odrobinę w palcach, po czym wrzuciła szpatułkę do szklanej probówki. Analiza laboratoryjna wykaże, co to takiego.

Gromkie ujadanie psa przeraziło ją tak, że podskoczyła, upuszczając fiolkę. Odwróciła się i zobaczyła mężczyznę w baranym kożusku, z czarnymi włosami do ramion i wielkim czarnym psem u nogi. Musiał mierzyć ponad metr osiemdziesiąt, a bary miał jak atleta. Ciemny kilkudniowy zarost pokrywał policzki nieznanego. Wpatrywał się w Celie niewiarygodnie niebieskimi oczami, wyraźnie zirytowany. - Może mi pani powiedzieć, co pani tu robi?

Najwięcej intruzów Jacob spotykał jesienią, kiedy masowo przybywali amatorzy barwnych liści. Ludziom wydaje się, że jeśli nie ma płotów, mogą swobodnie chodzić po całej plantacji. Nie rozumieją, że deptają ziemię, gniotą korzenie i, ogólnie rzecz biorąc, są zagrożeniem dla drzew.

Odrapana furgonetka miała tablice spoza tego stanu. Zaś intruz, skulony pod drzewem, nie oglądał pnia, tylko przy nim majstrował. Ruszył więc w jego stronę z zamiarem wyrzucenia go z plantacji. Gdy podszedł bliżej, okazało się, że to kobieta. Skrzat o żywych oczach i ciemnych lokach.

Murphy zaszczeakał raz jeszcze, lecz gdy nieznojoma przemówiła do niego i podrapała go za uszami, zamerdał ogonem. Podły zdrajca! A potem przewrócił się na grzbiet i zaczął przebierać łapami. Co za brak godności!

Zresztą, może i on sam by uległ nieznojomej, gdyby go tak pieściła?

- Przepraszam. - Kobieta uśmiechnęła się rozbrajająco do Jacoba. - Myślałam, że te tereny należą do instytutu. - Szybko poskładała narzędzia i zamknęła przybornik.

Profesjonalny zestaw, pomyślał Jacob, marszcząc brwi.

- Kim pani jest? - zapytał. - I co pani robiła?

- Ja tylko oglądałam drzewa. - Ująwszy się pod boki, spojrziała w górę. - Ale z pana wielkolud!

Patrząc na nią, pomyślał, że określenie „skrzat” było trafne. Była od niego znacznie niższa i drobna. Policzki miała zarumienione od chłodu i bystre ciemne oczy. Nachyliła się, aby raz jeszcze poklepać psa.

- Tak czy inaczej, przepraszam. Nie wtargnęłam umyślnie na pańską posiadłość. Interesuję się drzewami i czasami zatrzymuję się, żeby je obejrzeć. Już schodzę panu z oczu.

Podeszła do czerwonej furgonetki i wsiadła, zanim się zorientował, że zamierza odjechać. Zniknęła i gdyby nie ślady drobnych stóp na śniegu, nie byłoby żadnych dowodów na to, że kiedykolwiek tu była.

Jak to możliwe, że tak przystojny mężczyzna chodzi sobie po lasach i straszy kobiety? - zastanawiała się Celie, odjeżdżając w pośpiechu. Co gorsza, przyłapał ją na swojej ziemi. Postąpiła wbrew przepisom oraz regulaminowi, którym szef uwielbiał wymachiwać jej przed nosem. „Przed wejściem na czyjś teren należy uzyskać pozwolenie właści-

ciela. Wszelka samowola, nawet w najlepszych intencjach, jest niedozwolona". Gavin Masterson będzie miał swój wielki dzień, kiedy się o tym dowie.

Oby właściciel tej plantacji machnął ręką na incydent. Z drugiej strony, co jej może grozić? Najwyżej przeniosą ją dyscyplinarnie w jakieś inne miejsce, a ona lubi zmiany.

- Nareszcie! - mruknęła na widok tablicy z napisem „Instytut Badawczy Klonu Cukrowego”.

Instytut mieścił się w brzydkim budynku z brązowym dachem. Z tyłu wylaniał się komin cukrowni. Wokół, jak okiem sięgnąć, rosły szpalery różnorodnych odmian klonu.

Gdy weszła do środka, drogę zagroziła jej barierka z bramką i dzwonkiem. Chcąc przejść dalej, należało zadzwonić albo po prostu zawołać. W głównej hali Celie zauważyła kilka wydzielonych boksów, a także drzwi do poszczególnych gabinetów. Część drzwi była otwarta. Sączyło się przez nie blade zimowe słońce. Siwy, brodaty mężczyzna we flanelowej koszuli i dżinsach stał przy kserokopiarce. Kiedy spojrzał w stronę Celie, światło odbiło się od jego okularów w złotych oprawkach.

- W czym mogę pomóc?

- Szukam Boba Forda.

- Właśnie go znalazłaś. - Zgarnął papiery. - Ty jesteś Celie?

Pokiwała głową.

- Przepraszam za spóźnienie, ale nie mogłam trafić.

- Wcale mnie to nie dziwi. Będziemy musieli przygotować nową mapę. Wejdz. - Gdy podeszła, wyciągnął rękę. - Miło mi cię poznać. Zapraszam do gabinetu.

Na końcu hali skręcili i weszli do pokoju. Za oknami rozpościerała się plantacja klonów cukrowych.

- Niezły widok!

- Zajmuję narożny gabinet. To zalety bycia szefem. - Ford uśmiechnął się i wskazał jej fotel dla interesantów.

- Jest tu naprawdę pięknie - zachwyciła się Celie.

- Też tak uważam. Boję się jednak, że nie na długo, jeżeli ten twój chrząszcz zaatakuje.

Jej chrząszcz... Celie zainteresowała się tym groźnym owadem już w podstawówce, przerażona ogromem spustoszeń, jakich dokonywał w lasach Azji. Zwalczenie go stało się nie tylko tematem jej doktoratu, ale również jej posłannictwem. Gdy zaczął zagrażać lasom na północy Stanów Zjednoczonych, ona i jej asystent, Jack Benchley, zostali zaproszeni jako doradcy naukowi na konferencję, na której miano ustalić strategię działania. Tam też została mianowana szefem kompleksowego programu likwidacji szkodnika. Od tamtej pory jej nazwisko zaczęto kojarzyć z nazwą tego coraz groźniejszego owada.

- Myślisz, że udało wam się opanować sytuację na terenie stanu Nowy Jork?

- Wycięliśmy sporo drzew - odparła po namyśle. - Ale czy to pomoże? Nie wiem. Myślę, że na swój sposób jesteśmy równie szkodliwi jak te chrząszcze.

- Wy nie niszczyście drzew dla samego niszczenia - zauważył Ford.

- One też nie. Dla nich to kwestia przeżycia. A wracając do rzeczy, czy tutejsi producenci cukru wiedzą, że odkryliście ślady żerowania chrząszczy?

- Przeprowadziliśmy kilka kontroli, ale jeszcze nic im nie mówiłem. Myślę, że najpierw powinnaś się rozejrzeć. Jutro wieczorem odbędzie się zebranie okolicznych plantatorów. Będziesz mogła przekazać im informacje i powiedzieć, czego mogą się spodziewać.

- Jak coś będę wiedziała, dam ci znać.

Przez otwarte drzwi napłynął gwar. Ford wyrzwał do głównej sali.

- Mamy tu... urzędnika z Wydziału Leśnictwa Stanu Vermont, który nadzoruje projekt.

Celie zachnęła się.

- To program federalny i to ja sprawuję nad nim nadzór.

- Ale nie na terenie mojego stanu! - odezwał się poirytowany głos.

Nie musiała się odwracać, żeby wiedzieć kto to. Dick Rumson, naczelnik Urzędu Ochrony Zasobów Leśnych Vermont. Zakompleksiony niedouk, rządził ludźmi o znacznie wyższych kwalifikacjach, piastując stanowisko, które dostał dzięki koneksjom politycznym. Na konferencji, poświęconej zwalczaniu szkodnika, uporczywie torpedował wnioski Celie oraz Benchleya. Na szczęście dysponowali dowodami na poparcie swoich teorii, podczas gdy on ograniczył się wyłącznie do pogroźek. Koniec końców, ona i Benchley zdobyli wszystkie głosy, i tylko Rumson się wstrzymał. Zacięta mina świadczyła dobitnie o tym, że wcale nie pogodził się z przegraną.

- Dick - powitała go Celie, jakby nigdy nic, wyciągając rękę - miło znów cię zobaczyć.

Rumson potraktował ją jak powietrze.

- Myślę, że załatwimy to między sobą - rzucił szorstko, patrząc na Boba Forda. - Nie potrzebujemy tutaj ludzi nasłanych przez władze federalne.

- Jeszcze za wcześnie na takie wnioski - orzekła Celie. - Pracownicy instytutu mają podstawy do obaw. - Tylko spokój, nakazała sobie w duchu. To jedyna metoda, aby do niego dotrzeć. On nie jest groźny, tylko irytujący. Załatwienie

czegokolwiek z Rumsonem będzie trudne i zajmie dwa razy tyle czasu, ale koniec końców się uda. - Będę mogła powiedzieć coś więcej o tutejszej sytuacji po dokonaniu inspekcji.

- Przeprowadziliśmy już inspekcję i nic nie znaleźliśmy, więc szkoda twojego czasu.

- Ależ Dick - wtrącił się Ford - wiesz dobrze, że znaleźliśmy. ..

- Wy, uczeni, lubicie wyciągać pochopne wnioski - rzekł z przekąsem Rumson. - Mam tutaj zespół doświadczonych leśników i niczego nie znaleźliśmy.

- Naprawdę? - Celie wyjęła z kieszeni szklaną fiolkę. - Może wobec tego wyjaśnisz mi, co to jest?

Rumson zmarszczył brwi.

- A co to jest?

- Próbką pobrana z otworu w korze. Rumson prychnął pogardliwie.

- To kora.

- Przyjrzyj się z bliska. Ten zielonkawy proszek to może być roznoszony przez szkodnika grzyb.

- Albo sproszkowana kora.

- Chcesz pójść ze mną do laboratorium, żeby to dokładnie sprawdzić?

- Nie mam czasu na takie bzdury - rzucił Rumson, czując, że traci grunt pod nogami.

- Skoro tak, z przyjemnością powiadomię cię o wynikach - zapewniła go Celie. - Nie robię tego dla zabawy, Dick. Jeżeli jest już w waszych lasach, musimy go jak najszybciej znaleźć i zacząć działać. Chyba że nie zależy wam na dalszym rozwoju przemysłu cukrowniczego oraz dochodach z turystów, którzy przyjeżdżają tu jesienią, aby oglądać klony. Jak myślisz, ile to będzie milionów dolarów?

Rumson poczerwieniał ze złości.

- Nie wyobrażaj sobie, że możesz tak po prostu zacząć wy-cinkę. Skąd mogę wiedzieć, że nie przywiozłaś ze sobą tego szkodnika?

- Licz się ze słowami, Dick! - wtrącił zdecydowanie Ford. Rumson milczał przez chwilę, a potem zwrócił się do Celie:

- Chcę rozmawiać z twoim przełożonym.

- Z przyjemnością dam ci jego numer. Musimy razem nad tym popracować.

- Widziałem już, jak współpracowaliście podczas konferencji - powiedział Rumson z kwaśną miną. - Chcę, żeby moi ludzie kontrolowali wszystko, co będziecie tu robić.

- Mam lepszą propozycję. Wyszkołę twoich ludzi i wtedy mogą uczestniczyć w każdej inspekcji. Będą nam potrzebni. Do sprawdzenia jest rozległy teren, a czas nagli.

- Jeżeli myślisz, że...

- Myślę, że jako naczelnik Urzędu Ochrony Zasobów Leśnych, chcesz jak najlepiej dla lasów. Zawsze byłam tego zdania. Reszta to tylko szczegóły techniczne - powiedziała Celie i się uśmiechnęła.

Rumson milczał przez chwilę.

- Nie myśl sobie, że to załatwia sprawę - rzucił przez ramię, odwracając się do drzwi.

- Przykro mi, Dick, ale to dopiero początek.

Rozdział 2

- Przepraszam cię za tę scenę - powiedział Ford po wyjściu Rumsona. - Nie zdążyłem cię ostrzec.

Celie wzruszyła ramionami.

- Mogłam się tego spodziewać. Z Dickiem znamy się od dawna. - Przemilczała, że od początku mieli ze sobą na pieńku.

- Myślisz, że będzie ci przeszkadzał? - zapytał Ford

- Na pewno będzie próbował, ale jak na razie raczej mi nie szkodził. Co najwyżej był irytujący.

- Pokaż mi tę próbkę. - Ford wziął do ręki fiolkę i oglądał przez chwilę uważnie, obracając w palcach. - Naprawdę myślisz, że to grzyb?

- Nie wiem. Nie jest taki zielony jak zazwyczaj, ale na korze zauważyłam charakterystyczne zgrubienia i otworki.

- Gdzie to było?

- Przy drodze do instytutu, ale nie potrafię dokładnie określić miejsca. Przy okazji natknęłam się na właściciela. To taki wielki facet z czarnymi włosami. - Przystojny niezwykle, dodała w duchu Celie, wątpiąc, by Ford chciałby usłyszeć to określenie.

- Ach, to pewnie Jacob Trask. Jego plantacja graniczy z

naszymi ziemiami. Miejmy nadzieję, że proszek w probówce to tylko kora. Jacob stracił ojca w zeszłym roku, więc kolejna zła wiadomość nie jest mu potrzebna.

Celie pomyślała, że Trask wyglądał jak leśny bóg, z tymi swoimi czarnymi włosami i błękitnymi oczami. Stał i patrzył na nią, a ona zaczęła paplać jak idiotka, po czym uciekła.

- No cóż, nie możemy nic na to poradzić. - Ford oddał jej fiolkę i wstał. - Chodź, pokażę ci twój boks i laboratorium, z którego będziesz mogła korzystać.

Boks był mały, ale bardziej niż wystarczający dla jej celów. Ważniejsze było odpowiednie wyposażenie laboratorium, gdzie przeprowadza się większość badań i tam opracowany przez nią test potwierdzi lub wykluczy obecność groźnego chrząszcza.

Celie wyjęła z torby komputer i podłączyła go do sieci.

- Najwyższy czas, żebyś wreszcie wzięła się do roboty - odezwał się nagle kobiecy głos.

Odwróciła się i zobaczyła w drzwiach postawną blondynkę.

- Marce! - Podbiegła i zarzuciła jej rękę na szyję. - Tak się cieszę, że cię widzę!

- Ja też się cieszę. - Marce uściskała ją. - Wczoraj czekałam na ciebie przez cały wieczór.

- Nagrałam ci wiadomość na sekretarce. Wyjechałam za późno, więc przenocowałam po drodze i rano wyruszyłam w dalszą drogę.

- Chyba nie nocowałaś w namiocie? - Marce przyjrzała jej się podejrzliwie.

- A jak myślisz, po co wzięłam puchową kurtkę?

- Cała ty! - Marce pokiwała głową. - Tak czy inaczej, niedługo kończę pracę. Mogłybyśmy wyjść wcześniej i rozpakować twoje rzeczy.

- Wyjdziemy wcześniej, rozpakujemy moje rzeczy, a potem zamówimy pizzę.

- Dobrze. - Marce westchnęła. - Wiem, kiedy trzeba się poddać.

- Nie wierzę ci. Mieszkam tu od trzech lat i rzadko widuję kogoś podobnego do człowieka. A ty twierdzisz, że zatrzymałaś się w lesie, aby pobrać próbkę, i natknęłaś się na bożka? - Marce sięgnęła po pizzę.

- Nie myśl jednak, że padł mi do stóp czy coś w tym rodzaju - powiedziała Celie. - Prawdę mówiąc, był wściekły, że przyłapał mnie przy swoich drzewach, a ja chciałam jak najszybciej zniknąć mu z oczu.

- Przed czy po tym, jak postanowiłaś mieć z nim dziecko?

- Czyś ty oszalała?!

- Jesteś pewna, że to nie był sen? Nie przypominam sobie nikogo z tych stron, kto by tak wyglądał. A zapamiętałabym kogoś takiego, możesz mi wierzyć.

- Bob Ford powiedział, że on się nazywa... Jacob Trask.

- Jacob Trask? - Marce omal nie upuściła pizzy. - Ten Jacob Trask, którego ja znam, wygląda jak traper z czasów gorączki złota. To niemożliwe, żebyśmy mówiły o tym samym facecie. To znaczy on jest wysoki, lecz...

- Nie opisałam go Bobowi zbyt szczegółowo, więc może się pomylił. - Celie wzięła butelkę z piwem.

- Miejmy nadzieję. Ostrzegam cię, że Jacob Trask nie należy do najmilszych ludzi. W zeszłym roku musiałam mu pomagać przy zbiorach i przez cały ten czas nie usłyszałam od niego więcej niż dwa słowa. Oczywiście dla ciebie to żaden problem - dorzuciła po namyśle.

Celie zastygła z butelką przy ustach.

- Sugerujesz, że za dużo mówię?
- Niczego nie sugeruję, bo wiem, że zdarza ci się wpadać w trans. Na pewno są i takie momenty, kiedy bywasz tylko elokwentna, a nie wręcz gadatliwa.
- Mówię dużo tylko wtedy, kiedy jestem zdenerwowana - zaprotestowała Celie.
- To znaczy, że zawsze jesteś zdenerwowana - stwierdziła Marce i uchyliła się, bo Celie rzuciła w nią zmiętą serwetką.
- Uważaj, bo jak się pogniewam, nigdy więcej do ciebie się nie odezwę.
- Też mi kara!

Idąc korytarzem w miejscowej podstawówce, Jacob wspominał szkolne czasy. Już wtedy nienawidził przebywać w czterech ścianach; miał wrażenie, że się dusi. Dobrze czuł się tylko na dworze, z dala od ludzi, wśród klonów cukrowych. Dlatego zawsze zjawiał się w klasie na ostatnią chwilę.

Czas niczego w tym względzie nie zmienił. Nieważne, że chodziło o zebranie, a nie o szkolne lekcje. Wprawdzie rozmowy miały dotyczyć produkcji cukru, ale on i tak wolałby zostać w domu i poczytać albo pograć na gitarze.

W auli panował większy gwar niż zazwyczaj. Na widok ludzi, tłoczących się wokół ekspresu do kawy, Jacob zaczął się zastanawiać, czy tego dnia kawa jest za darmo. Nagle tłum się rozstał, a on mógł zobaczyć, co przykuło powszechną uwagę.

Albo raczej kto...

To ta tajemnicza istota, na którą natknął się przy swoich klonach. Nie miała teraz na sobie puchowej kurtki, tylko czerwone spodnie, białą bluzkę i sweterek w kratkę. Na tle burych ubrań otaczającego ją tłumy, stanowiła przyjemną, kolorową plamę. Zdawała się też zajmować znacznie więcej

miejsca, niż wymagałaby jej drobna figurka - jakby emanująca z niej energia potrzebowała przestrzeni.

Od ich przypadkowego spotkania nie potrafił zapomnieć o jej roześmianych oczach i czerwonych ustach. Patrzył teraz na nią, jak stoi pośród tłumu, barwna niczym motyl. Słyszał jej perlisty śmiech, wręcz zaraźliwy. Przez moment miał ochotę podejść, aby dowiedzieć się, kim ona jest, oczywiście, a nie po to, żeby lepiej jej się przyjrzeć. Chociaż, uznał, jeżeli jednego dnia majstrowała przy jego drzewach, a nazajutrz przemawiała na zebraniu plantatorów, musiała być w jakiś sposób związana z instytutem.

Skoro więc odkrył jej tajemnicę, nie ma sensu przepychać się przez tłum, żeby z nią porozmawiać. Po pierwsze, to nie w jego stylu. A po drugie, miał na głowie ważniejsze sprawy. Zdążył przejrzeć materiały w Internecie i zdawał sobie sprawę z zagrożenia oraz ze spustoszenia, jakie mógł spowodować żerujący na klonach chrząszcz. Teraz chciał się dowiedzieć, co to oznacza dla jego plantacji.

Na przedzie sali Bob Ford postukał w mikrofon.

- Moi drodzy, zaczynamy. - Odczekał kilka minut, a tłum ruszył w kierunku krzeseł. - Rozdaliśmy ankiety. Proszę je wypełnić i oddać przy wyjściu. Musimy zaktualizować dane.

Ktoś wręczył Jacobowi formularz, więc wyjął pióro i wypełnił pierwszą rubrykę. Jednak na widok dalszych pytań zmarszczył brwi. Powierzchnia upraw? Monokultura czy lasy mieszane? Co, u diabła?

Nagle owionął go delikatny, kuszący zapach. Oderwał wzrok od kartki i zobaczył, że krzesło obok niego zajęła powabna nieznajoma. W jednej chwili jego zmysły zostały postawione w stan podwyższonej gotowości.

- Cześć - wyszeptała. - Czy to miejsce jest wolne?

Głos miała zmysłowy i lekko schrypnięty, jakby mówiła nad kieliszkiem czegoś mocniejszego w ciemnym, zacisznym barze. Albo późną nocą w sypialni.

- Jak najbardziej - mruknął, odsuwając od siebie tę wizję. W odpowiedzi uśmiechnęła się promiennie. Tymczasem na podium Ford głośno odchrząknął i zaczął

przemawiać:

- Ponieważ wszyscy się znamy, nie będę się przedstawiał, tylko od razu przejdę do rzeczy. Jak pewnie niektórzy z was słyszeli, wykryto kilka ognisk klonowej zarazy w stanie Nowy Jork. To problem, którego nie możemy lekceważyć. Żebyśmy się dobrze zrozumieli. Jeżeli ten chrząszcz się rozprzestrzeni, może zniszczyć większość naszych lasów. Powtarzam, większość! Nie będzie syropu klonowego, barwnych liści jesienią i dolarów z turystyki. Mówiąc brutalnie, pójdziemy z torbami! - Znowu odchrząknął. - Dlatego zaprosiliśmy panią Celie Favreau z Państwowej Inspekcji Weterynaryjno-Rolniczej, żeby rozejrzała się po okolicy. Pani Favreau powie wam coś więcej o naszym problemie i o tym, co robić dalej.

- Trzymaj za mnie kciuki - szepnęła Celie, ściskając Jacoba za ramię, po czym wstała, wyszła przed audytorium i wzięła do ręki mikrofon.

- Dobry wieczór. Jestem Celie Favreau. Nadzoruję program zwalczania szkodników klonu cukrowego. Kto z was słyszał o tym prążkowanym chrząszczu o czerwonych rogach? - Na widok nielicznych uniesionych rąk pokiwała głową. - Dobrze, wobec tego, opowiem pokrótce. To paskudny typ. Ma około centymetra długości i często bywa mylony z poczciwym kornikiem. Jednak w przeciwieństwie do niego, żeruje na żywym drzewie, a szczególnie gustuje w klonach. Wwierca się w pień nad korzeniami i składa jaja w miazdze drzewnej, tuż pod ko-

ra. W ciągu kilku tygodni zapłodniona samica może znieść kilka tuzinów jaj w korytarzykach, wydrążonych w zewnętrznych słojach pnia. Larwy, które się z nich wylęgą, żywią się miazgą. Nie muszę chyba mówić, co to oznacza.

Rzeczywiście, pomyślał Jacob. Kilka tuzinów rozwijających się larw może bez trudu zadusić drzewo. Soki nie będą mogły wędrować od korzeni do liści. Czyli szybka śmierć. Wokół usłyszał pomruk niepokoju, gdy zgromadzeni zrozumieli powagę sytuacji. Dla niego nie była to żadna nowość, a mimo to wstrząsnął nim dreszcz.

- Oczywiście - ciągnęła Celie - jest jeszcze jeden problem, znacznie poważniejszy niż zniszczenie miazgi. Otóż chrząszcz ten przenosi grzyba, który jest zabójczy dla klonów cukrowych. Za każdym razem, kiedy szkodnik wgryza się w korę, zarodniki grzyba osiadają na ściankach korytarzyków. Reszta to już tylko kwestia czasu. Nasze badania wykazały, że dorosły osobnik jest w stanie przebyć nawet sto metrów w poszukiwaniu drzewa-żywiciela.

Zaskrzypiały krzesła; rozległy się przytłumione szepty. Celie powiodła oczyma po zebranych w sali, starając się nawiązać kontakt wzrokowy z każdym obecnym z osobna.

- Widzicie więc, czemu musimy stawić czoło. Jeżeli wymknie się nam choć jeden dorosły osobnik, ich populacja może błyskawicznie się rozprzestrzenić. A to oznacza, że jeśli znajdziemy ślady zainfekowania, będziemy musieli podjąć radykalne środki.

Mężczyzna o kościstej twarzy podniósł rękę.

- Co to znaczy: radykalne środki?

- Nie ma sensu o tym mówić, póki nie rozeznamy się w sytuacji. Wraz z grupą specjalistów z instytutu oraz wydziału leśnictwa, będziemy starali się skontrolować tyle plantacji,

ile to możliwe, zanim się ociepli. Nie możemy sobie pozwolić na czekanie z założonymi rękami. Musimy jak najszybciej znaleźć зараżone drzewa i podjąć stosowne kroki.

- To znaczy jakie? - nie ustępował mężczyzna. Celie wzięła głęboki oddech i odparła:

- Będziemy musieli wyciąć wszystkie zainfekowane drzewa, wraz z pasem ochronnym, w promieniu co najmniej stu pięćdziesięciu metrów. Pnie i korony trzeba będzie pociąć i natychmiast spalić, a korzenie usunąć do głębokości dwudziestu centymetrów pod ziemią.

Przez salę przetoczył się gniewny pomruk. Mężczyźni, którzy jeszcze przed chwilą byli oczarowani Celie, przestali się nią zachwycać.

- Mówi pani o karczowaniu plantacji? - odezwał się kędzierzawy rudzielec.

- Nie uprzedzajmy faktów - odparła ze spokojem Celie.

- Na razie nie wiemy jeszcze, jaka jest sytuacja. Ostatnio wezwano mnie do Michigan, lecz, na szczęście, nie znalazłam tam śladów szkodnika.

- Za to w stanie Nowy Jork wycięliście połowę klonów!

- wykrzyknął kościsty mężczyzna.

Celie nie wiedziała, czy śmiać się, czy płakać.

- Wycięliśmy w sumie tysiąc dwieście drzew - wyjaśniła.

- Możecie mi wierzyć, że decyzja o wycinie nie przychodzi mi łatwo. - Rozejrzała się po sali. - Widziałam jednak, do czego zdolny jest ten chrząszcz, i zrobię wszystko co w mojej mocy, aby go wytępić. Jeżeli znajdę tu choć jedno зараżone drzewo, to będzie znaczyło, że wszystkie plantacje są zagrożone. Wszystkie! Dlatego liczę na waszą współpracę.

- Pani tu nie przyjechała na urlop. Pani już coś wie - zarzucił jej rudzielec.

Celie zawahała się, a potem spojrzała na Jacoba. Przypomniał sobie, jak klęczała przy jego drzewie, i strach ścisnął go za gardło.

- Owszem, zaobserwowałam pewne niepokojące symptomy - przyznała. - Jeżeli weźmiemy się za to szybko, zanim się ociepli, może uda nam się opanować problem. Jeżeli jednak będziemy się guzdrać, to za rok o tej porze wasze plantacje będą wyglądać całkiem inaczej. - Odetchnęła głęboko.

- Następne pytanie?

Dyskusja ciągnęła się przez prawie godzinę. Dopiero po tym Celie mogła rozdać broszury na temat chrząszcza. Jacob siedział jak na szpilkach; nie mógł doczekać się końca zebrania. Żadne materiały nie były mu potrzebne. Nie chciało mu się też słuchać kolejnych pytań. Czego chciał, to porozmawiać z Celie Favreau, i to w cztery oczy.

Tłum wokół niej był teraz równie gęsty jak przed zebraniem. Jacob był jednak cierpliwy. Plantatorzy wychodzili, jeden po drugim, aż wreszcie zobaczył Celie na podium, zajętą składaniem materiałów.

Gdy podszedł bliżej, usłyszał, jak Bob Ford mówi do niej:

- Myślę, że dobrze poszło. W każdym razie, przekazaliśmy im najważniejsze informacje. Reszta będzie zależała od tego, co znajdziemy.

- I co wykażą testy laboratoryjne.

Testy laboratoryjne? Jacob jeszcze bardziej się zbliżył i zatrzymał się przy prowadzących na podium schodkach.

- Mógłbym zamienić z wami parę słów? Celie spojrzała na Boba Forda.

- Jedź już, Bob. Ja się tym zajmę.

- Mam to zabrać do instytutu? - Bob wskazał głową pudło z resztą broszur i ulotek.

- Zostaw to mnie. Bob skinął głową.

- Dobrze. Kiedy będziecie wychodzić, sprawdźcie, czy światła są pogaszone, i pozamykajcie drzwi. - Uścisnął im ręce i wyszedł.

Jacob spojrział na Celie. Przyglądała mu się z uwagą, jakby był jakąś intrygującą zagadką. Speszony, przestąpił z nogi na nogę i wskazał na pudło z literaturą.

- Mogę to ponieść. - Łatwiej coś robić, niż stać, a zwłaszcza rozmawiać.

- Dzięki. - Celie patrzyła za nim, kiedy wspinał się na podium, żeby wziąć ciężkie pudło. - I co pan o tym sądzi?

- O rozmowie? - Czy może o niej? Bo miała w sobie coś, czemu nie sposób się oprzeć. Nie po to jednak tu przybył, aby prawić jej komplementy. - Widziałem panią wczoraj przy moich drzewach - rzucił bez wstępów. - Czy to była inspekcja?

Uśmiech znikł z jej twarzy.

- Oficjalnie, nie. Myślałam, że te tereny należą do instytutu. Coś mnie zaniepokoiło i postanowiłam obejrzeć to sobie z bliska.

- Niech pani nie owija w bawełnę! - wybuchnął, zniecierpliwiony. - Klęczała pani przy jednym z moich klonów, nad przybornikiem. O co chodziło?

- Może o nic. Przejeżdżając, zwróciłam uwagę na to drzewo. Nosilo pewne cechy zainfekowania - wyjaśniła. - Chciałam przyjrzeć się bliżej. Nie wiedziałam, że ta ziemia należy do pana.

- Nieważne, że weszła pani na mój teren. Ważne jest to, co pani zobaczyła. Ja muszę to wiedzieć.

- To nic pewnego. - Popatrzyła na niego zatroskanym wzrokiem. - Otworki w korze miały typowy rozmiar, ale

nietypowy kształt. Przypuszczałam, że w pobranej próbce będzie grzyb, jednak testy wypadły negatywnie.

- Negatywnie? - Uczucie ulgi było tak potężne, że aż zakręciło mu się w głowie. - To drzewo jest zdrowe?

- Jutro przeprowadzę bardziej szczegółowy test, kiedy zainstaluję się w laboratorium. Niestety, wyniki nie będą na sto procent pewne, bo pański pies wytrącił mi z rąk próbkę, zanim zdążyłam ją zamknąć.

- Murphy wpada czasami w przesadny zapał.

- To widać. Co to za rasa? Wygląda jak owoc romansu labradora z kucykiem.

Jacob uśmiechnął się.

- Raczej labradora z chartem. Tak przynajmniej twierdzi weterynarz.

-To ciekawe.

- Co w tym ciekawego?

Ma zabójczy uśmiech, pomyślała Celie, kiedy zeszli z podium, a także usta wręcz proszące się o pocałunki. Garbek na jego nosie musi być efektem przegranej walki, jednak dzięki niemu jego twarz wygląda niezwykle męsko, uznała.

Od Jacoba biła wewnętrzna siła, niemająca związku z jego potężną posturą. To właśnie dlatego odszukała go, chociaż mogła usiąść przy każdym z mężczyzn, z którymi rozmawiała. Żaden z nich jednak jej nie zainteresował. Żaden oprócz Jacoba Traska.

Ruszyli do wyjścia.

- Skoro mowa o ciekawostkach, byłam w sklepie, który się nazywa „Jadło i czytało” - wyjawiała Celie.

- Była pani u Raya? To jedno z moich ulubionych miejsc.

- Tak też mi powiedział.

- Tak mówił? - Jacob zapatrzył się na czerwone spodnie opinające pośladki Celie.

- Wspominał o panu.

- To sukces, że udało się pani zmusić go do mówienia.

- Musiałam go chyba oczarować. Tak jak mnie, pomyślał Jacob.

- Przyznam, że mi pani dziś zaimponowała - powiedział

- To znaczy, że dobrze mi poszło. Słyszałam, że niełatwo zrobić na panu wrażenie.

- Coś mi się wydaje, że ludzie za dużo plotkują.

- Tym niech pan się nie przejmuje. Jestem naukowcem i wolę sama zbierać potrzebne informacje.

- Planuje pani zbieranie informacji na mój temat? - zapytał rozbawiony.

Celie śmiejąc się, zerknęła przez ramię.

- Nie wiem. Ma pan coś przeciwko temu? - Po wyjściu za próg sali sięgnęła, aby zgasić światło. Ich dłonie jednocześnie dotknęły wyłącznika.

Jacob poczuł się tak, jakby po ręce przebiegła mu iskra elektryczna. Celie miała chłodne i miękkie palce. Na moment zamarła, a potem cofnęła rękę.

Kiedy przekręcił wyłącznik, otoczyła ich ciemność i tylko z korytarza, przez otwarte drzwi, sączyło się światło. Oczy Celie tonęły w cieniu. Widział za to jej profil, zadarty nosek i wydatne usta.

- Czas się pożegnać - powiedziała.

Jeżeli chodzi o mnie, powinienem był to zrobić grubo wcześniej, uznał Jacob.

Rozdział 3

Barwne liście zdobiły tablicę z napisem „Plantacja Trasków”. W niskim podłużnym domu mieścił się sklep pamiątkarski- Na drugim końcu budynku, z dachu, wyrastał komin cukrowni.

Celie skręciła na placyk, pokryty topniejącym śniegiem, i zaparkowała pod płotem. Przyjechała tu, wiedzona pragnieniem zobaczenia Jacoba Traska. Chociaż w sobotę rano większość ludzi gdzieś wyjeżdża, przeczucie podpowiadało jej, że zostanie go w domu.

Na początku ścieżki, prowadzącej z parkingu do sklepu, stał słup, na którym wisiało blaszane wiadro do zbierania soku, z kranikiem i pokrywką. Świetny chwyt reklamowy, pomyślała. Ludzie będą się zatrzymywać, żeby zobaczyć na własne oczy, jak zbiera się klonowy sok. A potem wejdą do sklepu i może zechcą coś kupić.

Wspięła się po schodkach na werandę, biegnącą wzdłuż frontowej ściany budynku. Trudno jej było wyobrazić sobie mrukliwego Jacoba Traska przy kasie, sprzedającego syrop klonowy w metalowych pojemniczkach albo lody o smaku klonowym, pomyślała z uśmiechem na widok szyldu w kształcie rożka.

Ledwie przekroczyła próg, pożałowała, że nie trafiła do tego sklepu kilka tygodni wcześniej, podczas gorączki świątecznych zakupów. Jej mama byłaby zachwycona kompletem kuchennych rękawic oraz ręczników, a siostrę na pewno uradowałoby kilka słoiczków masła cytrynowego. Siostrzeńcowi mogłaby dać pod choinkę pluszowego łośia, a ojcu ilustrowaną historię Gór Zielonych. Dla siebie kupiłaby świąteczne dekoracje z pozłaczanych klonowych liści.

Sam sklep był uroczy - cały w drewnie, z wypolerowaną na wysoki połysk podłogą z szerokich desek. Przez łukowate drzwi zobaczyła kolejne pomieszczenie, w którym stało kilka ogrodowych stolików. To pewnie tam nieobecny w tej chwili personel serwował lody oraz inne przysmaki.

Nagły stukot sprawił, że podskoczyła, a potem rozejrzała po pustym sklepie.

- Halo!

Przeszła do sąsiedniego pomieszczenia. Tutaj także nikogo nie było. To dziwne, bo sklep był otwarty, więc ktoś powinien stać za ladą.

Znowu usłyszała jakiś łomot, tym razem tuż obok. Raz jeszcze rozejrzała się i dostrzegła drzwi z poruszającą się klamką. Duchy czy co... ?

- Niech to diabli! Przydałaby mi się trzecia ręka - rozległ się zza nich poirytowany damski głos.

Celie otworzyła drzwi. Zobaczyła chwiejącą się piramidę pudełek oraz schodki, prowadzące prawdopodobnie do piwnicy.

- Bóg zapłać. - Kobieta z pudłami zrobiła krok w przód. Kartonowa konstrukcja zachwiała się niebezpiecznie. Celie wyciągnęła rękę.

- Stop! - Gdy wzięła dwa górne kartony, zawierające po-

dobno styropianowe kubki oraz papierowe serwetki, zza stosu pudeł wyłoniła się twarz, która wydawała się znajoma.

- Proszę je postawić na podłodze - zakomenderowała kobieta.

- Nie ma mowy - odparła Celie. - Zaniosę je tam, gdzie trzeba. Do kawiarni?

- Zgadłś.

Celie przeszła do przyjemnej kawiarenki, gdzie ogrodowe stoliki nakryte były obrusami w biało-czerwona kratkę, i postawiła kartony obok lady, przy której sprzedawano lody.

- Czy tu będzie dobrze?

- Nawet bardziej niż dobrze. Dziękuję, kochanie. - Kobieta odstawiła pudełka i wyciągnęła rękę. - Jestem Molly Trask.

Mogłam się domyślić, uznała w duchu Celie. Te same wystające kości policzkowe, ten sam wykrój oczu... Z tą tylko różnicą, że zamiast czarnych, Molly Trask miała włosy srebrzyste, dzięki czemu jej oczy wydawały się jeszcze bardziej błękitne.

- Celie Favreau, do usług.

- Oddałaś mi większą przysługę, niż myślisz. Trzeba koniecznie naprawić te drzwi. Zostawiłam je uchylone.

- Pewnie zatrzasał je przeciąg, kiedy weszłam do sklepu - tłumaczyła się Celie.

- To nie twoja wina. Powinnaś była obrócić dwa razy, ale zawsze mi szkoda czasu.

- Tak samo jak mnie - przyznała się Celie. - Kiedy wracam z zakupów, zawsze mam po pięć, sześć reklamówek w każdej ręce, żeby przynieść wszystko do domu za jednym zamachem.

- Miło trafić na pokrewną duszę.

Uśmiechnęły się do siebie.

- Czym mogę służyć? - zapytała Molly.

- Miałam o to samo panią zapytać. Może trzeba jeszcze coś przynieść z piwnicy?

- Nie, reszta może poczekać. Celie potrząsnęła głową.

- Pokrewne dusze. Niech pani o tym pamięta.

- Nie korzystamy z pomocy klientów.

- Rzecz w tym, że nie jestem klientką. Pracuję dla rządu, czyli, tak naprawdę, również dla pani.

- Ach, więc jesteś tą...

- Nie rozumiem. - Tą? - pomyślała Celie. Co to znaczy?

- Tą, która przemawiała na wczorajszym zebraniu. Jacob trochę mi o tym opowiadał, ale też co nieco pominął, tak mi się wydaje - dorzuciła Molly, lustrując Celie od stóp do głów.

- Z przyjemnością dostarczę pani potrzebnych informacji.

- Jak widać, ominęły mnie wszystkie ciekawsze informacje na temat tych zebrań - stwierdziła z przekąsem Molly.

A może Celie tak się tylko wydawało? Zanim zdążyła to rozstrzygnąć, drzwi otworzyły się i usłyszała głos Jacoba:

- Mamo, czy przynieść jeszcze... - Urwał na widok Celie.

Miał na sobie dżinsy flanelową koszulę w kratkę. Był potargany i nieogolony.

Co za przystojniak, pomyślała Celie i z promiennym uśmiechem powiedziała:

- Cześć, Jacob!

Jacob nie lubił niespodzianek. Wolał uporządkowaną i racjonalizowaną rzeczywistość. Dlaczego więc zaskoczenie, jakim był widok Celie, przerodziło się w nieklamana radość?

- Co cię sprowadza? - zapytał. Celie sięgnęła do kieszeni.
- Czy twój pies jest gdzieś w pobliżu?
- Murphy?
- Ten kucyk szetlandzki - odpowiedziała, a Molly parsknęła śmiechem.

- Został w domu. Tu go nie wpuszczamy, a na dworze jest dla niego za zimno o tej porze roku.

- Przyniosłam mu ciasteczka - wyjaśniła zawiedziona.

- Ciasteczka?

- Takie dla psów. Były u Raya, w promocji.

- W takim razie zdobędziesz dozgonną miłość Murphy'ego - stwierdziła Molly.

W sumie drobiazg, ale Jacob był oczarowany. Mówią, że droga do serca kobiety wiedzie poprzez jej dzieci. Ciekawe, co powiedzą o nim, skoro Celie tak go ujęła życzliwym podejściem do jego psa?

- Może zaprosiłbyś gościa do domu? - dorzuciła Molly.

- A co z pudłami?

- Och, te najważniejsze już mam. Celie mi pomogła. Nagle drzwi otworzyły się i do sklepu weszły trzy rozgadane kobiety, rozpinając płaszcze.

- Już cię tu nie ma! - Molly zwróciła się stanowczym tonem do syna. - Muszę obsłużyć klientki. Zawieź Celie do Murphy'ego. Chyba że wolisz oprowadzać wycieczki po cukrowni i plantacji?

- Och! Więc oprowadza pan wycieczki? - ucieszyły się kobiety.

Jacob odwrócił się pospiesznie do Celie:

- Chodźmy przywitać się z Murphym.

- Szczerze mówiąc, zastanawiałam się, jak wpasowałeś się w sklep z pamiątkami - zagadnęła Celie, kiedy wyszli na dwór.

- Nie musiałem. To królestwo mamy. Moim zadaniem jest dopilnowanie produkcji cukru, a nie umizgiwanie się do każdego, kto przekroczy próg - odparł Jacob, narzucając kozuch.

- Jasne. To nie pasuje do twojego wizerunku. Zerknął na nią z ukosa.

- Nie mam żadnego wizerunku.

- Oczywiście, że masz. Odludek i mruk. Tobie to odpowiada, chociaż czasami trudno ci trzymać fason.

W oczach Jacoba błysnął gniew.

- Może lepiej sam zaniosę ciasteczka?

- Nie ma mowy. - Wepchnęła torebkę do kieszeni. - Ja je kupiłam i ja zyskam wdzięczność twojego psa. Gdzie stoi dom?

- Jakiś kilometr stąd, przy drodze. - Wskazał polny trakt, wijący się pomiędzy drzewami. - Na tyle blisko, że można iść piechotą, o ile nie przeszkadza ci zimno.

Celie założyła rękawiczki.

- Lubię być na powietrzu. Poza tym chcę popatrzeć na drzewa.

- Czy nie ma na nich śladów szkodnika?

- Nie. Lubię na nie patrzeć.

Ruszyli przez zagajnik klonów cukrowych, wśród których tu i ówdzie zaplątał się pojedynczy jesion, buk lub brzoza.

Śnieg, który prószył minionej nocy, skrzypiał im pod nogami. Świat wyglądał jak otulony białym całunem.

- Dlaczego mieszkasz w lesie, za miastem, a nie na tej wielkiej farmie? - zapytała Celie, spoglądając na biały dwupiętrowy dom z werandą i rzeźbionymi kolumnkami. - Czy twoja niechęć do ludzi obejmuje również własną matkę?

- To nasz dom rodzinny.
- Gniazdo milionów Trasków, rozsianych po całym świecie?
- Jest ich trochę - burknął.
- Żartowałam. - Klepnęła go w ramię. - Myślę, że to po prostu brzmi dumnie.
- Tutaj się wychowałem, ale w którymś momencie zapragnąłem być na swoim. Obecnie mieszka tu tylko mama.
- A ty gdzie? W lesie? W grocie pustelnika? Jacob spojrzał na nią z rozbawieniem.
- Oto co znaczy reputacja.
- Jak już mówiłam, twoja reputacja to tylko poza. Udało ci się przekonać wszystkich, że jesteś dziwak i mruk, a tak naprawdę chcesz tylko jednego: żeby nudziarze dali ci spokój. Nie mam racji? Oczywiście to nie jest zarzut.
- Nie powinienem położyć się na kozetce, pani doktor? Celie roześmiała się.
- Przepraszam. Czasami mówię za dużo i nie zawsze to, co ludzie chcieliby usłyszeć.
- Łatwo jest mówić ludziom to, co chcieliby usłyszeć. Trzeba być odważnym, by nie skrywać prawdy.
- Miło mi, że tak uważasz. - Celie uśmiechnęła się. - Skoro nie mieszkasz w chatce pustelnika, to gdzie?
- Mamy jeszcze jeden dom. Brat mojego pradziadka chciał wyrwać się z rodzinnego gniazda, więc wybudował własną siedzibę.
- Brat twojego pradziadka? - powtórzyła ze zdumieniem. - To od kiedy te ziemie należą do waszej rodziny?
- Od tysiąc osiemset siedemdziesiątego roku. Mój prapradziadek Hiram Trask kupił ją po wojnie secesyjnej.
- Aż tak się na niej obłowił?

- Poszedł na wojnę zamiast syna pewnego młynarza z Burlington, za co otrzymał całkiem sporą sumkę. Zamierzał pojechać za te pieniądze do Europy albo do Ameryki Południowej.

- Ale nie pojechał?

- Nie. Po powrocie do domu kupił duży zalesiony obszar i zapuścił korzenie. Chyba uznał, że obejrzał już tyle świata, ile trzeba.

- Doszliście do majątku uczciwą drogą - stwierdziła Celie. Podeszła do brzozy, rosnącej na skraju drogi, i pogłaskała aksamitny biały pień.

- Tak sędzę. Poza tym w każdym pokoleniu Trasków jest jeden odludek.

- To znaczy, że jesteś na swoim miejscu. A skąd to wszystko wiesz?

- Mama przechowuje rodzinne dzienniki. Przeczytałem je, kiedy miałem szesnaście lat.

- Obowiązkowa lektura na lato? Jacob wzruszył ramionami.

- Uznałem, że powinienem wiedzieć coś więcej o swoich przodkach.

Mogła sobie wyobrazić, jak ozywają przed jego oczyma, na pożółkłych stronicach, pokrytych starannym, kaligraficznym pismem. Nie jakieś abstrakcyjne postaci z zamierzchłej przeszłości, ale synowie i bracia, ojcowie i stryjowie, ludzie z krwi i kości. O dziwo, nie wydawało jej się to wcale przytłaczające, jak pokryta kurzem historia jej rodziny. Raczej pokrzepiające i dające poczucie przynależności. Może dlatego Jacob tak dobrze wiedział, kim jest?

- Na tych terenach rosły już klony cukrowe, kiedy Hiram je kupił?

- Trochę. Mój prapradziadek kupił część dwóch czy trzech plantacji, wokół nieużytków, które później sam obsadził. Było to dzieło jego życia.

- Drzewa wyglądają, jakby sadził je ktoś, kto znał się na rzeczy.

- Hiram miał księgę poświęconą hodowli klonów. Czytał wszystko, co wpadło mu w ręce. Syna Ethana posłał do szkół.

- Tego, który wybudował twój dom?

- Nie, dom wybudował jego brat, Issac. Ten, który został na farmie.

- Z wyboru czy dlatego, że musiał?

- Myślę, że jedno i drugie. W tamtych czasach nauka była tania, ale z dzienników wynika, że Isaac czuł się najszczęśliwszy, kiedy był u siebie. Przez długie lata starał się o pannę, która koniec końców wyszła za jakiegoś gościa z Bostonu. Myślę, że nie uśmiechała jej się wizja zamieszkania na prowincji.

- Pewnie nie wierzyła, że można być szczęśliwym na takim odludziu.

Jacob odwrócił się i przeszył ją spojrzeniem ciemnoniebieskich oczu.

- Jeżeli ktoś nie umie szukać szczęścia w samym sobie, nigdy nie będzie szczęśliwy. Albo ma się tę umiejętność, albo nie.

Nagle wyszli z za zakrętu na dębową aleję i Celie z wrażenia zaparło dech. Spodziewała się małego drewnianego domku, tymczasem jej oczom ukazała się dwupiętrowa wiktoriańska rezydencja o wielu szczytach oraz misternie rzeźbionych gankach, okiennicach i kolumnkach. Już sama kolorystyka była dziełem sztuki - te rodzaje umbr, zieleni i złota,

odcinające się, a zarazem wtapiające w otaczający krajobraz.

- Czy on sam wybudował to чудо? - zapytała zachwycona. Jacob skinął głową.

- Zajęło mu to osiem lat. Budował go dla panny, którą miał nadzieję pojąć za żonę. Pochodziła z Montpelier.

Celie zmarszczyła brwi.

- Z Montpelier? W tamtych czasach to był kawał świata stąd. Jak się poznali?

- Ona przyjechała na Zimowy Festyn Klonowy, a Isaac kompletnie stracił dla niej głowę. Nazywała się Sarah Jane Embree. Miała wtedy piętnaście lat, a on dwadzieścia cztery. Jej ojciec był prawnikiem, ważną figurą wśród montpelierskiej elity.

Szli teraz dębową aleją. Bezlistne konary tworzyły sklepienie nad ich głowami. Latem musi tu wyglądać jak w zielonym tunelu, pomyślała Celie.

- Jak to możliwe, że pozwolono mu się o nią starać? - zapytała. - Przypuszczałabym raczej, że ojciec wolał trzymać córkę jak najdalej od jakiegoś farmera.

- Nie zapominaj, że Isaac był właścicielem połowy doskonale prosperującej plantacji. Dlatego Embree postanowił mieć go w odwodzie. Powiedział mu, że może starać się o Sarah Jane, ale mąż jego córki będzie musiał zapewnić jej poziom, do jakiego przywykła. Isaac podkreślił to zdanie w swoim dzienniku. „Poziom, do jakiego przywykła”. Czyli wszystko, co najlepsze.

- Włącznie z rezydencją. Jacob pokiwał głową.

- To nie zniechęciło Isaaca. Zawziął się i zaczął budować. Każdy zarobiony grosz wydawał na materiały - marmurowe

umywalki, kryształowe gałki w drzwiach, witraże od Tiffanyego. Sprzedał nawet część plantacji, aby sfinansować budowę. Myślał, że wytrwałością i pracą zdobędzie rękę panny.

- Ale mu się nie udało?

- Nie. Budowę ukończył w tysiąc dziewięćset szóstym roku. Dom miał mahoniowe meble, wodociąg, a nawet prąd z własnego generatora. I wtedy ona zaręczyła się ze szkolnym kolegą swojego brata. Żaden dom w lesie nie mógł konkurować z willą w Bostonie. Wśród rodzinnych pamiątek zachował się pierścionek, który Isaac kupił z myślą, że zostanie jego narzeczoną.

- Musiał to być dla niego cios - szepnęła Celie, patrząc na dom.

- Nigdy nie pozbiarał się po tym ciosie i do końca życia nie spojrzął na inną kobietę.

- Nie zależało jej na nim ani trochę, prawda? Jacob pokiwał głową.

- Isaac myślał, że zawarli umowę, tymczasem rodzina Embree trzymała go po prostu w rezerwie. Tego lata, kiedy czytałem dzienniki, przejrzałem również ich papiery. Edwin Embree nawet nie wspomniał o Isaacu. Sarah Jane parokrotnie napomknęła, jak zamęczał ją planami domu, podczas gdy jej zależało wyłącznie na pozycji towarzyskiej. Podejrzewam, że nawet nie widziała tego miejsca.

- To była pogoń za ułudą.

- Coś w tym rodzaju. Nawet jego rodzina nie wiedziała, co tu budował. Zachował to w tajemnicy.

- Był opętany.

- Nie, był zakochany - sprostował Jacob. Celie wydało się to przeraźliwie smutne.

- To nie była odpowiednia partia dla niego.

- Nie szkodzi. On naprawdę wierzył, że jeśli będzie ciężko pracował i zapewni jej luksusy, zdobędzie jej serce.

- Nie można zmusić nikogo do miłości. Albo się kogoś kocha, albo nie - oznajmiła Celie i popatrzyła na Jacoba. Nagle zakręciło jej się w głowie, jakby świat zakołysał się w podstawach. Kiedy ich spojrzenia się spotkały, zatoneła bez reszty w jego błękitnych oczach.

Głośnie szczekanie sprawiło, że czar nagle przysł. Celie odwróciła się i zobaczyła Murphyego, który pędził ku nim, i z ulgą przerzuciła na niego całą swoją uwagę.

- Kto to jest? Co to za piesek? - zawołała, mierzwiąc mu sierść, a on skakał wokół niej, uszczęśliwiony.

- Siad, Murphy! - rzucił Jacob.

Pies posłusznie usiadł, merdając ogonem.

- Patrz, Murphy, przyniosłam ci coś dobrego. - Celie wyjęła z kieszeni torebkę psich biszkoptów. - Masz tu ciasteczko. Grzeczny piesek, dobry. Myślisz, że twój pan pozwoli mi obejrzeć dom, jeżeli dam ci te ciasteczka?

Murphy zaszczekał.

Celie spojrzała na Jacoba. Oczy jej się śmiały.

- Moim zdaniem, to znaczy „tak”. Co ty na to?

A on, mruk i odludek z obecnego pokolenia Trasków, skinął głową bez słowa.

Po wejściu do reprezentacyjnego holu Celie pomyślała, że Issac Trask musiał być kimś więcej niż tylko hodowcą klonów cukrowych. Najwyraźniej charakteryzowała go wyobraźnia architekta i jednocześnie skrupulatność inżyniera. Dębowe posadzki lśniły złościście, a sufity wznosiły się dobre trzy metry nad głową. Słońce wpadało do wnętrza przez owalne okno pośrodku frontowych drzwi.

- Mój Boże, ależ tu pięknie - zachwyciła się Celie.
- Isaac zamieszkał tu sam, bez Sarah Jane. Zmarł dosyć młodo. Zapił się na śmierć.

Jak to możliwe, pomyślała, że takie чудо zrodziło się z tragedii?

- To niesamowite. Zupełnie jak te rezydencje w Newport, na Rhode Island. Nie chcesz chyba powiedzieć, że ten dom stał pusty przez te wszystkie lata?

- Różni krewni mieszkali w nim nawet po parę lat, ale nigdy dłużej.

- Zła aura? - zapytała, chociaż dom wcale nie wydawał jej się odpychający. Przeciwnie, uznała, że jest wręcz stworzony po to, aby tętnić życiem.

- Myślę, że leży za bardzo na uboczu. Próbowaliśmy go wynająć, ale trudno znaleźć klientów, którzy chcieliby zamieszkać na takim odludziu.

- Więc tak po prostu stał pusty? - zapytała, gładząc staroświecką tapetę.

- Mniej więcej. Tata i dziadek robili, co mogli, żeby się nie rozpadł. Wymieniali okna, i tak dalej. Na mnie lektura dzienników Isaaca wywarła takie wrażenie, że od tamtej pory przy każdej okazji naprawiałem to i owo. A poważniejsze roboty zacząłem po przeprowadzce.

- Kiedy to było?

- Jakies siedem lat temu. Przez pierwszy rok remontowałem konstrukcję domu. Część belek stropowych i kolumnienek na werandzie zgniła, więc trzeba je było wymienić. Kiedy się z tym uporałem, zająłem się renowacją wnętrza.

- Wykonałeś kawał świetnej roboty - stwierdziła, przystając w drzwiach salonu. - Można? - zapytała.

- Jasne.

Podłogę pokrywał perski dywan w misterny, purpurowo - błękitny wzór. Z rzeźbionego plafonu zwisał kryształowy żyrandol. Ściany były niemal całkowicie obudowane półkami, na których ciasno ustawiono dziesiątki książek. Część z nich była oprawiona w skórę i musiała pochodzić z czasów Isaaca; większość jednak stanowiły powieści w cienkich okładkach. Celie wiedziała od Raya, że Jacob dużo czyta, nie miała jednak pojęcia, że aż tak dużo.

- Czy te półki na książki to też pomysł Isaaca?

- Nie - odparł Jacob. - Ja je zrobiłem.

- W takim domu powinna być osobna biblioteka.

- Tak, ale ja lubię mieć książki pod ręką.

Prawdę powiedziawszy, salon bardzo przypominał bibliotekę, z tymi półkami, zielonymi lampkami i skórzanymi fotelami. A obok fotela ustawionego na wprost kominka, pod mosiężną lampą, leżała... gitara.

- Grasz na gitarze? - Celie usiadła i zaczęła oglądać instrument.

- Tak, trochę.

- A od kiedy?

- Och, nie pamiętam. Zacząłem, jak miałem jakieś jedenaście lat.

Spojrzała na niego, rozbawiona.

- Trochę, powiadasz? Przecież grasz od dwudziestu pięciu lat. A co grasz?

- Och, różne kawałki - bąknął, kierując się do drzwi. - Muzykę folkową, trochę klasyki i bluesa.

Nagle do Celie dotarło, że ten poważny, solidny Jacob Trask wstydzi się jak mały chłopiec. Musiała przyznać, że to ją ujęło.

- Nie odchodź - poprosiła. - Zagraj coś dla mnie.

- Nie gram dla ludzi - odparł, przystając.
- Tylko Murphy ma okazję słuchać twoich koncertów? Na dźwięk swojego imienia pies uniósł głowę i wstał z poduszki w rogu salonu.
- Granie dla ludzi wszystko psuje - odparł Jacob, głaszcząc go z roztargnieniem. - Mnie nie chodzi o to, żeby zrobić na kimś wrażenie. Ja to po prostu lubię.
- A jeżeli ci obiecuję, że nie zrobi to na mnie wrażenia?
- Może później - mruknął, kierując się do drzwi.
- A będzie jakieś później? - zapytała.
- Zobaczymy - odpowiedział.

Zapadał zmrok. W pustym pokoju znajdowali się tylko Jacob i Murphy. Salon rozbrzmiewał delikatną, smętną melodią z Appalachów, której nuty Jacob niedawno odnalazł. Nagle przerwał i zmarszczył brwi. „Zagraj coś dla mnie” - powiedziała. To absurdalne, że poczuł się wtedy onieśmielony. Pewnie uznała go za jeszcze większego dziwaka, kiedy jej powiedział, że nie gra nawet dla własnej rodziny. Oczywiście nie powinien przejmować się tym, co myśli o nim Celie Favreau.

Udając jednak, że go to nie obchodzi, okłamywał sam siebie. Minęły zaledwie dwa dni, odkąd natknął się na nią przy swoich klonach. Dwa dni, podczas których wciąż nachodziła go w myślach. Czasami wydawało mu się nawet, że znają się znacznie dłużej. Oczywiście to nie było tak, że nigdy nie miał dziewczyny. Wiedział, co to pożądanie i jak to jest być z kobietą, na której ci zależy.

Dowiedział się też, jakie to uczucie patrzeć, jak kobiety odchodzą. Prawdę mówiąc, czym można było zatrzymać je w Eastmont? Wszystkie chciały od niego czegoś więcej, niż

skłonny był im ofiarować. Można powiedzieć, że w pewnym sensie nie był dosyć dojrzały. A może obawy jego podsyciała pamięć o smutnej historii Sarah Jane i Isaaca?

Zaczął w zadumie grać bluesa.

Kończył się właśnie styczeń i życie Jacoba nabrało tempa. Zima to może dla większości ludzi senny okres, lecz dla hodowcy klonów cukrowych czas pełnej mobilizacji. Nagle okazało się, że ma więcej pracy niż godzin na jej wykonanie. Nie może więc tracić czasu dla kobiety o promiennych oczach. Nawet jeśli udało jej się pobudzić go do mówienia i śmiechu i nawet jeżeli nachodziła go w snach.

Dobrze wiedział, jak to się kończy, kiedy człowiek się zaangażuje. Wystarczy kilka randek, a już pojawiają się zobowiązania. Nagle przyłapał się na tym, że broni swojego stylu życia. Mieszkając z Murphym, nie miał takich problemów. Samotność zawsze mu odpowiadała, i niech tak zostanie.

Zwłaszcza w tym roku, kiedy wszystko spadło na jego barki. Dotąd sądził, że ma dosyć sił, aby udźwignąć każdy ciężar, lecz nagle zaczął w to wątpić. Gra toczyła się naprawdę o bardzo wysoką stawkę. Miał zbyt wiele do stracenia. A kto wie, jak będzie wyglądała jego przyszłość w związku z pojawieniem się szkodnika w klonach?

W tym momencie zadzwonił telefon. Postanowił nie odbierać. Po chwili włączyła się automatyczna sekretarka. Usłyszał własny głos: „To ja. Zostaw wiadomość”.

- Tu Gabe. Odbierz - rozległ się głos najmłodszego brata.
- Myślisz, że nie wiem, że tam jesteś. Ej, Murphy, jesteś tam?

- Murphy zaskomlał. - Odbierz, dobrze?

Murphy zaszczekał, a Jacob sięgnął z uśmiechem po słuchawkę.

- Czego chcesz?

- Wiedziałem, że tam jesteś.
- Czemu mnie dręczysz?
- Bo nie mam nic lepszego do roboty.
- Pokłóciłeś się z Hadley?
- Skądże! Ona mnie uwielbia. Nie chce ode mnie się odczepić. .. auu - zwrócił się do kogoś w tle - to boli!
- Wygląda na to, że mocno się do ciebie przyczepiła - stwierdził Jacob.
- Ona za mną szaleje - wyznał Gabe. - Co u was słychać? Nagrałeś mi się na sekretarce.
- Uśmiech znikł z twarzy Jacoba.
- Jest coś, o czym powinieneś wiedzieć. Możemy mieć kłopoty.
- Jakie kłopoty? - zaniepokoił się Gabe.
- Kręcą się tu ludzie z Departamentu Rolnictwa. Szukają chrząszcza, który atakuje klony cukrowe.
- I przy okazji niszczy je, tak?
- Tak. Ukrywa się w korze, przegryza rdzeń, a na dodatek przenosi grzyba. W dodatku bardzo szybko się rozmnaża.
- A to wredny pasożyt! Jacob sięgnął po kawę.
- Właśnie.
- Czy u nas też już jest?
- Nie wiadomo. Na razie go szukają - odparł Jacob i od razu przed oczami stanęła mu Celie. - Jeżeli go znajdą, mogą zarządzić wycinę wielu drzew.
- Co to znaczy: wielu?
- Całych akrów.
- Gabe milczał, najwyraźniej przygnębiony wiadomością.
- To byłaby katastrofa - powiedział w końcu. - Jak odbiłyby się to na twoich dochodach?

- Policz sobie. Mamy w tej chwili sto akrów, czyli ponad cztery i pół tysiąca drzew. Strata choćby dziesięciu procent byłaby bardzo dotkliwa.

- Poradzicie sobie z mamą?

- Mam nadzieję - odparł Jacob, choć dręczyła go niepewność. - Będę jednak musiał zmniejszyć twoje i Nicka udziały.

- Nam naprawdę na tym nie zależy - zapewnił Gabe. - Mam swoją pracę, tak samo jak Nick. To ty harujesz jak wół na plantacji i to tobie należą się pieniądze. Tobie i mamie.

- Ale to także wasza ziemia.

- Dopóki będę mógł przyjeżdżać, kiedy tylko zechcę, będę zadowolony. Martwisz się z powodu tego chrząszcza?

- Sam już nie wiem, co o tym myśleć. Zapadło milczenie, po czym Gabe zapytał:

- Dobrze się czujesz?

- Tak. A czemu pytasz?

- Jeszcze nigdy tak nie było, żebyś nie miał własnego zdania na jakiś temat. Pomyślałem sobie, że może jesteś chory albo coś w tym rodzaju.

- Śmieszny jesteś.

- Owszem - skromnie przyznał Gabe. - Mówiąc poważnie, o co chodzi?

- Jeszcze nie wiem. Celie przychodzi w poniedziałek ze swoją ekipą, żeby obejrzeć plantację. Jak skończą, będziemy wiedzieć więcej.

- Wtedy się dowiesz, czy będziesz musiał wyciąć część drzew?

- Czy będziemy musieli wyciąć część drzew - sprostował Jacob. - To nasza wspólna własność, Gabe. Ja zawsze o tym pamiętam.

- Doceniamy to. A jak mama to przyjęła?
- Na razie niewiele wiadomo, więc nie ma powodu do paniki. Poza tym ostatnio jest jakby nieobecna duchem.
- Nic dziwnego. Niedługo przypada rocznica.
- Za miesiąc.

Rok wcześniej o tej porze Adam Trask był jeszcze wśród nich i krążył z uśmiechem po plantacji. Jacob Trask miał jeszcze ojca i partnera w interesach, a Molly - męża. A potem pewnego dnia wszystko nagle się zmieniło...

- Jak ona się trzyma?
- Któregoś dnia przyłapałem ją na tym, jak płakała, bo myślała że nikt jej nie widzi.
- Płakała? - powtórzył cicho Gabe.
- Tak. Oczywiście dwie minuty później już się uśmiechała, ale wiem, że jest jej ciężko.
- Ona nas teraz potrzebuje - orzekł Gabe, jakby czytał w jego myślach.
- Tak.
- Posłuchaj, mam coś do załatwienia w Montpelier w przyszłym tygodniu. Może wpadłbym pod wieczór, na przykład na kolację?
- Mama na pewno się ucieszy. Weź ze sobą Hadley.
- Nie będzie mogła, bo musi jechać do Nowego Jorku w sprawach służbowych. Chodzi też o jej mieszkanie.
- Ach tak? Chce je sprzedać?
- W każdym razie to w Nowym Jorku. Tutaj ma drugie, w domu dla dyrekcji hotelu.
- W tym samym, co ty?
- Może.
- Czy dyrektor hotelu nie ma nic przeciwko temu, że żyjecie na kocią łapę?

- Raczej nie, bo to ona jest dyrektorem hotelu. Poza tym nie mieszkamy razem.

-Nie?

- Nie. Ona nadal ma swoje mieszkanie, a ja swoje. Jacob przeciągnął się, rozbawiony.

- Tracisz fory, braciszku?

- Nie. Nauczyłem się być cierpliwy. Zorientujemy się, kiedy przyjdzie właściwa pora.

- Życzę szczęścia.

- Dzięki. A, tak nawiasem, kto to jest ta Celie?

RS

Rozdział 4

Celie objęła wzrokiem zespół leśników, powołany w celu przeprowadzenia inspekcji. Część z nich stanowili pracownicy instytutu - nie tylko Marce, ale także Bob Ford i parę innych osób. Natomiast reszta wywodziła się albo z Państwowej Inspekcji Weterynaryjno-Rolniczej, albo ze Stanowego Wydziału Leśnictwa. Wśród nich znalazł się również Dick Rumson, który spoglądał na Celie z wyraźną niechęcią.

- Dzień dobry. Po pierwsze, z góry dziękuję za pomoc. Czeka nas mnóstwo pracy. To bardzo istotne, żebyśmy zakończyli inspekcję do końca marca, zanim zacznie się okres rójki. Jeżeli do tego czasu nie uda nam się opanować sytuacji, napytamy sobie biedy. - Celie wzięła ze stołu kartki i rozdała zebranym. - Oto skrócony plan działania, żebyście wiedzieli, jak podzielimy cały areal.

Rumson zerknął na arkusz, a potem powiedział:

- Tutaj jest napisane, że według ciebie potrwa to jakieś sześć, siedem tygodni.

- Tyle, mniej więcej, powinno nam to zająć, jeżeli chcemy skontrolować całe hrabstwo - odparła ze spokojem Celie. - Zaczniemy, rzecz jasna, od miejsc najbardziej zagrożonych.

- To bardzo dużo czasu jak na to, że zespół liczy szesnaście osób. Nie sądzę, bym mógł oddać swoich inspektorów do waszej dyspozycji na tak długi okres. Zwłaszcza że nie ma pewności, iż cokolwiek znajdziecie. Dlatego uprzedzam, że jeżeli przez dwa tygodnie nie natkniemy się na chrząszcza, wycofam moją ekipę.

Celie spojrzała Rumsonowi w oczy.

- Nie będziemy podejmować żadnych decyzji co do przedterminowego zakończenia akcji, dopóki nie skontrolujemy wszystkich plantacji. - A ty nie będziesz podkopywał mojego autorytetu, dodała w myślach.

-Ale jeżeli...

- Nie ma mowy o przedterminowym zakończeniu - powtórzyła z naciskiem. - Mamy pracę do wykonania i na niej się skupmy. Dopiero po inspekcjach będziemy wiedzieli co dalej.

Rumson przeszył ją wściekłym wzrokiem, ale zmilczał. Celie wskazała na leżące na stole eksponaty.

- Oto nasz bohater we własnej osobie. - Podała siedzącemu najbliższej przezroczyste pudełko z chrząszczem w środku. Był w czarno-żółte paski i miał duże, czerwone czułki. - Nie wygląda na takiego, co to potrafi zdziesiątkować lasy na północnym wschodzie naszego kraju, ale pozory mylą. Jest też mało prawdopodobne, że uda się wam zobaczyć go na drzewach, bo większą część życia spędza wewnątrz pnia. Właśnie dobiega końca okres jego zimowego snu. Będziemy szukać symptomów zagrożenia. - Wzięła ze stołu kawałek drewna. - Widzicie te jaśniejsze smugi i zgrubienia na korze? To reakcja na zakażenie grzybem przenoszonym przez naszego chrząszcza. Większość drzew broni się przeciwko temu, wydzielając pewną chemiczną substancję. Jeżeli natkniecie się na drzewo, które wygląda po-

dejrzenie, zaznaczcie je i pobierzcie próbkę z otworu, wywierconego przez szkodnika. Wykrycie śladów grzyba, albo, jeszcze lepiej, inhibitora, to najpewniejsza metoda na potwierdzenie obecności chrząszcza. Głos zabrał Ford:

- O ile pamiętam, czytałem, że niektóre gatunki drzew są odporne.

- To prawda. Nasz chrząszcz nie lubi, na przykład, jesionu albo dębu. I nie jest to kwestia smaku. Drzewa te mają po prostu wyższy poziom inhibitorów. Gdyby na nich żerował, zginąłby w krótkim czasie. Niestety, klon cukrowy nie jest na tyle silny, aby mu się oprzeć.

- Czy nie ma środków owadobójczych, których można by użyć? - zapytał ktoś ze stanowych służb leśnych.

- Żaden z preparatów owadobójczych, stosowanych obecnie w naszym kraju, nie okazał się wystarczająco skuteczny.

- Coś jest, tylko nie dla nas? - zapytał Ford.

- Mniej więcej. Pracowałam w zespole, który wyodrębnił inhibitor chemiczny i z jego koncentratu wyprodukował środek owadobójczy o nazwie SMB-17. Preparat ten został w zeszłym roku dopuszczony do sprzedaży w Kanadzie i Japonii. .. - Celie zawiesiła głos. - Jego nazwa handlowa brzmi

„Żukol”

Wszyscy roześmiali się, oprócz Rumsona, który zapytał:

- A u nas?

- Nasze agencje rządowe chcą mieć więcej czasu i więcej danych. Mamy jednak nadzieję, że już wkrótce preparat otrzyma atest. - A na razie drzewa giną tysiącami, dodała w duchu, zgnębiona.

- Czy stanie się to na tyle szybko, żebyśmy i my mogli z tego skorzystać? - zapytała Marce.

- Nie wiem, ale z tego, co słyszałam, specjalna komisja sprawdza dane i powinna wkrótce podjąć decyzję.

- To chyba dobra wiadomość?

- Komisja sprawdza dane już od sześciu miesięcy. - Wciąż zarządza nowe testy i odwleka decyzję w nieskończoność, pomyślała Celie, ale tego nie powiedziała.

- Tak postępują ludzie odpowiedzialni - wtrącił się Rumson. - To, że tobie się spieszy, nie znaczy wcale, iż musimy rozpylać ten środek.

- Tego się nie rozpyła, tylko wstrzykuje - sucho rzuciła Celie.

- Tu chodzi o coś więcej niż tylko twój program - ciągnął namaszczonym tonem Rumson. - Z klonów uzyskuje się produkty spożywcze. Jeżeli ci się wydaje, że możesz coś tam upichcić w swoim laboratorium, a my przyjmujemy to na słowo, to się grubo mylisz. Podjęcie właściwej decyzji wymaga czasu. Na tym polega odpowiedzialność.

Głupi, stary Dick. Im bardziej niekompetentny, tym bardziej nadęty, uznała w duchu Celie i powiedziała:

- Tak, tylko że oni już dwa lata temu dostali dane z pięciu lat oraz z trzech niezależnych źródeł. Można by się spodziewać, że wystarczy rok na podjęcie decyzji.

Ktoś z podwładnych Rumsona chrząknął znacząco.

- Tak czy inaczej, to kwestia przyszłości - mówiła dalej Celie. - Obecnie naszą jedyną bronią jest wycinka drzew zarażonych oraz tych o podwyższonym ryzyku. Im prędzej, tym lepiej. Czeka nas ciężka praca. Toczy się gra o przyszłość tego regionu, więc miejcie oczy szeroko otwarte. Jeżeli coś wyda wam się podejrzanym, koniecznie zaznaczcie to drzewo i pobierzcie próbki. Odbiorę je od was wieczorem i zajmę się resztą. - Rozdała im mapy. - Oto wasza marszruta.

Rumson przyjrzał się mapce.

- Myślę, że sam pokieruję swoimi ludźmi. Zajmiemy się południową połową hrabstwa.

- Nie, Dick.

Rumson zmarszczył brwi.

- Nie chcesz mi chyba...

Tylko spokój może nas uratować, przestrzegła się w duchu Celie.

- Może naradzimy się we trójkę, Dick? - zaproponowała. - Ty, Bob i ja? Reszta może wyjść. Zaraz do was dołączymy.

Po kilku chwilach zostali sami.

- Niech ci się nie wydaje, że będziesz mi rozkazywać przy moich podwładnych - zaatakował ją Rumson.

- Przykro mi, Dick, ale nie możesz poprowadzić tej akcji. Jeżeli kontrola ma być maksymalnie skuteczna, potrzebne jest centralne zarządzanie.

Rumson się zjeżył.

- Próbujesz mi powiedzieć, że nie potrafię zarządzać moim personelem?

- Usiłuję ci zwrócić uwagę na to, że to bez znaczenia. Jeżeli mamy zdążyć na czas, musimy się zorganizować. Prowadzę tego typu akcje od trzech lat i wiem, co należy robić. Postaram się jak najszybciej przeprowadzić tę kontrolę, a potem zniknę ci z oczu.

- Nie wejdiesz na moje terytorium i nie odbierzesz mi moich ludzi.

- Nie zależy mi na twoim terytorium, Dick - powiedziała Celie, modląc się w duchu o cierpliwość. - Jedyne, czego chcę, to zlikwidować zagrożenie. Im prędzej mi się to uda, tym lepiej dla nas wszystkich. Ludziom potrzebne jest jedno źródło informacji i ja nim będę.

- Jako naczelnik Stanowego Urzędu Ochrony Zasobów Leśnych, mam prawo wiedzieć, co tu się dzieje.

- Jeżeli chcesz, mogę ci codziennie zdawać raport - zaproponowała, zrezygnowana. - Nie chcę kontrolować twoich ludzi, Dick. To jest specjalny projekt i wiem z doświadczenia, że najlepiej jest przyjechać, zrobić swoje i zniknąć.

- Dobrze. - Rumson zmiękł. - Chcę mieć te raporty.

- Będziesz je miał.

- Codziennie!

- Codziennie. - Celie wstała. - Wobec tego, to już ustalone.

A teraz bierzmy się do roboty!

Jacob najbardziej lubił lasy zimą. Bezlistne drzewa miały w sobie surowe piękno. Tym razem jednak nie potrafił dopatrzeć się w nich żadnej urody. Gdy szedł z ekipą inspekcyjną, mijane drzewa wydawały mu się bezbronne i nagie.

Dotarli do strumyka na granicy jego posiadłości. Celie przystanąła i zawołała:

- Zaczynamy! Formujemy tyralierę i posuwamy się w kierunku drogi, znacząc obejrzane drzewa.

Są tu po to, aby mi pomóc, mówił sobie w duchu Jacob, idąc za Celie. Chcą tego, co najlepsze dla mojej plantacji. Czemu więc czuję się tak, jakbym wpuścił hordę dzikusów na swoje święte terytorium? W końcu to tylko lasy, nic więcej.

Tak, ale to są jego lasy!

- Wy tłumacz mi raz jeszcze, dlaczego nie mogę wam pomagać? - Z przyzwyczajenia oglądał wszystkie drzewa. Znał przecież większość z nich, odkąd sięgał pamięcią.

- To odgórne zarządzenie. Nie wolno nam angażować właścicieli.

- Przecież to właściciele są najbardziej zainteresowani, gdy

stawką jest wycinka ich drzew! - powiedział podniesionym głosem.

Celie zerknęła na niego z ukosa, a potem znów zajęła się oględzinami pnia.

- Jeżeli jakieś drzewo musi zostać ścięte, trzeba to zrobić. Ja nie mam żadnych oporów przed zrobieniem tego, co konieczne. Pamiętaj, że to nie ja jestem waszym wrogiem. - Zaznaczyła drzewo żółtą farbą i poszła dalej.

Jacob odetchnął. Żółty kolor oznaczał, że drzewo jest zdrowe.

- Wiem - mruknął.

- Byłoby lepiej, gdybyś poczekał w domu, aż skończymy. Nie ma mowy, pomyślał. Nie opuszczę moich drzew.

- Idź i rób swoje - rzucił - a ja tu zostanę. Obejrzyjcie też koniecznie drzewa u podnóża tego pagórka. Jedno z nich wyglądało marnie zeszłego lata - dodał z westchnieniem. -Może to z powodu chrząszcza?

- Sprawdzę to. Są też inne rodzaje szkodników. Może to nic groźnego. - Celie przystanąła przed okazałym klonem.

- Naprawdę musicie obejrzeć każde drzewo? - zapytał.

- Każde, co do jednego. - Pacnęła żółtą farbą i podeszła do klonu, mającego nie więcej niż pięć centymetrów grubości, który Jacob zamierzał przesadzić w inne miejsce. - Możemy pominąć jesiony i dęby, bo wiemy, że szkodnik ich nie lubi. Cała reszta jest w grupie ryzyka. Dlatego używamy farby. To jedyna metoda, żeby mieć pewność.

- Trzeba przy tym dużo się nachodzić - zauważył Jacob. Spojrzała na niego, rozbawiona.

- To mnie utrzymuje w formie. A wracając do rzeczy, zrobiłeś kawał dobrej roboty. Jak dotąd, nie znalazłam ani jednego drzewa, które należało by wyciąć.

- Staram się nad tym panować. Niewykluczone, że trzeba będzie wyciąć ten klon, o tam. Rośnie bardzo wolno i u nasady ma narośl. Nie ten - dodał Jacob, widząc, że Celie patrzy na klon tuż przed nimi. - Ten jest zdrowy. Mam na myśli ten czerwony, trochę dalej.

Ona jednak podeszła do najbliższego klonu i uśmiech znikł z jej twarzy.

Jacob poczuł zimny dreszcz, biegnący wzdłuż kręgosłupa.

- Te drzewa są zdrowe - powiedział, starając się mówić spokojnie. - Zeszłego roku większość z nich dała podwójną ilość soku. - Codziennie pełne wiadro, dodał w myśli. Średnio pięćdziesiąt litrów z każdego drzewa w ciągu sezonu. Tysiące dolarów zysku, w promieniu rzutu kamieniem od miejsca, w którym stał.

- One nie są zdrowe, Jacob, stały się żywicielami chrząszcza.

- Tego nie wiesz, dopóki nie przeprowadzisz testu - odparł zdenerwowany.

- Testy tylko potwierdzą moją opinię. To drzewo trzeba będzie ścinać, a także te rosnące wokół. Nie mamy wyjścia, Jacob. Wiem, że wyglądają na zdrowe, ale musimy zdusić wroga w zarodku, zanim będzie za późno. Jeżeli zaraza się rozprzestrzeni, możemy stracić drzewa nie tylko w tym hrabstwie, ale może nawet w całym stanie. Rząd oczywiście pokryje koszty wycinki i nowych sadzonek.

- Nowych sadzonek? Zanim zaczną dawać sok, minie pięćdziesiąt lat!

- Wystarczy dwadzieścia, jeżeli rzeczywiście będą należycie pielęgnowane.

- O tak, jeżeli będą należycie pielęgnowane. A z czego mam żyć w tym czasie? Czy rząd zrekompensuje mi straty? - Muszę przecież utrzymać matkę i siebie, pomyślał z rozpaczą.

Celie nie odpowiedziała, tylko pobrała do próbówki trochę ciemnego proszku. Jacob z bezsilną furią patrzył, jak maluje na pniu duże X.

X oznaczało śmierć drzew i plantacji.

- Co będzie, jeżeli wynik okaże się pozytywny?

- Wytniemy to drzewo, wraz ze strefą ochronną.

- To znaczy jak daleko? - zapytał, starając się nad sobą panować.

Celie spojrzała na Jacoba, po czym zaczęła się oddalać, licząc kroki. Poszedł za nią, ze ściśniętym sercem kładąc rękę na każdym mijanym drzewie. Tak daleko! Tyle drzew!

- Może już wystarczy? - zapytał, gdy głosy ekipy zamarły w oddali. - Przecież to zdrowe drzewa! - Wspięli się na niewysokie wzgórze, a potem zeszli na dół.

Celie przestała liczyć i odwróciła się.

- Znasz zasady. Te wszystkie drzewa znajdują się w zasięgu lotu chrząszcza. Jeżeli dojrzałe osobniki wyfrunęły zeszłego lata z tamtego klonu, mogły zaatakować każdy z tych rosnących tutaj.

Jacob spojrzał na łagodny południowy stok, najurodzajniejszy na jego plantacji.

- Stoimy na granicy tego koła?

Celie potrząsnęła głową i zrobiła krok w przód. Chciał ją złapać za rękę i zatrzymać. Przy każdym metrze był coraz bardziej spięty, z trudem trzymał nerwy na wodzy.

- To dopiero sto metrów - odparła po chwili Celie. - Według przepisów, strefa ochronna wokół każdego zarażonego drzewa powinna wynosić sto pięćdziesiąt metrów.

- Sto pięćdziesiąt metrów?! To piętnaście akrów plantacji! Jak wyznaczyliście taki promień? Wystawiając na wiatr oblizany palec?

- Nie - rzuciła ostrym tonem. - Zainstalowaliśmy pułapki, a potem wypuściliśmy pewną ilość oznakowanych, wysterylizowanych osobników. Zmierzyliśmy tor lotu chrząszcza, który dotarł najdalej, i dodaliśmy jeszcze margines bezpieczeństwa.

- To wszystko opiera się na fizycznych możliwościach garstki chrząszczy?

- Nie. Na fizycznych możliwościach całego gatunku. Niszczycielskiego gatunku.

- Nigdy nie przyszło wam do głowy, że ten złapany przez was chrząszcz to mutant, który potrafi latać dalej niż cała reszta?

- Oczywiście boję się, że on może nie być reprezentatywny, że nie doceniamy ich możliwości. Że gdyby w pobliżu nie było żadnych klonów, doleciałyby nawet do sąsiedniego hrabstwa. Obawiam się, iż wycinam drzewa niepotrzebnie, bo za mało.

Zrobiła kilka kroków, a potem nagle się odwróciła. Z jej oczu wзираło przygnębienie.

- Myślisz, że łatwo mi to przychodzi? Część drzew, które kazałam wyciąć, miała ponad sto lat. Rosłyby jeszcze długo po tym, jak ja obrócę się w proch, ale musiałam je wyciąć, aby ocalić lasy. Myślisz, że nie dostrzegam ironii losu? Odbieram ludziom źródło utrzymania i nienawidzę tego. Nienawidzę! - podkreśliła, coraz bardziej wzburzona. - Jednak trzeba to zrobić. Przynajmniej wiem, że przeprowadzę to jak należy. Masz szczęście, Jacob, bo mogłeś trafić w ręce Dicka Rumsona. - Powiedziawszy to, ruszyła przed siebie.

- Poczekaj! - zawołał za nią.

- Na co? - burknęła.

Dogonił ją i położył jej rękę na ramieniu.

- Jestem ci winien przeprosiny, a nie mogę kierować ich do twoich pleców.

Kiedy się odwróciła, zobaczył jej pobladałą z rozpaczyny twarz.

- Przepraszam. Nie powinienem był mówić tego wszystkiego, ale, wierz mi, ciężko patrzeć na drzewa, wiedząc, że są skazane. - Wzruszył bezradnie ramionami. - One są częścią mojego świata. Moim miejscem na ziemi.

- Zapewniam cię, że wolałabym przyjechać tu z innych powodów.

Pomyślał, że on też by wolał.

- To szczęście w nieszczęściu, że trafiliśmy na ciebie - przyznał i wyciągnął rękę, aby dotknąć jej policzka, ale dotknął jej ramienia. - Rozdarłaś sobie kurtkę.

- Co? Ach, tak. Już kilka lat temu.

- Nie myślałaś o tym, żeby kupić nową? - zapytał, ujmując w palce kawałek wystającego puchu.

- Och, to świetna kurtka. Jest bardzo ciepła, chociaż dosyć zniszczona. A o co chodzi? - zapytała, widząc jego minę.

- O nic - mruknął i nagle poczuł się lepiej. - Chodźmy, przecież trzeba oglądać drzewa.

Rozdział 5

Celie oderwała się od mikroskopu i potarła zmęczone oczy. Tego dnia już od świtu była na plantacji, wędrując od drzewa do drzewa. Szczęściem w nieszczęściu było to, że chrząszcz atakował pień tuż nad ziemią, a nie górne partie korony, bo musieliby dodatkowo zatrudnić wspinaczy. W tym zaś wypadku na zbadanie jednego drzewa wystarczała minuta, łącznie z dojściem. Oczywiście o ile nie trzeba było pobierać próbek

Dobłą stroną całej operacji było to, że mogli iść szybko. Złą - że po mniej więcej godzinie nawet jej zaczynało ćmić się w oczach, więc musieli często robić przerwy. Chociaż żałowała każdej straconej minuty, było to konieczne. Nie wolno było niczego przegapić. Do laboratorium wracała późnym popołudniem i badała pobrane próbki.

Teraz też wzięła opisaną próbkę i zaczęła oglądać w skupieniu jej zawartość. Zielonobrazowy proszek był zmieszany z korą. Odkręciła zakrętkę i szpatułką wyjęła odrobinę. Teraz wystarczyło rozpuścić proszek, przefiltrować, dodać dwie krople odczynnika i oto rezultat: bladoczerwone zabarwienie wskazujące na obecność inhibitora. Z westchnieniem popatrzyła na etykietkę. Jacob...

Kiedy tu przyjechała, miała nadzieję, że to fałszywy alarm. Tym razem jednak trzeba będzie wyciąć drzewa. I to dużo.

Szybko skończyła testować próbki, zaznaczając położenie zakażonych drzew na mapie topograficznej okolicznych terenów. Wyjęła cyrkiel, zakreśliła trzy kręgi i poczuła, że ściska jej się serce. Pod topór pójdzie dziewiętnaście akrów najstarszych, najbardziej wydajnych drzew, mogących dawać podwójną, a nawet potrójną ilość soku; klonów o pniach półmetrowej grubości.

Niestety, to ona będzie musiała powiedzieć o tym Jacobowi. Przekazywanie złych wieści to jej zadanie. Potarła skronie, w których już zaczynał pulsować ból, a potem sięgnęła po telefon.

- Laboratorium pestycydów, Pete Craven przy aparacie - usłyszała głos w słuchawce.

- Cześć, Pete, tu Celie.

- O, cześć, Celie! - z przesadnym entuzjazmem powitał ją szkolny kolega. - Nie dzwonisz chyba z portierni?

- Niby dlaczego? - zapytała słodkim tonem. - Tylko dlatego, że kiedy ostatnio rozmawialiśmy, powiedziałeś mi, że Żukol będzie dostępny w sprzedaży, a jeszcze nie jest?

- Jestem jedynie kierownikiem laboratorium; przekazuję wyniki badań.

- Oraz informacje. Dokładne, mam nadzieję.

- Celie, jeżeli ktoś się dowie, że z tobą rozmawiałem, jestem skończony.

- Pete, mam podjąć decyzję o wycięciu dziewiętnastu akrów drzew. Może nawet będzie tego więcej. Dlatego muszę wiedzieć, jak sprawy stoją.

Peter odezwał się po dłuższym milczeniu.

- Dobrze już, dobrze. Wstępna wersja zezwolenia trafiła na moje biurko.

Celie nie mogła powstrzymać okrzyku radości.

- Zezwolenia? To znaczy...?

- Wstępna wersja - przypomniał. - Jeszcze bez konkretnej daty oraz bez pieczętki. Nie ciesz się zawczasu, Celie.

- Przecież zamierzają dopuścić ten środek na rynek?

- Dopóki nie ma oficjalnej zgody, w każdej chwili mogą powiedzieć „stop”. Wolno ci, oczywiście, być dobrej myśli, ale to na razie wszystko. Słyszysz mnie?

- Muszę wyciąć mnóstwo drzew, Pete. Co robić? Grać na zwłokę? Błagam, zdradź mi, ile to jeszcze może potrwać?

- Nie mogę. To wbrew przepisom.

- A gdybyś to ty musiał je wyciąć? - nie ustępowała. - Gdyby grunt palił ci się pod nogami?

- No dobrze. Jakies dwa, trzy tygodnie. Może miesiąc albo, dla bezpieczeństwa, półtora.

- Sześć tygodni? Nawet cztery to za dużo, bo zaczyna się sezon rójki.

- Przykro mi, że nie mogę podać ci żadnych konkretów.

Wstępne zezwolenie oznacza zazwyczaj, że pestycyd zostanie zarejestrowany lada dzień. Jednak w przypadku akurat tego, nic nie idzie zgodnie z planem.

Celie westchnęła, zrezygnowana.

- Tak czy inaczej, wielkie dzięki za informację.

- Nie ma za co. Przysięgam, że jak tylko będę coś wiedział, od razu zadzwonię.

- Przyznam ci się, że już dostaję kręcka, Pete. Powiem nawet, że im bliżej końca, tym gorzej.

- Już niedługo. Ten wasz Żukol to naprawdę wielka sprawa. Chyba stać cię na odrobinę cierpliwości?

Z tym mogą być kłopoty, pomyślała Celie, odkładając słuchawkę. Zwłaszcza teraz, gdy będzie musiała powiadomić Jacoba, że trzeba wyciąć trzon jego plantacji.

Jak to przeprowadzić? - zadała sobie w duchu pytanie, wpatrując się w ścianę. Szybki telefon byłby najlepszym wyjściem. Przekaze mu informację i zakończy rozmowę. Dzięki temu nie będzie musiała oglądać jego twarzy. Poza tym regulamin nie mówi nic o tym, że należy robić to osobiście. Dzwoniąc, oszczędzi sporo czasu. Tak będzie szybciej. I zdecydowanie łatwiej.

Ta myśl przeważała szalę i kazała Celie sięgnąć po kluczyki. Jacob nie zasłużył sobie na to, by go potraktować zdawkowo. Powinien usłyszeć tę Hiobową wieść z jej ust.

Jacob rzucił na ziemię naręcze drew. Tego dnia towarzyszył Celie aż do momentu, w którym poczuł, że już dłużej tego nie zniesie. Strach ścisnął go za gardło, ilekroć sięgała po przyborek. Za każdym razem, kiedy przystawała przed drzewem, zadawał sobie pytanie, czy jest chore, i ile klonów trzeba będzie w związku z tym wyciąć. A także, ile razy jeszcze to się powtórzy, zanim świat, do którego przywykł, zniknie na zawsze.

Spojrzenia, jakie mu rzucała, sprawiały, że wszystko stało się jeszcze trudniejsze. Odnosił wrażenie, że coś zaczyna się między nimi dziać. Coś, co nie miało prawa zaistnieć w zamęcie, jaki wniosła w jego życie.

Nawet pośród tej grozy nie przestawał pragnąć Celie. Był na siebie wściekły, bo gdy gra toczyła się o sens jego istnienia, on myślał głównie o jej ciemnych oczach i różowych ustach.

Po powrocie do domu zabrał się za rąbanie drew, które przygotował jeszcze w lecie, na kawałki odpowiedniej dłu-

gości. Przywiózł je teraz pod budynek cukrowni i wziął się za wyładowywanie. Układał polana w pryzmy, tuż przy drzwiach. Kiedy będzie gotował sok, stojąc przy piecu pod parownikiem, otworzy na oścież drzwi i będzie miał drwa w zasięgu ręki.

Była to ciężka, bezmyślna praca. Nie myślał o tym, że mógłby się sforsować. Dawno już zrzucił kurtkę i zdjął flanelową koszulę. W bawełnianym podkoszulku było mu wystarczająco ciepło.

Podnieś, połóż na stos, odwróć się i pochyl. Stos drewna pod ścianą rósł z każdą minutą. Już za kilka tygodni rozniecą ogień w palenisku i zaczną gotować sok w płytkich rynnach. Rozejdzie się zapach dymu drzewnego i klonowej słodyczy. Tak pachnie sezon cukrowy.

Ulubiona pora roku Jacoba.

Gdy sok zacznie wyciekać z drzew, świat obudzi się do życia. Do tej pory on, Jacob, będzie pracował i postara się nie myśleć o Celie. Sięgając po kolejne polano, usłyszał za sobą kroki, więc się odwrócił.

- Cześć!

To była ona. Stała na podwórku i na niego spoglądała. Miała w twarzy coś, czego przedtem nie było, jakieś napięcie. Odłożył na bok polano i otrzepał rękę.

- Cześć.

- Ciężko pracujesz.

- Nadganiem wczorajszy dzień. Zbliża się sezon, a zostało mnóstwo do zrobienia. Co u ciebie? - Patrzył, jak podchodzi do wózka i dotyka pociętych polan, omijając go wzrokiem. Czekaj; wiedział, że nie przyjechała tu bez powodu.

- Nie słyszałeś o fajrancie? - zapytała w końcu, omijając go wzrokiem.

- Nie na plantacji. Trzeba wreszcie zwieźć drewno.

- W nocy?

Spojrzał w niebo. Słońce chyliło się ku zachodowi.

- Nie pomyślałem o tym. Po prostu pracowałem. A ty? Byłaś dziś w strefie zagrożenia?

Dopiero wtedy na niego spojrzała.

- Tak. Dziś po południu skończyliśmy inspekcję twojej plantacji. Jadę prosto z laboratorium.

Nie musiał pytać o werdykt, bo wyczytał go z jej oczu.

- A niech to diabli! - zaklął.

- To tylko trzy drzewa - powiedziała szybko. - Rosną dosyć blisko siebie.

Jacob zacisnął kurczowo palce wokół polana i wbił wzrok w ziemię.

Kroki Celie zaskrzypiały na śniegu. Po chwili zobaczył jej buty obok swoich buciorów.

- To nie twoja wina. Nie mogłeś temu zaradzić.

Może i tak, ale to żadna pociecha. Podniósł głowę i spojrzał na Celie.

- Ile, wobec tego, trzeba będzie wyciąć?

- Nie wiem na pewno.

- Wiesz.

- Nie musimy w tej chwili o tym rozmawiać...

- Ale ja chcę. Zawahała się.

- Dziewiętnaście akrów, może trochę więcej. Tę część wzdłuż Bixley Road, którą sprawdzaliśmy wczoraj.

Czyli część najbardziej urodzajną. Partię najstarszych i najmłodszych klonów. Zamknął oczy i wtedy poczuł na ramieniu dłoń Celie.

- Jacob... - Głos miała cichy, łagodny. - Posadzimy no-

we sadzonki. Wiem, że to niewiele, ale zrobimy wszystko, co tylko możliwe, żeby te drzewa zaczęły dawać sok już za dwadzieścia lat. Przebrałam też glebę. Jest jak najbardziej odpowiednia. Zobaczysz, że ci się uda... że nam się uda. Tak mi przykro. Nie taką wiadomość chciałam ci przekazać.

- Nie musi ci być przykro. Robisz to, co do ciebie należy.
- Chciałabym jakoś temu zaradzić.
- Ja też. - Spróbował skupić się na tym, co usłyszał. -

Dziewiętnaście akrów, tak?

Pokiwała głową, po czym zapytała:

- Jak duże będą straty?

Może jakoś sobie poradzimy, pomyślał. Pod warunkiem, że nie będzie zbyt wielu nieurodzajnych lat pod rząd. Trzeba będzie ograniczyć wydatki. Zrezygnować z kupna nowej ciężarówki. Będzie też musiał zapomnieć o nowej gitarze. Na pewno znajdą jakieś wyjście. Na najdalszym krańcu plantacji miał trochę drzew, z których można będzie zacząć zbierać sok za osiem, a może dziesięć lat. Do tego czasu trzeba przetrwać.

- Jeżeli mnie zobaczysz za ladą u Raya, będziesz wiedziała, że zbankrutowałem. - Zaśmiał się z goryczą.

- To nie jest temat do żartów.

- Niby dlaczego nie, Celie? Najgorsze, co może mnie spotkać, to że będę musiał poszukać innej pracy na najbliższe dziesięć lat.

- Jak możesz podchodzić do tego tak lekko?

- Nie wiem. - Oparł się o wózek i nagle otrzeźwiał. - To koszmar, który prześladował mnie od prawie roku, czyli odkąd przeczytałem o tym szkodniku w Internecie. A zwłaszcza po twoim przyjeździe. Teraz przynajmniej wiem, jak fatalna jest sytuacja, i że da się z tym żyć, mimo wszystko.

Dzięki ci za to, że odcięłaś mnie z haka. - Spojrzał na nią z powagą. - Mówię serio.

Celie przyjrzała mu się uważnie. Jego twarzy nie wykrzywił ironiczny grymas. Mówił serio.

- Spodziewałam się innej reakcji.

- Myślałaś, że urwę ci głowę?

- Między innymi.

- Przecież to nie twoja wina.

- Nieważne. Niełatwo jest usłyszeć takie wieści. Dałabym wszystko, żeby nie były prawdziwe.

- Ja też.

W zapadającym zmroku oczy Jacoba były przeraźliwie niebieskie. Nagle zapragnęła go przytulić. Oczywiście tylko po to, aby go pocieszyć, uznała, choć wiedziała, że to nieprawda. Wręcz ją do niego ciągnęło. Ciekawe, jakie byłoby to uczucie, gdyby go dotknęła? I jaki smak miałyby jego usta?

Jacob, jakby czytając w jej myślach, pochylił się w jej stronę.

Niestety, w tym samym momencie ktoś otworzył drzwi na drugim końcu budynku.

- Jak długo będziesz tam tkwił? - zawołał męski głos. -
Kolacja na stole!

- Już idę! - odparł Jacob, nie spuszczając wzroku z Celie. Wychyliła się i zobaczyła na ganku ciemnowłosego mężczyznę w garniturze.

- Czy to ma znaczyć... och, witam - odezwał się na jej widok.

- Cześć - odrzekła.

- Jestem Gabe, brat Jacoba.

- A ja jestem Celie.

Gabe błysnął zębami w uśmiechu.

- Miło mi cię poznać.

- Nie masz nic do roboty? - zirytował się Jacob. - Wracaj do domu, bo zmarzniesz. Zaraz przyjdę.

- Rozkaz. - Gabe zamknął drzwi, a Jacob odwrócił się do Celie.

- Na czym to stanęliśmy?

Ujęła się pod boki i spojrzała na wózek.

- Wygląda na to, że masz dużo roboty, a mało czasu. Pozwól, że ci pomogę.

-Nie potrzebuję...

- Kolacja na stole, więc prędzej skończysz, nie musząc chodzić tam i z powrotem. To naprawdę nie jest takie ciężkie. - Podniosła kilka polan, żeby mu zademonstrować, z jaką łatwością to robi.

Jacob przyglądał jej się przez chwilę, a potem podszedł do wózka.

- W porządku.

Wystarczyło kilka minut, aby zgrali rytm, i stos drewna na wózku zaczął topnieć w zaskakującym tempie. W pewnym momencie Celie upuściła polano i głośno zaklęła.

- Co się stało? - zapytał Jacob.

- Wbiłam sobie drzazgę. - Zrzuciła rękawiczkę i zaczęła oglądać palec.

Jacob nachylił się i podniósł rękawiczkę.

- Pewnie wiesz, że masz dziurę na palcu?

- To moje rękawice robocze - próbowała się od razu usprawiedliwić.

- Tym bardziej nie powinny być dziurawe. Rękawice robocze są po to, żeby chronić ręce.

-I co z tego?

- Dużo nie kosztują. Nie myślałaś o tym, żeby kupić nowe?

- Na ogół nie ładuję w nich drewna. A do badania drzew są zupełnie wystarczające. To jeszcze...

- Wiem, co chcesz powiedzieć. Że są jeszcze całkiem dobre. - Odłożył rękawiczkę i zdjął swoją. - Daj mi rękę.

Spojrzała na niego podejrzliwie.

- Po co?

- Chcę ją obejrzeć.

Nachylił się nad jej dłonią niczym chiromanta i rozprostował jej palce.

Poczuła falę gorąca i zapomniała o bólu. Gdy musnął paznokciem koniuszek jej palca, szukając drzazgi, zamarła. Drobne ukłucie, jakie przy tym poczuła, było niczym w porównaniu z falą impulsów, rozchodzących się z jego ręki po jej ciele. Nagle zapragnęła, aby jej dotykał. Wszędzie.

- Mam! - Poczuła ostry ból. To Jacob wyjął drzazgę, ale nie puścił jej ręki. - Już lepiej?

Czy lepiej? Lepiej byłoby, gdyby dotknął ustami jej warg, żeby wreszcie mogła poznać, co to za uczucie.

- Może byśmy...

W tym momencie drzwi na ganek znowu się otworzyły i Gabe ruszył ku nim po śniegu w swoich cienkich skórzanych półbutach.

- Celie? Mama mówi, że ty też masz przyjść. - Podeszedł jeszcze bliżej. - Co ty robisz, Jacob? Wróżysz z ręki?

Celie szybko cofnęła dłoń.

- Jacob pomagał mi wyjąć drzazgę. Gabe uśmiechnął się.

- Oszczędzę wam dowcipów o zabawie w pana doktora.

Przyszedłem po twierdzącą odpowiedź.

Celie spojrzała na Jacoba.

- Nie chciałabym przeszkadzać.

- Nie będziesz - zapewnił ją Gabe, zanim Jacob zdążył cokolwiek powiedzieć. - Kroi się niezła zabawa - dodał z uśmiechem.

- Może jeszcze trochę ziemniaków, Celie? - Molly Trask podsunęła Celie półmisek

- Nie, dziękuję. Pękam w szwach. - Pieczeń wieprzowa, ziemniaki puree z czosnkiem... Molly podała proste dania, od których trudno się oderwać. Po sutej kolacji Celie miała ochotę poluzować pasek. - To było pyszne. Odkąd wyjechałam z domu, nie pamiętam, żebym jadła taką kolację.

- A gdzie jest twój dom? - zapytała Molly, podając ziemniaki Gabe'owi, który ochoczo wziął dokładkę.

- Chyba w Montrealu, chociaż odkąd skończyłam studia, jestem bez przerwy w ruchu.

- To ekscytujące, móc wciąż poznawać nowe miejsca.

- O to mi właśnie chodziło - przyznała Celie i nagle pośród tej miłej rodziny podróże wydały jej się mniej podniecające. Ciągły ruch był ucieczką. Przede wszystkim od zakurzonej księgarni na montrealskiej starówce. Teraz jednak, patrząc na Jacoba, zaczęła się zastanawiać, czy w tej nieustającej wędrówce nie zgubiła części samej siebie.

- Twój rodzice muszą za tobą tęsknić. - Molly sięgnęła po szklanekę. - Często do nich jeździsz?

- Mniej więcej raz do roku - odparła Celie i nagle sobie uświadomiła, że to o wiele za rzadko. - Mam dość zwariowaną pracę - dodała bez przekonania. - Rodzice prowadzą księgarnię, są bardzo zajęci.

- Zarządzanie małą firmą kończy się zazwyczaj tak, że to ona tobą rządzi - stwierdziła Molly. - Jestem tego najlepszym przykładem.

- Czy pani rodzina miała plantację klonów?
- Skądże znowu! - Molly Trask roześmiała się. - Moi rodzice prowadzili stację benzynową na drugim krańcu miasta.
- W Eastmont?
- Tak. Byłam typową dziewczyną z małego miasteczka.
- Nigdy nie chciała pani stąd wyjechać?
- Owszem, spędziłam kilka lat na studiach. Myślałam o tym, żeby zostać nauczycielką, ale za każdym razem, kiedy przyjeżdżałam do domu, ten natrętny Adam Trask proponował mi randki. Mówiłam mu ciągle „nie”, ale on się tym nie przejmował. - Uśmiechnęła się. - Aż pewnego dnia zorientowałam się, że wolę przyjeżdżać do domu, niż z niego wyjeżdżać.

Celie zauważyła, że bracia wymienili zatroskane spojrzenia.

- Nie musi pani mówić...

- Oczywiście, że muszę - zaprotestowała Molly. - Brakuje mi rozmów o mężu. Tak to już jest, kiedy ktoś odchodzi. Wszyscy wokół starają się unikać rozmów o zmarłym, żeby cię nie martwić. A przecież im mniej się o nim mówi, tym szybciej jego obraz zaciera się w pamięci... - Urwała i po dłuższej chwili wyznała: - Nie chcę, żeby Adam zniknął na zawsze.

- Nie zniknie - odezwał się Gabe. - A już na pewno dopóty, dopóki my żyjemy.

- On jest na plantacji - powiedział Jacob z przekonaniem. - I w cukrowni, i w swoim domu. Podobnie jak ci wszyscy, którzy pracowali na tej ziemi. Dopóki istnieje plantacja, dopóty oni będą istnieć.

Dziedzictwo, pomyślała Celie. Nie zawsze musi ono być kulą u nogi. Czasami bywa kotwicą na wzburzonych wodach. A czasami pomaga człowiekowi zrozumieć, kim tak naprawdę jest i skąd się wywodzi.

Rozdział 6

Jęk pił elektrycznych rozdarł poranną ciszę. Jacob stał wśród swoich drzew i patrzył, jak ekipa drwali zabiera się do pracy. Za dwadzieścia cztery godziny, będąc w tym samym miejscu, będzie miał wokół siebie wykarczowane pole. Wciąż nie mógł się z tym pogodzić.

Wszystko to działo się zbyt szybko. Za dawnych czasów wycinanie drzew było ciężką pracą. Ludzie rąbali siekierami i piłowali ręcznymi piłami, przecinając powoli pień, a kiedy miał runąć, uskakiwali, krzycząc: „Uwaga!”. Teraz wystarczyło jedno bezlitosne cięcie, aby zakończyć stuletni okres powolnego wzrostu.

Śmiejąc się i dowcipkując, drwale zbliżyli się do pierwszego klonu o pniu grubym jak kolumny montpelierskiego ratusza. Jacob próbował się pocieszać, że drzewa nie odczuwają bólu. Skoro jednak tak jest, to dlaczego korona zadrżała, gdy zęby piły zaczęły wyrywać z pnia kawałki drewna i kory?

Zamknął oczy, gdy usłyszał głuchy łomot pnia o ziemię.

- Nie musisz tu być - odezwała się Celie za jego plecami.

- To moje drzewa. Ja... - Tego dnia wstał przed wscho-

dem słońca i obszedł plantację w ciszy poranka, próbując pogodzić się z tym, co nieuniknione. - Muszę tu być.

- Przecież to dla ciebie męka.

A jednak dzięki temu, że patrzył na śmierć swoich drzew, szok był mniejszy, niż gdyby zjawił się tu za dzień czy dwa i zobaczył, że ich nie ma.

Tymczasem robotnicy pocięli klon na mniejsze kawałki i załadowali do ryczącego rozdrabniacza. Niecałe pięć minut. Tyle trwało ścięcie drzewa, które rosło przez ponad półtora wieku. Drzewa, z którego jego pradziadek zbierał sok, jako pierwszy właściciel plantacji.

Ktoś gwizdnął z podziwem.

- Muszę sobie kupić taką elektryczną piłę. Założę się, że zdążą oczyścić ten teren do wieczora.

Jacob odwrócił się i zobaczył człowieka w zielonej koszuli, który wydał mu się znajomy. Drwale przyłożyli piły do następnego pnia i wkrótce drzewo runęło na ziemię.

Mężczyzna w zielonej koszuli potrząsnął głową i splunął.

- Oto huk ulatniających się kilkuset dolarów rocznie. Jak tak dalej pójdzie, nieszczęsny właściciel tej plantacji będzie latem stał w kolejce po zasiłek dla bezrobotnych. Z drugiej strony, wygląda na to, że sam podłożył się tej nasłanej idiotce.

- Kim pan jest? - rzucił Jacob przez zaciśnięte zęby.

- Jestem Dick Rumson, naczelnik Stanowego Urzędu Ochrony Zasobów Leśnych. A pan?

- Właścicielem tej plantacji.

Rumson wsunął do ust wykałaczkę i zaczął ją żuć.

- Obawiam się, że do wieczora niewiele ci zostanie, właścicielu. Mogliby przynajmniej zostawić trochę tego drewna na opał. Nie mam pojęcia, dlaczego je zabierają. Gdyby to ode mnie zależało, pozwoliłbym ci je spalić.

- Właśnie w ten sposób zaraza przeniosła się do Wisconsin i Minnesoty - powiedziała Celie, podchodząc. - To, że drzewo zostało ścięte, nie ma znaczenia. Jeżeli są w nim jajeczka albo larwy, mogą rozwinąć się w dorosłe osobniki. Chcąc wyeliminować zagrożenie, trzeba kompletnie zniszczyć drewno.

- Ty tak twierdzisz - rzekł pogardliwie Rumson.

- Owszem, i to ja dowodzę tą operacją. Dostałeś swoje raporty, Dick, więc co tu robisz?

- Chciałem zobaczyć, jak zabieracie człowiekowi źródło jego utrzymania. - Spojrzał wymownie na Jacoba. - Muszę iść. - Ruszył w kierunku swojego służbowego dżipa.

- Przepraszam - powiedziała Celie. - Nie wiedziałam, że tu będzie.

- Co za typ! Czy on ma rację?

- Program zwalczania szkodnika został ustalony po konsultacjach z naukowcami, współpracującymi z Departamentem Rolnictwa. Zespół doradczy liczył piętnaście osób. To była decyzja zbiorowa, a nie wyłącznie moja.

Ryk pił wzmógł się, gdy do akcji przystąpiła druga ekipa, która zabrała się za wycinanie młodszych drzew na przeciwnym stoku doliny.

Celie usłyszała za sobą ciche przekleństwo. Odwróciła się i wzrok jej padł na pobladłą, stężałą twarz Jacoba.

- Dobrze się czujesz?

- Sadziłem te drzewa z ojcem - wyjął. - Miałem wtedy sześć lat. Tata powiedział mi, że któregoś dnia będę z nich zbierał sok.

Celie poczuła, że serce jej się ściska.

- Odejdź, Jacob, proszę. Nie patrz na to.

- Kiedy muszę.

Chciałaby go jakoś pocieszyć, ale wiedziała, że nie przyjąłby jej współczucia. Odwróciła się i w szoferce jego ciężarówki zobaczyła Murphyego. Bez słowa otworzyła drzwi. Pies wyskoczył i dopadłszy Jacoba, zaczął skakać i lizać go po twarzy. Jacob, ten odludek i mruk, ukląkł i objął psa.

Celie podeszła do nich i podrapała Murphyego za uszami.

- Pomyślałam sobie, że przyda ci się kumpel.

Nie odrywając oczu od wycinającej drzewa ekipy, Jacob położył dłoń na jej ramieniu.

- Dzięki - powiedział cicho.

W tym momencie Celie poczuła, że gotowa jest podjąć każde ryzyko, byle oszczędzić mu dalszych cierpień.

Najlepszym sposobem na zwalczenie plotki jest informacja, uważał Bob Ford, a Celie się z nim zgodziła. Od pierwszego zebrania minął niespełna tydzień, a tylko dzień, odkąd ekipy drwali wkroczyły na plantację Jacoba, ale nastroje w auli miejscowej podstawówki były zdecydowanie inne. Celie wy czuła to, ledwie przekroczyła próg.

Tym razem nie było żartów przy kawie, nikt nie uśmiechał się i nie próbował z nią flirtować. Zebrani omijali ją szerokim łukiem, a w ich oczach malowała się wrogość.

Nie było to dla niej nic nowego. Rozumiała to, oczywiście, ale zrozumienie nie oznaczało, że zrezygnuje z wycinki i przestanie boleśnie odczuwać alienację. Do tej pory czuła się w tym miasteczku jak w domu. Teraz to się zmieniło.

Sięgnęła po mikrofon.

- Poprosiłam Boba, żeby zwołał zebranie, bo chcę przekazać wam najświeższe informacje o sytuacji, która dotyczy was wszystkich. - Prześlizgnęła się wzrokiem po audytorium. - Jak dotąd, znaleźliśmy trzy zarażone klony, i natychmiast

podjęliśmy stosowne kroki w celu oczyszczenia zagrożonej strefy.

- Wycinacie klony, nasze źródło utrzymania! - zaprotestował ktoś z tyłu sali.

- Obecność szkodnika tak czy inaczej oznacza koniec dla waszych plantacji - odpowiedziała. - To, co robimy, to jedyna szansa na ich uratowanie.

- Skąd wiecie, że ta metoda jest skuteczna? - Siwy mężczyzna poderwał się z krzesła. - Wycięliście masę drzew w północno-wschodniej części kraju, a nie zlikwidowaliście problemu. Klon cukrowy nie urośnie w jedną noc, chyba pani zdaje sobie z tego sprawę. Przyjeżdżacie tu i wycinacie nasze klony, a my możemy pożegnać się na dobre z tą częścią plantacji. Za naszego życia już nic tam nie urośnie.

- Tak - poparł go znany jej rudzielec. - Clayton ma rację. Skąd możemy wiedzieć, że się nie mylicie?

- Przez ostatnie dziesięć lat zajmowałam się badaniem szkodnika. Jesteśmy już o krok od opanowania tej plagi. Bliżej niż ktokolwiek na świecie.

- Bliżej! - prychnął rudzielec. - Co to znaczy? Panujecie nad nim czy nie?

- Pracujemy nad nim - poprawiła go Celie.

- Skoro tak ciężko pracujecie, *to* w jaki sposób on tu trafił? - zapytał Clayton.

- No właśnie - rozległy się głosy z sali.

Gniewne pomruki ustały dopiero wtedy, gdy Bob Ford wstał i zabrał głos.

- Posłuchajcie, ludzie, kłótnie niczego nie zmieniają. Mamy poważny problem i robimy wszystko co w naszej mocy, żeby go rozwiązać.

- Jasne, wycinając nasze najlepsze drzewa.

- Uspokójcie się - zaapelował Ford.
- Ty się uspokój! - odciął się rudzielec. - Chodzi o nasze dochody. Ta paniusia wpakowała się tu nieproszona i wycina nam całe akry, bez żadnych gwarancji, że ta metoda jest skuteczna. Mam to napisane czarno na białym. - Zamachał gazetą.
- Gdzie tak piszą? - zapytała Celie.
- W gazecie z Montpelier. Jakiś gość z Wydziału Leśnictwa. Dick Rumson. On jest...
- Wiem dobrze, kim jest Dick Rumson - przerwała mu Celie.
- On pisze, że był na tej waszej konferencji i głosował przeciwko tak szerokiej strefie ochronnej.
- Ale pozostałe czternaście osób głosowało za.
- Chce mi pani powiedzieć, że on kłamie?
- Tylko spokój może nas uratować, powtarzała sobie w duchu Celie. Tylko spokój.
- Dysponuję sprawdzonymi danymi na poparcie...
- Dobra, dobra - przerwał jej rudzielec. - Mam gdzieś wasze dane. Patrzą, jak wycinają drzewa u mojego sąsiada, i wiem, że jestem następny w kolejce. Czy chociaż dostaniemy odszkodowanie?
- Mogę prosić o nazwisko? - powiedziała Celie.
- Paul Durkin.
- Nie uprzedzajmy faktów, panie Durkin. Sabotując nasze zarządzenia, pan sam się prosi o kłopoty.
- Nie muszę o nie prosić - burknął ze złością Durkin. - Czy chcę, czy nie, i tak mnie dopadną.
- Może się okazać, że znaleźliśmy wszystkie chore drzewa, a pan denerwuje się niepotrzebnie. Jednak dopiero po skończonej inspekcji będziemy wiedzieli, na czym stoimy.

- A jeżeli nie wpuścimy was na swoją ziemię? - rzucił Durkin.

- To jest priorytetowa akcja władz federalnych - lodowatym tonem odparła Celie. - Jeżeli ktoś będzie mi utrudniał wstęp na plantację, załatwię nakaz sądowy. Musimy jak najszybciej zlokalizować wszystkie zarażone drzewa jeszcze przed okresem rójki, która zacznie się za kilka tygodni. Wystarczy drobna zwłoka, żeby nastąpiła eksplozja gatunku. Wtedy klęska dotknie nie tylko wasz region, ale i cały północny wschód. Byłam w Azji i widziałam na własne oczy, jakich zniszczeń może dokonać ten szkodnik, kiedy nic się nie robi, by go zwalczyć. Tutaj coś takiego nie ma prawa się zdarzyć.

- Co pani może nam zrobić?

- Wszystko, co będzie trzeba, panie Durkin. Mam nadzieję, że do tego nie dojdzie, bo kiedy spojrzycie na to z szerszej perspektywy, zrozumiecie powagę sytuacji.

- To tylko domysły. Nie możecie wyciąć naszych drzew bez powodu.

- Będziemy kontynuować nasz program. Jeżeli nie ma już żadnych pytań, możecie przy wyjściu pobrać harmonogram inspekcji.

Ostatni uczestnicy zebrania opuszczali z wolna aulę, a Celie sięgnęła po kurtkę.

- Dobrze się czujesz? - zapytał Bob Ford.

- Tak, oczywiście. - Czy w ogóle można dobrze się czuć po takich sesjach? - pomyślała, ale dodała: - Poszło mi nawet lepiej niż w innych miejscach.

- To porządni ludzie - zapewnił ją Ford. - Są przerażeni.

- Wiem.

- Odprowadzę cię - zaproponował.

- Nie, idź już. Muszę wstąpić do łazienki. - Rzeczywiście, potrzebowała kilku minut samotności, żeby dojść do siebie.

W chwilę później, patrząc na swoje odbicie w lustrze, pomyślała, że zawsze wierzyła w to, co robi. Jednak po czterech latach walk na pierwszej linii poczuła się bardzo zmęczona. Miała dosyć tych ciągłych kłótni, wrogości i podejrzeń. Choć potrafiła zrozumieć, skąd się one brały, nie było jej dzięki temu ani trochę lżej. Nie była w stanie dłużej znieść myśli, że ludzie traktują ją wrogo, jak zwiastuna nieszczęścia, mimo iż robi wszystko, co w jej mocy, aby im pomóc. Miała także świadomość, że dla wielu jej decyzje oznaczały katastrofę. Nigdy nie zapomni wyrazu twarzy Jacoba Traska, gdy wycinano drzewa posadzone przez jego ojca. Cóż z tego, że to jedyna dostępna metoda, skoro nie jest ona stuprocentowo skuteczna. Do zwalczania plagi jest potrzebny opracowany przez nią preparat.

Na dworze było zimno. Chłód szczypał jej policzki, a nawet koniuszki palców w wytartych rękawiczkach, gdy wlokła się do swojej furgonetki. W środku było niewiele cieplej. Wsunęła kluczyk do stacyjki i nagle zamarła. Coś było nie tak. Wóz przechylał się na jedną stronę, a przecież stał prosto, kiedy parkowała po przyjeździe.

Klnąc, wygramoliła się z kabiny i smagana lodowatym wiatrem obeszła wóz, by się przekonać, że z prawego tylnego koła uszło powietrze. Czyli nie poszło jej aż tak dobrze, jak myślała. No cóż, była do tego przyzwyczajona. Oczywiście, że oni byli przerażeni i chcieli ją przegonić, jak ludzie w tylu innych miasteczkach.

Wzdychając, zawróciła po narzędzia.

- Może ci pomóc?

Odwróciła się i zobaczyła Jacoba. W ostrym świetle ulicznej latarni miał ciemne oczy i zapadnięte policzki.

- To tylko dętka. Poradzę sobie.

- Pobrudzisz się. Pozwól, że ja się tym zajmę.

Chciała powiedzieć „nie”, lecz nagle poczuła się straszliwie zmęczona.

- Byłabym ci bardzo wdzięczna. Wyjmę tylko narzędzia z bagażnika.

- Dobrze. Weź też podnośnik. - Jacob przykucnął przy kole i pociągnął palcem po wyraźnych nacięciach.

- Ktoś pociął ci oponę - stwierdził. Celie uśmiechnęła się blado.

- Nie wszystkim podoba się to, co robię.

- Myślisz, że to ktoś z tych, co byli na zebraniu?

- Wiem tylko tyle, że kiedy tu zaparkowałam, wszystkie cztery opony były w porządku. Myślę, że ktoś wyładował w ten sposób irytację.

- Nie wydajesz się specjalnie zdziwiona.

- Z czasem można do wszystkiego się przyzwyczaić. Właśnie dlatego jeżdżę takim gruchotem. Gdybym miała nowy wóz, byłabym świetnym i znacznie bardziej prowokującym celem.

Jacob pokiwał głową, powiódł palcami wzdłuż głębokiej rysy na masce, a potem spojrzał na Celie.

- Wobec tego to nie jakiś pijaczek porysował ci karoserię?

- To mógł być pijak, oczywiście, ale kiedy to się zbyt często powtarza, człowiek zaczyna się dopatrywać w tym metody.

- Nie zasłużyłaś sobie na coś takiego!

- Nie o to chodzi. Ludzie już tacy są.

- Więc tym się nie przejmujesz? - zapytał, biorąc się za odkręcanie śrub.

- Pewnie, że się przejmuję, zwłaszcza w taką noc jak dziś. Jednak nie znam innego sposobu, jak tylko zawziąć się i robić swoje.

Rozumiał ją, bo był taki sam.

- Na następne zebranie powinnaś przyjechać ze mną - powiedział, nie patrząc na Celie.

- Jacob Trask, ochroniarz.

- Coś w tym rodzaju. Oszczędzisz sobie wydatków na nowe opony.

- A co będzie, jeżeli dobiorą się i do ciebie?

- Nie zrobią tego - odparł ze złowrogim uśmiechem. Zdjął koło i założył zapasowe. Masywne i ciężkie, wyglądało w jego rękach jak zabawka. Potem odwrócił się do Celie. - Większość z nich to porządni ludzie.

- Wiem.

- Chcę tylko, żebyś... - Nagle zamarł, a potem podszedł do przedniego koła, które już zaczynało osiadać. Przykląkł przy nim, powiódł palcami po gumie i namacał głębokie nacięcie. - Cholera, tę też przedziurawili!

Rozległ się syk uchodzącego powietrza. Celie ukryła twarz w dłoniach.

- Nie martw się - usłyszała zatroskany głos Jacoba. - Zawiozę je do naprawy.

To przez tę jego dobroć Celie nie była w stanie powstrzymać się od łez.

Jacob się przeraził. Z oponami potrafił sobie poradzić, ale z kobiecymi łzami? Nie miał pojęcia, od czego zacząć. Może powinien zostawić ją w spokoju? Zawahał się, a potem nagle przygarnął Celie do siebie.

Była taka drobna! Wcześniej tego nie zauważył. Jak ktoś mógł tak ją skrzywdzić, pomyślał i przysiągł sobie w duchu,

że zrobi wszystko, aby wykryć sprawców. Gorzko tego pożą-
lują! Tulił i głaskał po plecach Celie, czując, jak powoli za-
czyna się odprężać.

- Wszystko będzie dobrze - szepnął, pochylając się tak, że
mógłby złożyć pocałunek na jej ciemnych lokach. Nie zrobił
tego jednak, tylko postanowił poczekać, aż się uspokoi. Minuty
mijały jedna za drugą...

W końcu Celie poruszyła się i westchnęła. Wtedy chęć po-
cieszenia jej ustąpiła miejsca innym, bardziej przyziemnym
pragnieniom. Gdy niezdarne głaskanie przerodziło się w deli-
katną pieśczętę, Celie popatrzyła na Jacoba pociemniałymi
oczami. Wilgotne wargi kusiły, żeby poznał ich słodycz, jednak
to jej oczy były największym zagrożeniem. Tak ciemne i prze-
pastne, że można by w nich bez reszty się zatracić. Nagle
uświadomił sobie, że jeśli będzie ją tulił choćby sekundę dłużej,
nie zapanuje nad zmysłami. Puścił ją więc i odsunął się raptow-
nie.

- Chodźmy, bo tu można zamarznąć. Wsiadaj do mojego
wozu. Odwiozę cię do domu.

Celie z trudem wróciła do rzeczywistości.

- A opony? - spytała.

- Daj mi kluczyki i idź do samochodu. Ja się nimi zajmę.

- Poradzę sobie.

- Proszę, nie dyskutuj ze mną. - Wyciągnął rękę i Celie po
krótkim wahaniu oddała mu kluczyki.

Celie siedziała w szoferce, przyglądając się Jacobowi.
Przez kilka chwil czuła, że zyskała obrońcę, że dzięki niemu
jest bezpieczna. A potem nagle zapragnęła go jak mężczyzny.
Co więcej, w jego oczach także dostrzegła błysk pożądania.
Obserwując, jak uwija się przy jej wozie, pomyślała, że nie

pozwole się po raz drugi odepchnąć. Nie tym razem...

Jacob wrzucił ze złością oponę do bagażnika i wsiadł do szoferki, wypełnionej delikatnym, leśnym aromatem - zapachem Celie.

- Dokąd zabieramy opony? - zapytała.

- Przy autostradzie do Montpellier jest całodobowa stacja obsługi. To niedaleko. - Nie patrząc na nią, przekręcił kluczyk w stacyjce.

- Jacob, jest już wpół do dziesiątej wieczorem.

- Tym bardziej trzeba się spieszyć - orzekł, wyjeżdżając z parkingu.

Kiedy podjechali pod dom Marce, Celie uświadomiła sobie, że zapomniała zapalić światło na werandzie. Jacob popatrzył na tonący w ciemnościach budynek.

- Żarówka na ganku przepaliła się czy po prostu lubisz ryzyko?

- To moja wina. Zapomniałam. Dom należy do mojej przyjaciółki. Ona zawsze pilnuje światel, ale wyjechała na weekend.

- Odprowadzę cię do drzwi. - Jacob zgasił silnik i wyjął zza fotela latarkę.

Mam obrońcę, jestem bezpieczna, pomyślała Celie. W ich wspólnym spacerze wąską ścieżką była jakaś intymność. Zaś to, że się nie dotykali, jeszcze dotkliwiej uświadamiało Celie jego obecność. Gdy dotarli do schodków, Jacob skierował strumień światła na drzwi, żeby mogła znaleźć dziurkę od klucza. A potem, kiedy już je otworzyła, wszedł do środka, żeby

pomóc jej z włącznikami, których jeszcze nie знаła. Kiedy w domu zapaliło się światło, powiedział:

- Wygląda na to, że wszystko w porządku.

-Może napijesz się kawy? - Nagle zapragnęła go zatrzymać.

Jacob potrząsnął głową.

- Nie, pojedę do siebie. - Zanim zrobi coś, czego będzie później żałował, dodał w duchu.

Celie zawahała się, a potem nagle go uściskała.

- Nie wiem, jak ci dziękować. Przepraszam, że się rozkleiłam. - Spojrzała mu w oczy. - Byłeś taki miły.

- Cała przyjemność po mojej stronie - odparł. - Cieszę się, że mogłem ci pomóc. - Pomyślał, że musi jak najszybciej wyjść, bo zbyt natarczywie jej się przygląda. Poza tym żaden z niego dobrodziej. Od pierwszej chwili, gdy zobaczył Celie, chciał poznać smak jej ust.

Dlatego też nie odejdzie, póki tego nie sprawdzi.

Zaczęło się od przelotnego muśnięcia warg. Mimo zimna usta Celie były miękkie i ciepłe. Gdy owionął go jej leśny zapach, zrobił krok wprzód i przyciągnął ją do siebie. W tym momencie Celie rozchyliła zachęcająco wargi, a jemu zakręciło się w głowie. Usta Celie miały słodki, egzotyczny smak. Gdy z jej piersi wyrwał się gardłowy pomruk, obudziło się w nim pożądanie.

Celie wstrzymała oddech. Kto by pomyślał, że mężczyzna o tak surowej twarzy ma takie miękkie usta? Może i był odludkiem, ale umiał całować... O tak, znał się na pocałunkach! Muśnięcie warg, drażniące szczyknięcie, a potem atak języka, budzący w niej odzew. Nagle zapragnęła przedrzeć się przez te grube warstwy zimowego stroju i dotknąć jego skóry. Dotrzeć

do prawdziwego Jacoba, pod tymi wszystkimi warstwami, które miały go chronić przed chłodem.

Cofnęła się i zrzuciła wierzchnie okrycie. A potem wsunęła ręce pod jego rozpiętą kurtkę i przyciągnęła go do siebie. W jednej sekundzie otoczył ją ramionami. Unikający bliższych kontaktów Jacob! Ten milczek i odludek, który zbudował wokół siebie mur, by ochronić własny świat, nagle otworzył przed nią jego bramy...

Gdy Celie przytuliła się, Jacob jęknął cicho. Minęło wprawdzie trochę czasu, odkąd miał kobietę, ale nigdy dotąd jego zmysły nie zareagowały tak gwałtownie. Przelotny dotyk nie wystarczał, aby przełamać bariery. Nie pamiętał, żeby po jakimś pocałunku czerwona mgła przesłoniła mu oczy. Teraz właśnie tak się działo. Pragnął Celie. Chciał ją mieć nagą w swoim łóżku przez całą noc, podczas której poznawaliby się nawzajem.

Nic więcej nie było mu potrzebne do szczęścia.

Oszołomiony, oderwał usta od jej warg.

- Coś nie tak? - zapytała Celie.

Wyprostował się i nie patrząc na nią, rzucił szorstko:

- Już późno, muszę wracać. - Nie takie rzeczy mówi się kobiecie, kiedy marzy się tylko o tym, żeby zerwać z niej ubranie. Co jednak powinien jej powiedzieć? Dziękuję? Pocałujmy się jeszcze raz? Otworzył drzwi. - Przyjadę jutro rano o siódmej, żeby cię podrzucić na parking - powiedział i po prostu uciekł.

Noc była zimna, ale on musiał ochłonać, bo, co tu ukrywać, trochę go poniosło. Celie odwzajemniła wprawdzie jego pocałunek, ale pewnie zrobiła to dlatego, że była roztrzęsiona. To nie jest dobry czas na takie rzeczy. Może nigdy nie będzie, bo jeśli chodzi o Celie Favreau, nie poznawał sam siebie. Jakim

cudem udało jej się przebić przez mur, którym się otoczył, i sprawić, że zapragnął tego, czego nie powinien pragnąć? Przecież to niemądre. Gorzej, to niebezpieczne.

Kiedy skończy się jej misja tutaj, skierują ją w inne miejsce. Któregoś dnia Celie będzie musiała wyjechać.

RS

Rozdział 7

Celie lubiła niespodzianki i zmiany. Inaczej oznaczało jej zdaniem lepiej. Na ogół. Gdy Jacob całował ją do utraty tchu, a potem nagle odszedł, zanim zdążyła złapać oddech, było rzeczywiście inaczej niż zwykle. Czy jednak lepiej? Chyba nie. Zaś sposób, w jaki zniknął...

Nie mogła w tym wszystkim się połapać, a i jego także nie potrafiła rozgryźć. Jacob Trask, ten burkliwy odludek, nie po raz pierwszy ją zaskoczył. Zajął się nią troskliwie, gdy przebito jej opony, a kiedy się rozpląkała, był miły. W jej domu zachował się po rycersku, aby później nieoczekiwanie skraść jej pocałunek. I to jaki! Na myśl o tym wciąż dostawała gęsiej skórki.

Jednak nie miała pojęcia, co go później napadło. Przecież to on zainicjował pocałunek. Wyraźnie też sprawił mu przyjemność. Choć wieczorem odszedł tak nagle, zgodnie z obietnicą przyjechał po nią o siódmej rano, ale prawie się do niej nie odzywał. O co mu chodzi?

Celie odchrząknęła.

- Jesteś dziś wyjątkowo rozmowny - zagaiła. W odpowiedzi zerknął na nią z ukosa.

- Wszystko w porządku? - zapytała.

-Tak.

- Więc nie jest ci głupio dlatego, że my...

-Nie.

- Chcesz o tym porozmawiać?

-Nie.

- Chyba rzeczywiście nic ci nie dolega. Znów na nią zerknął.

Może powinno jej to wystarczyć? Na razie. Bo to jeszcze nie koniec rozmowy. Gdy zjechali z autostrady na prowadzącą do szkoły drogę, rzuciła:

- Nie zapomniałeś o czymś?

- O czym?

- O oponach.

W milczeniu skręcił na parking i zatrzymał się tuż obok jej furgonetki... z parą nowiuteńkich opon! Celie nie wierzyła własnym oczom.

- Masz te stare opony? - zapytała. - Pewnie nic nie dało się zrobić? -Mówiąc szczerze, liczyła na to, że się je załata.

- Nie. Kazałem im założyć nowe.

Wstał na tyle wcześnie, że zdążył wszystko załatwić bez niej, przed siódmą.

- Dzięki, ale nie musiałeś tego robić - powiedziała, lekko zirytowana. - Trzeba było zostawić to mnie.

- I tak musiałem przejechać obok warsztatu, w drodze po ciebie. Tak było poręczniej.

- Poręczniej. - Celie pokiwała głową. - A ja myślałam, że starasz się mnie unikać.

W jego oczach zamigotały żartobliwe iskierki.

- Aż taka straszna to ty nie jesteś.

- To dobrze. Wobec tego w ramach podziękowania zapraszam cię na śniadanie. A przy okazji, ile jestem ci winna?

- Później będziemy się o to martwić. - Jacob sięgnął do kieszeni i podał jej paragon. - Zapłaciłem kartą.

Prawie się do niej nie odzywał, a z drugiej strony, wyłożył z własnej kieszeni trzysta czy czterysta dolarów na jej opony. Gdzie tu sens? Gdzie logika?

- Dokąd chcesz pojechać na śniadanie? - zapytała. - Do Hanka?

Jacob spojrział na nią z politowaniem.

- Nie mieszkałaś nigdy w małym miasteczku, prawda?

- Mieszkałam. - Zawsze jednak jako przybysz, a nie tubylec. - O co chodzi?

- Razem na śniadaniu w sobotę rano.

- Wezmą nas za zboczeńców dlatego, że jemy wspólnie śniadanie?

Milczał przez chwilę, a potem odparł:

- Będą plotki.

W gruncie rzeczy, co ją to obchodzi? Nawet jeżeli jej szef dostanie zawału.

- Boisz się o moją reputację? - zapytała.

- A może raczej o swoją?

- Rzeczywiście, jak cię zobaczą przy śniadaniu z kobietą, i to w miejscu publicznym, możesz stracić reputację odludka i mruka.

- Sama widzisz.

Celie otworzyła drzwi wozu.

- Wobec tego musisz wrócić ze mną do domu Marce, gdzie przygotuję ci śniadanie.

- Nie musisz. W końcu to był drobiazg.

- Ale nie dla mnie. Poświęciłeś na to sporo czasu i pieniędzy. Pozwól sobie podziękować.

- Przecież już mi podziękowałaś.

- Wiesz, co mam na myśli.

- Ty nigdy nie rezygnujesz, prawda? - zapytał, kiwając głową.

-Nigdy! - potwierdziła Celie. - Albo u Hanka, albo u Marce, zakładając, że nikt nas jeszcze razem nie widział. Bo jeżeli tak, pozostaje nam tylko popełnić harakiri.

- Ale ja nie mam miecza.

- W takim razie nie masz wyboru - powiedziała ze śmiechem Celie.

Celie postawiła przed Jacobem pełny talerz.

- Specjalny zestaw, raz!

- Wystarczyłyby mi jajka - stwierdził, patrząc na naleśniki i bekon.

- To były duże opony. Mam nawet prawdziwy vermoncki syrop klonowy klasy A.

Jacob przeczytał etykietkę, marszcząc brwi.

- Jak możesz serwować mi produkt konkurencji?

- Nie bądź taki przeczulony - powiedziała, siadając do stołu. - Nie zapominaj, że Marce, jako pracownicy instytutu, nie wolno faworyzować żadnego producenta, więc kupuje od wszystkich po kolei. - Popatrzyła na Jacoba, który nalał sobie trochę syropu do szklanki i zaczął go oglądać pod światło. - Ta szklanka miała być na sok pomarańczowy.

- Przepraszam, ale ta firma zawsze zgarnia wszystkie medale za syrop. Chciałem sprawdzić klarowność ich soku. - Nalał sobie trochę syropu na naleśniki i odgryzł kęs.

- No i jak? - zapytała.

-Niezłe. A nawet całkiem dobre, mówiąc szczerze. -Ugryzł jeszcze kilka kęsów. - Tak, twoje naleśniki są świetne. Można dostać więcej?

- Mimo wszystko prosisz o więcej?
 - Sama powiedziałaś, że to były duże opony.
 - Jeżeli chcesz dokładkę, powinnam chyba dostać coś w zamian.
 - Skoro już tak liczymy, to jesteś nam coś winna, bo zaprosiliśmy cię do stołu u nas.
 - Twoja matka dała mi jeść - sprostowała Celie.
 - Na jedno wychodzi.
 - Ale ja nie proszę cię, żebyś dla mnie gotował, tylko żebyś zagrał na gitarze.
- Jacob nie podjął tematu, tylko zapytał:
- Mogę prosić o naleśnika?
 - Nie, dopóki mi czegoś nie zagrasz.
 - Dobrze, zapomnijmy o tym. Wezmę tylko bekon.
 - Prędzej czy później, będziesz, musiał zagrać dla mnie, wiesz o tym? - Skapitulowała i podsunęła mu półmisek.
 - To brzmi jak groźba.
 - Och, może być całkiem miło. Nie znudziło ci się jeszcze to granie dla czterech ścian?
 - Nie, bo ja tak lubię. W to mogła uwierzyć.
 - Nigdy nie grałeś dla swojej rodziny?
 - Raz czy dwa dla mamy, bo nie dawała mi spokoju. Jako dziecko, grywałem na ogół w jednym z pokoi na najwyższym piętrze.
 - Musi być ich dużo w takim wielkim domu. Jacob pokiwał głową.
 - Za czasów Ethana i Hiram mieszkały w nim trzy poko- lenia. Musiał być odpowiedni.
 - Twoja mama ma teraz mnóstwo miejsca.
 - Tak, zwłaszcza ostatnio.

Puste gniazdo po śmierci męża... Znając Jacoba, na pewno się tym zamartwiał.

- W każdym razie to dla niej pociecha, że ma cię w pobliżu
- powiedziała Celie.

Jacob zapatrzył się na swój kubek.

- Szczerze mówiąc, nie wiem, czego jej potrzeba.

- Powiedziałeś to tak, jakby to był wyłącznie twój problem.

- Bo tu mieszkam i jestem najstarszy. - Zawsze traktował poważnie swoje obowiązki.

- Bracia ci nie pomagają?

- Gabe zagłąda, kiedy tylko może. Nick często dzwoni. Jest strażakiem w Bostonie, więc przyjeżdża tylko na urlop. Tak czy inaczej, wszystko spada na moje barki... - Zawahał się. - W przyszłym miesiącu przypada pierwsza rocznica śmierci ojca.

- Będzie wam ciężko.

- Tak. Próbujemy trzymać się razem.

- Robisz co w twojej mocy.

- Chciałbym więcej. - Chciałby przywrócić życie ojcu, ale to niemożliwe, więc nie ma sensu o tym myśleć i mówić.

- Tak mi przykro. - Celie nakryła dłonią jego rękę. - Pewnie ci go brakuje.

Dotknięcie chłodnych i miękkich palców przypomniało mu incydent z poprzedniego wieczoru. Celia w jego ramionach, zapach jej włosów, smak ust... Potem przez wiele godzin nie mógł zasnąć, obolały z pożądania.

Teraz znowu robiła z nim to samo, kładąc mu się otworzyć i budząc w nim niepotrzebne tęsknoty. Wiódł przecież skromne i uporządkowane życie, a sporadyczne kontakty z kobietami nie wносиły w nie niepokoju. Jeśli czasami się zabawił, to bez konsekwencji.

Tymczasem Celie Favreau to jedna wielka komplikacja. Odkąd natknął się na nią na plantacji, nic w jego życiu nie jest takie samo jak dawniej. Wszystko zaczęło się zmieniać, a on nie mógł nic na to poradzić.

Tak samo jak nie mógł nic poradzić na to, że coraz bardziej pragnie Celie.

Cofnął szybko rękę.

- Dzięki za śniadanie. Muszę iść, bo mam masę roboty. -
Odłożył serwetkę.

- Przecież jest sobota!

- Na plantacji to nie ma znaczenia.

- Jeszcze minutkę. - Gdy wstał, podniosła rękę. - Nie zaprosiłam cię na śniadanie tylko po to, żeby ci podziękować. Chciałam z tobą o czymś pomówić.

Byle nie o tym pocałunku, pomyślał Jacob, ani o tym, dlaczego nie chce go powtórzyć, chociaż ciągle tego pragnie.

- O co chodzi? - zapytał niechętnie.

- Pamiętasz, jak cię powiadomiłam, że trzeba będzie wyciąć u ciebie dziewiętnaście akrów?

- Trudno to zapomnieć, zwłaszcza że spora część już została wycięta.

- Jest szansa na uratowanie reszty.

- Jak to? Przecież na wczorajszym zebraniu wmawiałaś wszystkim, że nie ma innego sposobu oprócz wycinki. - Nie zamierzał rozbudzać w sobie próżnych nadziei.

- Musimy oczywiście wyciąć zaatakowane drzewa oraz te w wewnętrznym kręgu. Tutaj nie mamy wyboru. Jednak może uda się zmniejszyć strefę ochronną.

Jacob opadł na krzesło.

- Powiedz mi coś więcej.

- Udało nam się wyprodukować preparat owadobójczy

do wstrzykiwania. Na bazie naturalnej substancji ochronnej, wydzielanej przez drzewa.

- Czytałem o tym w Internecie, ale ten środek nie ma jeszcze u nas atestu. Na razie dostępny jest tylko w Kanadzie. - Jacob zmarszczył brwi. - Jeżeli dostaliście już zgodę, to dlaczego nie stosujecie go tutaj, do cholery?

- Jeszcze nie wolno nam tego zrobić, ale wiem z pewnych źródeł, że decydenci dali zielone światło. Trzeba tylko dopełnić formalności. - Oczy jej się zaświeciły. - Mogłabym zaszczepić twoje drzewa w zewnętrznym kręgu. Nawet jeżeli są w nich larwy, wymrą po podaniu szczepionki.

- A co z ludźmi, którzy wypiją syrop z tych zaszczepionych drzew?

- To naturalna substancja. Wzmocniliśmy tylko stężenie. Skład chemiczny syropu z zaszczepionych drzew jest identyczny z otrzymanym ze zdrowych klonów. Nie różni się smakiem i nie ma w nim żadnych szkodliwych składników. - Rozłożyła ręce. - Nie jest to wprawdzie lek na wszelkie zło, ale możemy go użyć, aby ocalić chociaż część twoich klonów.

Jacob spojrział na nią przeciągle.

- Dlatego, że zająłem się twoją furgonetką?

- Nie! Robię to, bo nie mogę patrzeć, jak wycina się drzewa. Wiem, że stosując nasz preparat, można temu zapobiec. Wiem też, że atest mamy prawie w kieszeni. Wkrótce będziesz mógł kupić tę szczepionkę w każdym sklepie.

- Porozmawiajmy o liczbach. Ile drzew da się uratować? Celie szybko policzyła w myślach.

- Myślę, że około jedenastu akrów.

- Czy ten preparat jest skuteczny? - W duszy Jacoba nadzieja walczyła o lepsze z podejrzliwością.

- Tak, rzeczywiście jest skuteczny. Mój zespół testował go

przez siedem lat w Kanadzie i pięć w Stanach. To naprawdę najlepszy środek chroniący klony, jaki kiedykolwiek wyprodukowano.

- A jak długo działa?

- Przez co najmniej rok, a może nawet dłużej. Co o tym sądzisz?

Nie odpowiedział od razu, choć chciałby w to wierzyć. Przecież tak rozpaczliwie pragnął uratować drzewa! Musiał jednak zyskać pewność.

- Skąd weźmiesz preparat, skoro nie ma go jeszcze w sprzedaży?

- Mam w bagażniku kilka kanistrów koncentratu, który został mi po ostatnich testach. Wystarczy jedno słowo, a jutro zacznym szczepić twoje drzewa. Muszę wiedzieć do poniedziałku, bo wtedy rozpocznie się wycinka w strefie ochronnej.

Jacob zamyślił się, a po chwili zapytał:

- Zgodziłabyś się, gdybyś była na moim miejscu?

- Tak - odparła bez wahania.

- To mi wystarczy. Masz moją zgodę.

Celie nie była zdziwiona, że Jacob chciałby zacząć jak najszybciej. Niestety, nie było to takie proste. Potrzebowała sporej ilości preparatu, który trzeba będzie rozcieńczyć, ale to jeszcze nie wszystko. Prawda wyglądała tak, że nie chciała wciągać w to Jacoba. Patrząc w ślad za jego odjeżdżającym wozem, pomyślała, że całe ryzyko weźmie na siebie.

Wyjawiała mu, że pozwolenie to już tylko kwestia dni, co było prawdą. Nie powiedziała mu jednak, że może to potrwać dłużej i że ktoś może odkryć, iż używa szczepionki bez atestu.

Sięgnęła po komórkę i wystukała numer.

-*Bonjour*.

- *Maman? Cest Celie*.

- Kto mówi do mnie po francusku z takim okropnym amerykańskim akcentem? - odparła jej matka, także po francusku. - To chyba nie moja wyrodna córka, która nie przyjechała do domu na święta i nie zadzwoniła, żeby powiedzieć swojej biednej *maman*, że znowu wysłali ją na koniec świata.

- Może to nie była jej wina? - odparła Celie. - Może trzeba było częściej sprawdzać pocztę internetową?

- *Cest qui?* - rozległ się głos ojca

- Nasza marnotrawna córka, która zarzuca mi, że nie czytam maili - powiedziała matka.

- Ach, *bebe*, przyjedziesz do nas? - Ojciec przejął słuchawkę.

- Mam nadzieję, *papa*. - Celie znów przerzuciła się na francuski. - Już kończę. Niedługo się zobaczymy. - Ze wstydem pomyślała, że tak dawno nie była u rodziców.

- Przyjedź, proszę, zanim będzie za późno, bo mama będzie przemeblowywać dom - powiedział ojciec. - A teraz muszę już iść. Pora otworzyć sklep.

Zawsze ten sklep. Celie westchnęła i spróbowała pomyśleć o nim tak, jak zrobiłby to Jacob.

- A jak tam interesy?

- W porządku. Teraz mamy mały ruch, jak to po świętach, ale niedługo zacznie się Letni Festiwal. Może wtedy przyjedziesz? Posadzę cię za ladą.

- Zawsze o tym marzyłam - cierpkim tonem rzuciła Celie.

- Zawsze o tym wiedziałem - odparł ze śmiechem ojciec.

- *Au revoir, papa* - odparła Celie. - Czy on nie ma kogoś do pomocy? - zapytała, gdy matka przejęła słuchawkę.

- Jest szczęśliwy, kiedy może wszystko zrobić sam. Wiesz, jak kocha księgarnię. To całe jego życie. I czy ci się to podoba, czy nie, to także twoje życie.

Celie chciała coś odpowiedzieć, ale się rozmyśliła. Dziedzictwo. Sądząc po Jacobie, nie zawsze musiało ono być ciężarem.

- Czasami naprawdę widzisz za dużo, mamó.

- Jak to matka. A teraz opowiedz mi, co porabiasz.

W sobotni poranek w sklepie rolniczym panował całkiem spory ruch.

Siwowłosa sprzedawczyni uśmiechnęła się do Celie zza lady.

- Dzień dobry.

- Dzień dobry - odrzekła Celie.

Jeden z klientów spojrział na nią wyzywająco. Inni kręcili się po sklepie, udając, że jej nie widzą. Po tylu latach powinna się już do tego przyzwyczaić, a jednak zrobiło jej się przykro. Postawiła na ladzie pojemniki i zapytała:

- Można je naładować sprężonym powietrzem? Kobieta skinęła głową.

- Będą gotowe za kilka minut. Może pani spokojnie zrobić zakupy.

- Dziękuję.

Celie wzięła pięciolitrowe wiadro i zaczęła wędrować pomiędzy regałami. Lubiła wiejskie sklepy z tą ich szeroką gamą zapachów i towarów. A jednak mimo iż wybrała zawód leśnika, nie zabawiła nigdzie na tyle długo, żeby mieć własny dom i swoje drzewa. Czasami zastanawiała się, jak to jest pa-

trzeć, jak rośnie las, i znać każde drzewo, tak jak Jacob znał każdy klon na swojej plantacji.

Jednak takie życie to nie dla niej, uznała, nawet jeśli z pozoru mogłoby się wydawać atrakcyjne. Wróciła do lady i postawiła na niej wiadro.

- Znalazła pani wszystko, co trzeba? - zapytała sprzedawczyni, ustawiając obok naładowane pojemniki.

- Prawdę mówiąc, potrzebne mi są igły do wtryskiwacza.

- Tu je trzymamy. - Kobieta wyjęła spod lady dwa płaskie pudełka. - Pani jest tu nowa. Nazywam się Muriel Anderson.

- Celie Favreau, Państwowa Inspekcja Weterynaryjno- - Rolnicza.

- Słyszałam, że sprawdzacie plantację Jacoba Traska. Jak wam idzie?

- Myślę, że sytuacja jest opanowana.

- Daj Boże, bo Jacob miał ostatnio za dużo trosk. - Muriel zaczęła podliczać zakupy Celie. - Wycinacie jego klony, prawda?

- Część - odparła Celie, zakłopotana.

- Biedny chłopak!

- To, niestety, konieczne.

- Rozumiem, ale to wielka strata.

- Robię, co mogę, żeby mu pomóc.

- Naprawdę? - Muriel włożyła zakupy do torby. - Przydałaby mu się taka kobieta nie tylko na plantacji.

Celie zachnęła się.

- Słucham?

- To będzie dwadzieścia dolarów i siedemdziesiąt centów - odparła ze spokojem Muriel.

Po wywierceniu otworka w pniu Celie zamknęła dziurkę plastikową zatyczką i sięgnęła po wtryskiwacz. Przebiła igłą zatyczkę i nacisnęła spust. Gdy płyn wypełni kanałik, szczepionka zacznie wędrować w górę pnia.

Zaznaczyła drzewo niebieską farbą i poszła dalej. Znajdujące się tuż nad ziemią otworki po szczepieniu były mało widoczne, chyba że ktoś by ich specjalnie szukał. Nawet gdyby komuś przyszło to do głowy, to raczej nie o tej porze, bo słońce miało wzejść dopiero za pół godziny.

Korzystając z wolnego dnia, postanowiła spędzić na plantacji co najmniej dziesięć godzin, tak by do wieczora mieć połowę roboty za sobą. W tygodniu na szczepienia pozostawały jej tylko wczesne godziny ranne lub późne popołudnia. Zresztą, tym się nie przejmowała. Ryzyko, dodatkowy czas oraz wysiłek miały stanowić coś w rodzaju pokuty za te wszystkie drzewa, które kazała wyciąć. Nareszcie mogła zrobić coś pozytywnego.

- Czyś ty na głowę upadła?! - Marce stała przy zlewie, trzymając w ręku dzbanek do kawy. Za oknami zapadał zmrok. Niebo, przed chwilą purpurowe, zrobiło się niemal czarne.

- Dlatego, że próbuję oszczędzić część zdrowych drzew? - zapytała Celie.

- Nie. Dlatego, że stosujesz przy tym preparat bez atestu.

- To już w zasadzie załatwione.

- Nieprawda! - zirytowała się Marce. - Przecież to wlecze się latami, a Pete powiedział, że nie ma pojęcia, jak długo jeszcze.

- Wstępna zgoda już jest, a reszta to tylko kwestia czasu. Marce zmrużyła oczy.

Jak długo pracujesz w tym fachu, Celie? Masz mnie za idiotkę?

- Jesteśmy na etapie ostatnich testów. A ja tylko poszerzam strefę badań.

- Las to nie laboratorium. Poza tym nie masz pozwolenia. Chcesz stracić pracę? - besztła ją Marce. - Jeżeli się dowiedzą, wylecisz z hukiem. Falszowanie raportów, użycie chemikaliów bez atestu, świadome łamanie przepisów... - mówiła, zginając palce. - Jeszcze ci mało?

- Jak mogą się dowiedzieć?

- Mogą przysłać kontrolę albo wykryć niezgodności w twoim raporcie. Wystarczy, że porównają liczbę drzew przeznaczonych do wycinki z liczbą faktycznie wyciętych. Nie możesz tego robić, Celie. Przecież jesteś szefem tego programu.

- Skoro tak, chyba mam prawo zrobić wyjątek?

- Dlaczego akurat teraz? I czemu dla niego? Poczekaj! - Marce powstrzymała ją gestem - Myślę, że znam odpowiedź. Celie, czy możesz z ręką na sercu powiedzieć, że jesteś absolutnie obiektywna?

- W tych sprawach nigdy nie jestem obiektywna. - Celie ukryła na moment twarz w dłoniach. - Dobija mnie konieczność wycinania zdrowych drzew tylko po to, żeby zachować margines bezpieczeństwa. Ludzie przebijają mi opony, bo nie mogą wyładować złości na prawdziwym wrogu.

- Czy zastanawiałaś się nad tym, co będzie jeśli Żukol okaże się nieskuteczny i ten chrząszcz będzie nadal się rozprzestrzeniać? Nie spędza ci to snu z powiek?

- Nie będzie się rozprzestrzeniać - upierała się Celie. - Ja wiem, że Żukol działa. Rzecz w tym, że sprawa ślimaczy się w urzędach.

- Ja nie jestem jakimś betonem. - Marce złagodniała. - Nie chcę tylko, żebyś ryzykowała, nie mając pewności. Powiedz mi, Celie, czy rzeczywiście wiesz, co robisz?

Celie zawahała się.

- Całowałam się z nim, Marce.

- Z kim? Z tym dzikusiem? - Marce roześmiała się, a potem nagle spoważniała. - Mówisz serio? Jak było?

- Super, ale potem on nie chciał ze mną rozmawiać i nadal zachowuje się tak, jakby to w ogóle się nie zdarzyło.

- Co to znaczy? Czy to był numer na jeden raz?

- Skąd mogę wiedzieć? Jacob nie należy do ludzi, którzy godzinami wałkowałiby ten temat. Tak czy inaczej, to był tylko pocałunek - zirytowała się Celie. - Nie warto zaprzętać tym sobie głowy.

- W takim razie dlaczego to robisz?

- Bo lubię wiedzieć, na czym stoję.

-I co jeszcze?

-I nie miałabym nic przeciwko powtórce.

Rozdział 8

Niosąc kolejne wiadra przez oblodzone podwórze, Jacob myślał ze złością, że nigdy nie lubił zmywania i uważał to za stratę czasu. Niestety, wiadra trzeba wymyć, zanim rozpoczną się zbiory soku. Całe cztery tysiące pięćset sztuk! Postawił je przy drzwiach do cukrowni i wrócił do wózka po następne. Od trzech dni nie robił nic innego, tylko czyścił i mył.

Szczerze mówiąc, niezupełnie, bo prócz tego rozmyślał o Celie i wyczekiwał jej codziennych wizyt, podczas których informowała go o przebiegu szczepień. Okupowała jego myśli przez cały dzień, ponieważ nie wiedział, o której przyjedzie. Czy to nie żalosne? - zważywszy, że było tyle ważniejszych spraw, o których powinien pomyśleć. Choćby o tym, w jakim stopniu utrata dziewięciu akrów drzew odbije się na jego dochodach. Także o tym, czy w tym roku można zacząć pobierać sok z klonów na północnym stoku i jak poradzi sobie w pojedynkę z pracą, którą dotąd wykonywali z ojcem we dwóch.

- Jacob!

Odwrócił się zbyt raptownie, potrącając wiadra, które potoczyły się z brzękiem po podwórku.

Klnąc, schylił się, żeby je pozbierać, a kiedy się wyprostował, zobaczył mężczyznę o wyniszczonej twarzy, w wytartej kurtce.

- Cześć, Deke! - powiedział.

- Przepraszam. - Deke podniósł kilka wiader i postawił je na wózku. - Myślałem, że mnie słyszysz.

- Nie ma sprawy.

- Możemy pogadać?

- Jasne. O co chodzi?

Zlustrował Deke'a wzrokiem, próbując odgadnąć cel jego wizyty. Prośba o pożyczkę? A może po prostu był w pobliżu? Z Deke'em nigdy nic nie wiadomo. Wszystko zależało od tego, ile czasu spędził ostatnio w knajpie.

Deke przestąpił z nogi na nogę i odchrząknął.

- Chciałem zapytać, czy będziesz miał dla mnie robotę. Na to Jacob nie potrafił udzielić odpowiedzi. Sezon cukrowniczy był jedyną porą, podczas której Deke miał stałe zajęcie. Przez pozostałe miesiące żył z dorywczych robót albo z zasiłku. Pilnowany, potrafił pracować, ale pozostawiony samemu sobie, bywał nieobliczalny.

Do niedawna Jacob dzielił obowiązki z ojcem. W tym roku będzie zdany sam na siebie. Będzie musiał przerabiać sok jak szalony, żeby ze wszystkim zdążyć. W innym przypadku trzeba będzie wylewać drogocenny płyn na ziemię. Problem polegał na tym, że z chwilą gdy rozpali się ogień pod parownikiem, nie można od niego odejść ani na moment. Oczywiście to on będzie go obsługiwał, co z kolei oznaczało, że Deke z resztą robotników będą pozostawieni samym sobie.

- Możesz mi obiecać, że nie będziesz pił?

- No wiesz, Jacob? Przecież się znamy.

- Jeżeli chcesz u mnie pracować w tym roku, musisz przychodzić codziennie i na czas.

- Rozumiem.

- Nie może być tak, że zapomnisz o pracy - rzucił ostro Jacob.

- Możesz na mnie polegać. Twój tata miał do mnie zaufanie. Aha, jeszcze jedno, Floyd i Billy też wzięliby tę robotę.

Floyd i Billy, szwagier i siostrzeniec Dekea. Może go trochę przypilnują? - zadał sobie w duchu pytanie Jacob.

- Możecie przyjść we trójkę, ale będziecie musieli uwijać się jak w ukropie.

- Billy może pracować tylko rano i potem po szkole - dorzucił Deke. - Mógłby przyprowadzić paru kumpli z klasy.

Jacob westchnął. Żałował, że nie ma braci lub kuzynów do pomocy. Oczywiście rozumiał, że jego bracia mieli własne życie, ale czasami wolałby, żeby wszystko nie spadło wyłącznie na jego barki. Jaki jednak sens zastanawiać się, co byłoby, gdyby...

- Zobaczymy - mruknął. Deke schował głowę w ramiona.

- Będziesz potrzebował więcej ludzi - powiedział z odpowiednim naciskiem.

- To mój kłopot - zirytował się Jacob. Kłopoty to nic, gorsza była ciągła niepewność.

Celie zaparkowała przed sklepem Trasków. Miała właśnie przerwę w pracy, poza tym chciała jeszcze porozmawiać z Jacobem.

- Celie! - Molly Trask uśmiechnęła się promiennie.

- Jak pani się czuje?

- Dobrze. A ty?

- Jestem zapracowana.

- To widać. Przepraszam, że to mówię, ale wyglądasz na

przemęczoną. Wejdz i zjedz coś. Możesz chyba chwilę odpocząć?

- Dziękuję, ale nie mam zbyt wiele czasu. Wpadłam, żeby zobaczyć się z Jacobem.

- Jest na zapleczu. Porozmawiasz z nim za chwilę, najpierw coś zjedz. Masz ochotę na lody klonowe?

- Myślałam, że będzie mnie pani namawiać na kanapkę albo coś pożywne.

Molly roześmiała się i stanęła za ladą.

- Wafelek ma być z cukrem czy bez?

- Z cukrem.

Molly nacisnęła dźwignię i maszyna wypluła gęstą kremową serpentynę.

- Proszę - powiedziała. - Teraz nie będziesz już mogła mówić, że nie skosztowałaś naszych słynnych lodów klonowych.

Celie wzięła rożek i oblizała czubek. A potem z błogim westchnieniem zamknęła oczy i znowu polizała.

- No i jak? - zapytała Molly.

- Już nigdy nie będę jadła nic innego - odparła Celie. - Pycha!

- Mamy je codziennie. Możesz wpadać, kiedy tylko zechcesz.

- Proszę mnie nie kusić, bo potem nie będę mogła dopiąć się w pasie. - Celie zerknęła na zegarek. - Wspomniała pani, że Jacob jest na zapleczu.

Molly skinęła głową.

- Tymi drzwiami na lewo.

Drzwi prowadziły ze sklepu do cukrowni. Pośrodku znajdował się parownik o rozmiarach stołu bilardowego, z płaskimi rynienkami. Za kilka tygodni będzie w nich bulgotał sok. Na

razie jednak palenisko było zimne, a drzwi do składu drewna pozostawały zamknięte. Po lewej stronie znajdowały się jeszcze jedne drzwi, prowadzące na małe podwórze. Były uchylone, więc gdy Celie podeszła, usłyszała głosy.

- Stu innych plantatorów w okolicy będzie chciało wynająć ludzi do pracy - powiedział jakiś mężczyzna. - Musisz zdecydować się już teraz. Mówię ci, weź kumpli Billy'ego.

- Nie chcę, żeby dzieciaki ze szkoły pałętały się po plantacji - stwierdził Jacob.

- Będziesz ich potrzebował. Nie damy sobie rady tylko we trójkę. Nawet z kumplami Billy'ego będziemy harowali na okrągło. Kiedy to zrozumiesz, wszyscy dokoła będą już wynajęci. Kogo wtedy weźmiesz?

- Znajdę sobie kogoś.

- Jacob!

Odwrócił się i zobaczył Celie. Stała w drzwiach, w czerwonej puchowej kurtce, ciemnowłosa i zaróżowiona.

- Widzę, że przeszkadzam, więc może poczekam - powiedziała i polizała lody w wafelku.

Lody, pomyślał gorączkowo, starając się nie patrzeć na jej usta. Wilgotne, słodkie i zbyt ponętne.

- Nie, wcale nam nie przeszkadzasz - usłyszał własny głos. - Już skończyliśmy.

- Niezupełnie. - Celie wskazała na spore wiadra, leżące na ziemi.

- Ale prawie.

Obdarzyła go jednym z tych swoich uśmiechów, które zawsze odbierały mu mowę, i dopiero po chwili zauważył, że patrzy na Deke'a.

- Aha, Celie, to jest Deke - powiedział. - Pracuje przy zbiorach soku.

- Szanowanie - bąknął spłoszony, po czym spojrzał na Jacoba. - Lepiej już pójde. - Powiedziawszy to, oddalił się truchtem.

- Nie chciałam go wypłoszyć. Jacob uśmiechnął się.

- Deke nie jest zbyt towarzyski.

- Musi z was być niezła parka. - Celie wsunęła do ust ostatni kawałek wafla, po czym schyliła się i podniosła kilka wiader. - Już was widzę, jak pracujecie, nie odzywając się do siebie ani słowem. Chociaż wiem, że on umie mówić, bo słyszałam.

- A co takiego usłyszałaś?

- Że jak zaczną się zbiory soku, będziesz miał kłopoty.

- Nieprawda.

- Obrobicie we czwórkę sto akrów?

- Żaden problem. - Jacob z brzękiem postawił wiadra na wózku.

-W dzień będziesz pracował za trzech, zbierając sok, a w nocy będziesz go gotował?

-Właśnie.

Celie ujęła się pod boki.

- Wiesz, że można się inaczej zorganizować.

- Tak lubię. I tak jest dobrze.

- Sezon jeszcze się nie zaczął. Nawet ty masz jakieś granice wytrzymałości, Jacob.

- Nic mi nie będzie - zapewnił.

- Chyba masz obsesję, że musisz wszystko robić sam, bez pomocy. Przecież to dwudziesty pierwszy wiek! Dlaczego nie chcesz, jak reszta plantatorów, połączyć swoich drzew systemem rurek? Wtedy rzeczywiście mógłbyś wszystko zrobić sam.

Jacob postawił kolejną partię wiader tuż pod drzwiami cukrowni.

- Nie uznaję nowoczesnych metod.
- Dlaczego? Religia ci zabrania?
- Co było dobre dla mojego ojca, dziadka i pradziadka, jest i dla mnie dobre.

Celie poszła za nim przez podwórze.

- Aleś ty uparty! Jeżeli nie chcesz zatrudnić dodatkowych pomocników, będziesz musiał zainstalować rury.
- Poradzę sobie - burknął, po czym zawrócił do wózka.
- Jak? - zapytała, deptając mu po piętach. - O tej porze roku dzień jest bardzo krótki. Przypominam na wypadek, gdyby ci to umknęło. A nawet ty nie potrafisz być jednocześnie w dwóch miejscach.

-I co w związku z tym?

- W związku z tym mógłbyś uprościć sobie życie, stosując nowoczesną technologię. Jeżeli połączysz drzewa siecią rurek, skrócisz czas zbiorów o ponad połowę.

- Nie! Nie będę narażał soku na kontakt z chemikaliami. - Jacob postawił z hukiem ostatnie wiadra. - Nie ufam plastikom. Zostawiają przykry posmak i mogą wydzielać toksyny.

- Rurki zostały przetestowane pod tym kątem. Są bezpieczne. - Błyskawicznie dokonała w myślach obliczeń - Gdybyś się zdecydował, zdążyłbyś je założyć jeszcze przed sezonem.

- Jasne. Wydam kupę pieniędzy, a potem przyjdą lata nieurodzaju i co wtedy? Nie chcę zbankrutować. W tym roku i bez tego będzie wystarczająco ciężko. - Wziął stos wiader.

- Niepotrzebne mi dodatkowe ryzyko.
- Zrób to po trochu. Zrozum, próbuję ci pomóc.

Jacob spojrział ze złością na Celie i znów odstawił wiadra.

- Czy nigdy się nie poddajesz? Posłuchaj mnie uważnie: ja nie potrzebuję twojej pomocy.

- Ale to najlepszy sposób. Sam byś do tego doszedł, gdybyś nie był uparty jak osioł.

- Uparty jak osioł? - powtórzył, mrużąc oczy. - Co ty możesz wiedzieć o klonach cukrowych czy produkcji cukru? Masz w ogóle pojęcie, na czym to polega?

- Wbija się kurki w pnie i wiesza na nich wiadra, do których ścieka sok.

- Ale nigdy nie zbierałaś soku?

-Nie. Moją specjalnością są przede wszystkim owady, a nie wytwarzanie cukru.

- Tak właśnie przypuszczałem - powiedział, odwracając się do wózka. - Już ja was znam. Kochacie nowinki i nawet nie chce wam się sprawdzić, czy to jest rzeczywiście lepsze, czy tylko inne.

W oczach Celie błysnął gniew.

- Wy? Jacy wy?

- Tak zwani uczeni, którzy nie mają pojęcia, o co właściwie chodzi.

- Masz na myśli mnie?

- Lepiej się przyznaj, że nie wiesz, o czym mówisz.

- To mi pokaż - odcięła się.

- Nie oprowadzam wycieczek.

- Nie mówię o wycieczce. Weź mnie do swojej ekipy. Pozwól mi popracować dla ciebie.

- Daj mi święty spokój!

- Ach tak? Wobec tego nie masz prawa zarzucać mi, że nie wiem, o czym mówię. Zgódź się - przekonywała go. - Naucz mnie, jak się to robi. Przyda mi się ta wiedza, a tobie jest potrzebna pomoc.

Jacob prychnął pogardliwie.

- Musiałbym rzeczywiście znaleźć się w beznadziejnym położeniu, żeby prosić takiego kurczaka jak ty o pomoc.

Celie zrobiła trzy kroki wprzód i zatrzymała się tuż przed Jacobem.

- Kurczaka? - powtórzyła, dźgając go palcem w pierś. - Kogo nazywasz kurczakiem? Na siłowni wyciskam pięćdziesiąt kilo.

- Wypiłaś dziś za dużo kawy?

- Przestań traktować mnie z góry. - Znowu go dźgnęła. - Masz natychmiast cofnąć te słowa.

- Chyba żartujesz. - Chciał zrobić krok do tyłu, lecz potknął się o przymarznięty kamień i runął na wznak do płytkiego wykopu, pełnego śniegu i błota. Spróbował się podnieść, ale w grubym kożuchu nie było to łatwe.

Celie podeszła i spojrzała na niego z góry.

- Pomóc ci? - zapytała, wyciągając rękę. - Czy sam dasz sobie radę?

- Tym razem przyjmę twoją pomoc. - Chwycił ją za rękę, a ona, nieprzygotowana na taki ciężar, wylądowała na nim z głośnym „uff!”.

Zanim Jacob się zorientował, co robi, objął Celie za szyję, przyciągnął do siebie i pocałował. Mógł sobie powtarzać, że nie powinien jej pragnąć, że ma za dużo spraw na głowie, że nie czas i miejsce po temu, że to nie ta kobieta - a jednak nie był w stanie się powstrzymać.

Poczuł, jak gniew Celie przygasa, a potem poruszyły się jej usta. Miały smak lodów klonowych i jeszcze czegoś, co zapamiętał z poprzedniego razu. Celie westchnęła. Po raz pierwszy nie musiała spoglądać w górę; znaleźli się twarzą w twarz. Nie odepchnął jej, ale przyciągnął do siebie, a jego stwardniałe

dłonie błędnymi zaborczo po jej biodrach i plecach. Nieważne, że był mróz i leżeli na śniegu.

Czas stanął w miejscu. Liczyły się tylko niecierpliwe usta Jacoba i wymyślne pieszczoty języka. Gdyby teraz odepchnął Celie, umarłaby pewnie z pragnienia.

Z parkingu po drugiej stronie budynku dobiegł ich przenikliwy dźwięk klaksonu.

Czar przysł.

Jacob podniósł się z trudem i otrzepał spodnie. Gdzie podział się jego zdrowy rozsądek?

- Posłuchaj...

- Znowu to samo? - Pogroziła mu palcem.

- Naprawdę musimy o tym rozmawiać?

- Po raz drugi pocałowałeś mnie i chcesz już na tym poprzestać?

- Nie. Właśnie dlatego nie powinnaś u mnie pracować.

- Dlaczego? Bo się pocałowaliśmy? Jacob, daj spokój.

Przecież jesteśmy dorośli.

- Posłuchaj, ja... - Wbił wzrok w ziemię. - Mam tyle spraw na głowie... Zaczyna się sezon, poza tym mama... i cała reszta... Nie mogę rozmieniać się na drobne.

- Rozmieniać na drobne?! Tak to nazywasz?! - Celie pokraśniała z oburzenia.

- Tak - powtórzył, patrząc na nią z zachwytem. - Ja naprawdę doceniam twoją propozycję, ale nie, dziękuję.

- Nie masz wyboru. Ja tu będę.

Trafiła kosa na kamień, pomyślał z westchnieniem.

- Zawsze jesteś taka uparta? - zapytał.

- Czasami bywam jeszcze gorsza. Mam ci teraz zademonstrować?

- Nie. Przecież pracujesz na cały etat.

- Od dziewiątej do piątej, więc mogłabym dołączyć do ciebie rano na dwie godziny i wieczorem po pracy. Tobie potrzebna jest pomoc, a mnie dodatkowa wiedza, więc jesteśmy skazani na siebie.

Jacob westchnął.

- Dobrze, w takim razie o której najwcześniej możesz tu jutro przyjechać?

- O której sobie życzysz.

- O szóstej? Dźgnęła go w pierś.

- Widzimy się o szóstej.

RS

Rozdział 9

Celie okazała się lepszym pracownikiem niż wszyscy najemni robotnicy razem wzięci. Bez słowa skargi cięła drewno i układała je na stos, sterylizowała kurki, czyściła filtry. Zeskrobywała z blachy parownika nagromadzony przez te miesiące kurz, kiedy pod nim nie rozpalano. Pomagała też czyścić komin z takim zapalem, że później była cała usmolona niczym kominarczyk.

Każdego dnia przyjeżdżała jeszcze przed świtem i zostawała do dziewiątej, gdy zaczynały się inspekcje. I każdego wieczora po pracy wracała, żeby uczyć się pod okiem Jacoba, który robił, co mógł, aby trzymać Celie na dystans. Sądził, że jeżeli nie będzie jej dotykał i nie będzie się do niej zbliżał, zdoła zapomnieć, jak to było trzymać ją w ramionach i czuć przy sobie jej drobne ciało. A także jak bardzo jej pragnie...

Niestety, wbrew sobie, pozwalał, aby Celie wciągała go w rozmowy na tematy niezwiązane z produkcją cukru. Co gorsza, z dnia na dzień coraz bardziej jej pożądał. Zaczynał, na przykład, tłumaczyć Celie obsługę jakiegoś urządzenia i nagle przyłapywał się na tym, że myśli tylko o tym, aby wyłuskać ją z ubrań. Stało się to wręcz jego obsesją!

- Jacob? - Celie stała na drabinie, czyszcząc jeden z dwóch olbrzymich zbiorników na sok przy wejściu do cukrowni. - Jacob? - powtórzyła zniecierpliwiona. - Upuściłam szczotkę. Możesz mi ją wyciągnąć?

Wspiał się więc po drabinie, próbując odpędzić natrętne myśli i ponad ramieniem Celie zajął do zbiornika. Szczotka na długiej ręczce leżała w wodzie pełnej mydlin. Sięgnął do środka.

- Byłaby z tego świetna wanna do kąpieli - stwierdziła Celie. - Gdyby ją napęlić gorącą wodą z bąbelkami, można by się w niej pluskać do woli w ciepłe wieczory.

Wyobraźnia natychmiast podsunęła mu obraz Celie w miesięcznej wannie na lwich łapach, stojącej w królewskiej łazience Isaaca. Bąbelki pieściłyby jej nagie uda i piersi, a potem on by do niej dołączył i...

- Jacob!

Głos Celie momentalnie przywołał go do porządku.

- Już, już. - Wręczył jej szczotkę i szybko zszedł na dół, a serce łomotało mu jak po długim biegu. - Masz, trzymaj!- dodał, podając jej gumowy wąż.

- Laboratorium pestycydów Pete Craven przy telefonie.

- Mam pewną delikatną sprawę. - Celie, która właśnie udawała się na kolejną inspekcję, zjechała na skraj szosy.

- Co?! Ach, to ty, Celie! - wykrzyknął Craven. - Co tam u ciebie?

- Chyba moja poczta internetowa źle działa, bo nie dotarła do mnie obiecana wiadomość, na jakim etapie jest sprawa atestu. A przecież przysięgałeś, że mi ją wyślesz. Pewnie przez pomyłkę została zakwalifikowana jako spam.

-Ja...

- Wiem, że nie wystawiłbyś mnie do wiatru.
- Och, nigdy w życiu - zapewnił ją pospiesznie. - Zamie-
rzałem napisać, ale naprawdę byłem bardzo zajęty. Sama wiesz,
jak to jest. Ostatnio wracałem z pracy tak późno, że...

-Pete! Zapadła cisza.

- Kiedy dostanę pozwolenie? Mówiłeś o dwóch tygo-
dniach, a minęły trzy.

Peter odchrząknął.

- Mieliśmy opóźnienia.

- Pięć i pół roku badań to za mało? O co teraz chodzi?

- Nie tylko Agencja Ochrony Środowiska i Departament
Rolnictwa mają coś do powiedzenia, ale również tuzin różnych
stanowych instytucji - odparł. - Czego się spodziewałaś?

- Spodziewałam się, że reszta to już tylko formalność, sko-
ro wspomniałeś, że widziałeś tekst pozwolenia.

- Rzeczywiście, ale wcześniej powiedziałem ci, że to jesz-
cze nic nie znaczy.

Celie popatrzyła przez okno. Dwie zielone ciężarówki, na-
leżące do Wydziału Leśnictwa Stanu Vermont, zatrzymały się
przy drodze.

- Wycinam drzewa na wyrost.

- Ciągłe ich naciskam.

- Widocznie za słabo. - W głosie Celie zadźwięczała nuta
irytacji.

- Robię, co mogę. To już niedługo.

- Możesz powiedzieć kiedy?

- Ostatnia wersja, jaką widziałem, została napisana na pa-
pierze firmowym departamentu.

- Och, to pewien postęp.

- Dostaniesz to pozwolenie.
- Kiedy? Jeszcze w tym stuleciu?
- Może.

Sięgnęła za fotel po swój przybornik.

- Zadzwoń do mnie, jak przyjdzie zezwolenie. Inaczej będziesz miał ze mną do czynienia.

- Czy myślisz, że będziesz pierwszą osobą, która użyje tego preparatu poza poletkiem doświadczalnym?

Celie zamknęła na moment oczy.

- Właśnie tak myślę.

Jacoba nie zdziwił widok ludzi, wędrujących pomiędzy regałami sklepu rolniczego. Zbliżał się sezon cukrowniczy i każdy, kto miał choć odrobinę rozumu, zaczynał poważne przygotowania. Oczywiście byli i tacy, co nie mieli rozumu. Ci skupili się wokół pieca i pytlowali jak najęci.

Clayton Billings odwrócił się do niego i skinął głową.

- Cześć, Jacob! Podobno w tym roku drzewa puszcza sok wcześniej. Wiesz coś o tym?

Jacob przystanął niechętnie. Claytona i towarzyszącego mu Paula Durkina znał, ale pozostałych dwóch raczej nie.

- To się dopiero okaże, ale już instaluję swoje kurki na drzewach.

Clayton roześmiał się.

- Nie próżnowałeś ani jednego dnia w swoim życiu, co?
- Jest robota, więc trzeba ją wykonać - stwierdził Jacob.
- Słyszysz, Paul? - zwrócił się Clayton do rudzielca. - Jest robota.

Durkin, który słuchał muzyki, splunął do pieca.

- Ile to potrwa? Dwa, trzy dni? Jak ktoś lubi, może się zarzynać. Ja poczekam do marca na właściwe zbiory.

- Kto ci broni? - Jacob podszedł do półki. Wziął paczkę filtrów i zawrócił do regałów z narzędziami.

Tymczasem przy piecu rozmowa zeszła na temat szkodnika i wycinki.

- Głowę dam, że ona nie wie, co robi - powiedział ktoś. Może Clayton, pomyślał Jacob. - Ten Rumson z nadleśnictwa mówi, że są inne sposoby.

Dick Rumson... Jacob wziął z półki pudełko z kranikami i położył je na ladzie obok filtrów.

- To już wszystko? - zapytała Muriel.

- Tak. Nie lubię mleć ozorem po próżnicy - stwierdził, podczas gdy Muriel zaczęła wypisywać fakturę.

- Ta baba przychodzi do mnie w przyszłym tygodniu ze swoją ekipą - odezwał się czyjś głos.

- Jaka tam jej ekipa! - prychnął pogardliwie ktoś inny. Pewnie Durkin, uznał Jacob i spojrział w stronę pieca. - Ja bym jej nie wpuścił na mój teren.

- Nie słyszałeś, co mówiła? Że załatwi nakaz.

- Tak? Może sobie robić, co chce, a nie będzie mi się kręcić po mojej plantacji. Rozmawiałem już z jednym prawnikiem z Montpelier, który powiedział, że ją przyblokuje.

- Mówiła, jakby już miała nakaz w kieszeni.

- Takie tam gadanie! - parsknął Durkin. - Jeżeli spróbuje ściąć choćby jedno moje drzewo, pożałuje. - Zerknął ukradkiem na Jacoba. - Dam jej popalić!

- A jak zamierzasz to zrobić? - zapytał Jacob. Przez twarz Durkina przemknął złośliwy uśmiezek.

- Mam swoje sposoby. Poza tym ona już chyba wie, że nie jest tu mile widziana.

Zanim Jacob zorientował się, co robi, szedł w stronę pieca.

Czterej mężczyźni odwrócili się jak na komendę. Musiał mieć coś groźnego w twarzy, bo nagle zrzędy im miny.

- Co takiego mówiłeś, Paul? - zapytał cichym głosem.

- Niby o czym? - zapytał z głupia frant Durkin.

- O tym, jak zamierzasz pokazać Celie, że nie jest tu mile widziana.

- A co tobie do tego?

- Po ostatnim zebraniu przez kilka godzin pomagałem jej zdjąć opony, a potem wozilem je do całodobowego warsztatu i osobiście zakładałem. To chyba nie ty przebiłeś jej gumy, co?

- Ta baba wycina twoje drzewa, a ty jej służysz za pomoc drogową?

- To nie ma nic wspólnego z moim pytaniem, Paul. - Jacob nadal mówił spokojnie, ale kiedy zrobił kolejny krok, mężczyźni pospiesznie odsunęli się od Durkina. - Czy to ty pociąłeś jej opony?

- Ja nic o tym nie wiem - odparł Durkin z wyzywającym uśmiechem.

Jacob przyjrzał mu się uważnie.

- W gruncie rzeczy nie musisz mi odpowiadać. To jest Eastmont, więc i tak się dowiem. To tylko kwestia czasu.

- Daj spokój, Trask. Twoja dziewczyna dostała po prostu za swoje.

- Przecież jest środek zimy! Poza tym o tej porze wszystko jest zamknięte. Gdyby nie ja, musiałyby wracać nocą na piechotę. To nie tylko przykre, ale niebezpieczne, ty idioto!

- Nie masz prawa...

- Mam! - rzucił twardo Jacob. - Zostaw Celie Favreau w spokoju!

- Nie będziesz mi mówił, co mam robić! - wybuchnął

Durkin. - Niech się nie pcha tam, gdzie jej nie proszą. Jak coś jej się stanie, sama będzie sobie winna. Jacob przeszył go groźnym wzrokiem.

- Jak coś jej się stanie, będę wiedział, kogo szukać. - Zrobił jeszcze jeden krok wprzód. - Możesz mi wierzyć, Paul, że go znajdę.

Durkin zbladł i się cofnął.

- Nie zbliżaj się do mnie!

- Zajmij się robieniem cukru, to nie będziesz miał kłopotów - rzucił Jacob i wrócił do Muriel.

- Kiedy cię namawiałam, żebyś więcej rozmawiał z ludźmi, nie miałam na myśli gróźb - powiedziała.

- Chciałem go postraszyć.

- I to ci się udało.

- Ktoś pociął opony za czterysta dolarów. Myślę, że ten ktoś zasługuje na to, żeby mu napędzić stracha. Niech też wie, że jeżeli to się powtórzy, poniesie konsekwencje.

- Znam Durkina, jest mściwy - powiedziała Muriel. - Na twoim miejscu bym na niego uważała. Poradź to też swojej przyjaciółce.

- Jest tylko przestraszony - zauważył Jacob, sięgając po torbę.

- Więc tym bardziej niebezpieczny.

- Mam to gdzieś. Jeżeli ktoś jeszcze raz spróbuje coś podobnego, pogonię go do Montpellier i z powrotem.

- Rozpuszczę taką pogłoskę. - Muriel przyjrzała się Jacobowi. - Paul ma rację, że coś jest między nią a tobą?

Jacob nasrożył się.

- Co to za pytanie?

- Potraktuję to jako potwierdzenie - odparła Muriel, wydając mu resztę.

Piątek to dzień, kiedy niektórzy zwalniają tempo, lecz gdy Celie przyjechała o świcie, zastała Jacoba ładującego do ciężarówki wiadra oraz skrzynki ze sprzętem. Tuż obok Deke szykował swoją furgonetkę.

- Co się dzieje? - zapytała. - Wkraczamy do akcji?

- Może. - Jacob załadował ostatnią skrzynię. - Zapowiadają za kilka dni wczesny wyciek. Chcę założyć kurki, żeby nie zmarnować ani kropli.

- W lutym? Myślałam, że soki zaczynają wyciekać dopiero w marcu.

- Zaczynają wyciekać wtedy, kiedy im się podoba.

- Albo i nie - zarechotał Deke, a Jacob uśmiechnął się ukradkiem i powiedział:

- Deke będzie pracował w górnej części plantacji. My zaczniemy od dołu. - Chwycił kurtkę i ruszył do szoferki.

- Ile czasu zajmuje założenie kurków? - zapytała Celie. - Zdążysz na czas?

- Zdążymy, nawet gdybym musiał pozawieszać lampy na drzewach - odparł, sadowiąc się za kierownicą.

I zrobiłby to, pomyślała. Nie знаła dotąd nikogo, kto byłby równie zawzięty jak Jacob. Jeżeli powiedział, że coś robi, nic i nikt by go nie powstrzymał. Zresztą to samo odnosiło się do tego, czego nie zamierzał uczynić. Od ich pocałunku na śniegu minął tydzień, podczas którego pracowali razem każdego ranka oraz wieczora, a on uporczywie trzymał się od niej z daleka. Czasami odnosiła wrażenie, że udało jej się do niego zbliżyć, ale on natychmiast wynajdywał jakiś pretekst, żeby się odsunąć.

Gdy ciężarówka zatrzymała się na drodze dojazdowej, Celie poczuła dreszczyk podniecenia. Nie mogła się doczekać po dniach zmudnych przygotowań. Klony wyglądały inaczej,

jakby już były pobudzone - to soki zaczynały w nich zbierać. Natura z wolna budziła się do życia pod wpływem bladych słonecznych promieni.

- Wszystko w porządku? - zapytał Jacob, stawiając skrzynkę z narzędziami pod jednym z klonów

- Jasne. Czemu pytasz?

Nie odpowiedział, tylko wskazał szramę na korze.

- Teraz patrz, co masz robić. Znajdź ślad po ubiegłorocznym drenie. Odmierz jakieś piętnaście, dwadzieścia centymetrów w bok i pięć w górę. Chodzi o to, żeby z roku na rok posuwać się spiralnym ruchem w górę pnia - tłumaczył Jacob.

Jak widać, potrafił patrzeć w przyszłość i rozumiał, że są sprawy ważniejsze niż doraźny zysk. Spoglądając na jego skupioną twarz, pomyślała, że wzbudza jej podziw.

- Staraj się umieszczać kurki mniej więcej metr, metr dwadzieścia nad ziemią - mówił dalej. - Dzięki temu łatwiej będzie zdjąć wiadro, kiedy się już napełni.

- Jak często trzeba je wymieniać?

- W udanym sezonie codziennie. - Otworzył skrzynkę i wyjął wiertarkę.

Celie sięgnęła po jeden ze stalowych kurków.

- Dlaczego nie przerzuciłeś się na kurki o mniejszym przekroju? Dużo się o nich mówi w instytucie. Uszkodzenia pnia są wtedy mniejsze.

Jacob uśmiechnął się drwiąco.

- Widzę, że nie ustąpisz, póki nie zmusisz mnie do jakiejś zmiany. Nie wiem, czy zauważyłaś, że zmieniłem dzisiaj koszulę. Czy to ci wystarczy?

- Jest w kratkę.

- Masz coś przeciwko kratce?

- Nie, ale to kolejna wersja kratki, jaką widzę na tobie.
Czyżbyś miał szkockie korzenie?
- Skończmy tę rozmowę.
- To ty zacząłeś. Nie chcę też, żebyś ubierał się inaczej. W tych kraciastych koszulach jest ci do twarzy.

Jacob zmieszał się.

- Była mowa o kurkach - przypomniał jej.
- Przepraszam, już nie będę cię rozpraszać. - Celie obwiodła językiem górną wargę. - Wiem dobrze, że tego nie nawidzisz.

- Mamy tu pracę do wykonania.

- W takim razie pokaż mi, jak to się robi.

- Dobrze. - Siegnął po wiertarkę. - Wbijasz się ukośnie, do góry. W ten sposób spływa więcej soku. Jeżeli otwór ma być mały i gładki, musisz mocno trzymać wiertarkę. - Zrobił dziurkę, żeby jej zademonstrować. - Teraz włóż kurek do otworu. Wbij go młotkiem. A potem powieś wiadro.

Gdy spróbował to zrobić, pokrywka wyslizgnęła mu się z rąk i upadła na śnieg. Schylili się jak na komendę, żeby ją podnieść, i zastygli niemal twarzą w twarz. Celie wstrzymała oddech. Jacob poruszył się pierwszy. Chwycił pokrywę i wstał.

- Nałóż ją. To wszystko - powiedział. - Chcesz spróbować?

Owszem, chciała spróbować, a zwłaszcza tego, co mogli robić we dwójkę. Przywołała się jednak do porządku i szybko odparła:

- Jasne.

- Ten pień ma pół metra grubości, więc można założyć drugi kurek po przeciwnej stronie. - Wręczył jej wiertarkę.

- Jazda!

Świadomość, że na nią patrzy, kazała jej pilnie uważać na każdy ruch.

- W ten sposób?

- Kął jest niewłaściwy - rzekł szorstko i otoczył ją ramieniem, aby chwycić wiertarkę. - Widzisz? Trzymaj ją w ten sposób i stopniowo przechylaj. Dobrze, a teraz pchnij nieco mocniej.

Niestety, palce jej omdlały. Myślała tylko o tym, że Jacob stoi tuż za nią. Odwróciła głowę i na wysokości oczu napotkała jego usta. Po chwili z tłumionym przekleństwem wrzucił wiertarkę do skrzynki i zawładnął wargami Celie. Pocałunek był zachłanny i namiętny. Oczy zaszły jej mgłą, więc je zamknęła, by móc bez przeszkód smakować nowe cudowne doznania.

Nie był to ten opanowany, ostrożny Jacob, jakiego znała. Mogła tylko wzdychać bezradnie, gdy pieścił jej twarz i szyję ustami i językiem. Ona jednak pragnęła czegoś więcej. Chciała, żeby jej dotykał tak jak nigdy dotąd. Wydała z siebie gardłowy pomruk.

Jacobowi krew uderzyła do głowy. Przez tyle dni i nocy rozmyślał o Celie i o tym, jak bardzo jej pragnie. Wreszcie poddał się fali namiętności i przestał nad sobą panować. Usta Celie drażniąco dotykały jego warg, obiecując rozkosz i doprowadzając go do szaleństwa.

Zdarł rękawice i zaczął rozpinąć jej kurtkę. Czuł, jak Celie drży. Wsunął ręce pod rozpiętą kurtkę i przyciągnął Celie do siebie tak, że znaleźli się jakby w ciepłym kokonie. Sięgnął pod jej sweter i napotkał jedwabistą skórę. Eksplozja pożądania była tak potężna, że pewnie by uległ, gdyby nagłe uderzenie zimna i jęk Celie nie przywołały go do porządku.

Opuścił ręce i cofnął się o krok.

Celie podniosła na niego zamglone oczy i oblizwała wargi.

- Coś nie tak?

Jacob nie był nowicjuszem, jeśli chodzi o kobiety. Uważał jednak, że należy traktować je z szacunkiem.

- Jest poniżej zera, a ja się do ciebie dobieram w biały dzień! A ty jeszcze pytasz, co jest nie tak - rzucił podniesionym głosem. - To nie w porządku.

- Nieprawda. To cudowne.

- Nie żartuj!

Przysunęła się i zarzuciła mu ręce na szyję.

- Podoba mi się, że cię poniosło. - Roześmiała się zalotnie.

- Cieszę się, że wreszcie udało mi się ciebie sprowokować.

Podдай się, bo prędzej czy później do tego dojdzie.

Słowa protestu zamarły mu na ustach. Mógł tylko skinąć głową.

- W każdym razie nie tu i nie teraz.

- Ale już niedługo.

- Aleś ty uparta.

- Raczej zawzięta.

Spojrzał na nią spod groźnie zmarszczonych brwi.

- Pomożesz mi wreszcie zakładać te kurki czy nie?

Rozdział 10

- Co pani tu robi? Kim pani jest?

Celie podniosła wzrok znad porannej gazety. Ubrana w żółty szlafrok Marce stała na progu kuchni.

- Jestem twoją współlokatorką.

- Nie jesteś moją współlokatorką. Moja współlokatorka wyjeżdża każdego ranka o piątej trzydzieści.

Celie upiła łyk soku pomarańczowego.

- Mów, o co chodzi?

- Jest ósma rano, a ty jesteś w domu. - Marce podeszła do szafek. - Chcesz kawy?

- Nie, dziękuję.

- Masz dziś wychodne? - Marce naląła sobie filiżankę, po czym wyjęła z lodówki półmisek winogron. - Nie powinnaś terminować?

- Wszystko zostało przygotowane - odparła Celie. - Jacob dał mi wolny dzień. Pozostało czekać na wyciek soku.

- Na odmianę możesz dziś się zrelaksować?

- Tak.

- Ale nie wyglądasz na zrelaksowaną. -No cóż, ja...

- Szczerze mówiąc, wyglądasz tak, jakby coś cię gryzło.
Chodzi o Jacoba?

- Niezupełnie.

- O jego drzewa?

- Nie, z nimi wszystko w porządku. Tylko... - Celie westchnęła. - Rozmawiałam z Pete'em. Żukol wciąż nie dostał atestu.

- Ten środek owadobójczy, którego użyłaś nielegalnie?

- Tak, ten sam.

- I wszystkie zaszczerpione drzewa mają założone wtyczki?

Celie pokiwała głową, zgnębiona.

- Tale, a Dick Rumson myszkuje po okolicy i szuka pretekstu, żeby mnie przyskrzynić.

- Przypomnij sobie raz jeszcze powody, dla których zdecydowałaś się na szczepienia.

- Żeby uratować drzewa przed wycinką.

- Drzewa Jacoba Traska.

Celie spojrzała ze złością na przyjaciółkę.

- Drzewa. Koniec, kropka. Byłam pewna, że pozwolenie nadejdzie lada moment. Pete mówił o dwóch tygodniach, a minęły trzy.

- Opóźnienia są regułą, gdy kilka agencji rządowych za coś się bierze.

- To samo powiedział mi Pete. - Celie zapatrzyła się w okno.

- W końcu to załatwią - pocieszała ją Marce.

- Może zdążą, zanim osiwieję ze zmartwienia. Masz teraz okazję powiedzieć mi: „A nie mówiłam?”

Zapadło milczenie, które przerwała Marce:

- Wiesz co? Siedząc tu z nosem na kwintę, nie ułatwiasz sobie sytuacji. Przeciwnie. Trzeba się trochę rozerwać. Zo-

bacz, jakie piękne słońce. Wymarzona pogoda na narty. Co ty na to? Celie wstała.

- Jedziemy!

- Jak tam Jacob? - zapytała Marce, gdy zatrzymały się na stoku. - Dalej poprzestaje na całusach?

- Ostatnio nabrał odwagi.

- Czy wy już...?

- Nie - zaprzeczyła Celie. - Jednak odniosłam wrażenie, że powoli oswaja się z tą myślą.

- Co ty opowiadasz! Mężczyźni rodzą się z tą myślą. To kobiety potrzebują rozgrzewki.

- Jacob ma swoje dziwactwa. - Celie zdjęła kurtkę.

- To prawda, chociaż widziałam, że zgolił brodę.

- Dobrze wygląda, prawda?

- Niech jej nie zapuszcza. Nie ma porównania z tym, co było przed tym. Facetowi, który tak wygląda, można wiele wybaczyć.

- Zwłaszcza jeżeli całuje tak bosko?

- Tym bardziej. - Marce wsparła się na kijkach. - Myślisz, że dojdzie do czegoś między wami?

- Chcesz prawdy?

- Nie, poproszę o kłamstwo.

Celie zapatrzyła się na ośnieżone pola.

- Lubię go - powiedziała po namyśle. - Nawet bardzo. Jest dosyć szorstki, ale to z gruntu dobry człowiek. Przy nim czuję się bezpiecznie. Odczuwam spokój, jakiego nie zaznałam od dawna. Czy to brzmi głupio? - Odwróciła głowę i zobaczyła, że Marce jej się przygląda.

- No, no! Nigdy tak nie mówiłaś o żadnym facecie.

- A jak mówiłam?
- Och, że jest ciekawy, seksowny, dobry w łóżku, dowcipny.
- On jest dowcipny. Jest naprawdę fantastyczny, a ciało ma... Nie wiem, jaki jest w łóżku, ale sądząc po tym, jak całuje, nie sprawi mi zawodu. O ile do tego dojdzie.
- Och, nie mam najmniejszych wątpliwości.
- Pobożne życzenia. - Celie klepnęła Marce w ramię. - Jedziemy!
- To dobry pomysł, bo przez cały czas, kiedy tu stałyśmy, coś mi kapało na głowę - poskarżyła się Marce.
- Kapało? - Celie spojrzała na gałęzie nad głową i poczuła kroplę na czole. Z nieba bez jednej chmurki! To znaczy, że śnieg topnieje.
- Musimy wracać - powiedziała.

Celie wyobrażała sobie zbiór soku jako żmudną, monotonną pracę. Nie przypuszczała, że to takie spokojne zajęcie. Okazało się, że chodzenie od drzewa do drzewa i sprawdzanie ilości soku może mieć w sobie coś hipnotycznego. Klony stały niewzruszenie i z każdego kapał sok, kropla za kroplą. W rytm bicia serca, jak mówił Jacob.

Zdjęła z haka wiaderko i przelała jego zawartość do dużego wiadra. Było już w trzech czwartych pełne. Pora zanieść je do cysterny umieszczonej na przyczepie traktora. Pierwsze, czego się nauczyła tego dnia, to że trudno jest chodzić z pełnym wiadrem. Pełne w trzech czwartych można nieść bez trudu. Będzie wprawdzie musiała obrócić więcej razy niż Jacob, Deke i reszta, ale wykona normę.

Czysty sok zawirował w wiadrze jak woda. Zaciekawiona, zdjęła rękawicę, umoczyła palec i oblizała go. Sok był prawie bez smaku, z lekką nutką słodczy.

- Indianie nazywali to „słodka woda” - odezwał się Jacob za jej plecami. - Gotowali ją godzinami na ognisku.

- Tak jak ty.

- Owszem - odparł. - Deke, zawieź sok do cukrowni. Czas na przerwę - zwrócił się do Celie. - Mam kanapki w szoferce, gdybyś chciała.

- Chcesz mnie nakarmić?

- W ten sposób, jeśli chodzi o śniadanie, będziemy kwita.

- Chcesz mi się zrewanżować jedynie kanapką za moje pyszne naleśniki?

- To dobre kanapki - odparł, otwierając drzwi szoferki. - Poza tym, jak będziesz miła, włączę ogrzewanie.

Wsiadając, zerknęła na niego spod długich rzęs.

- Na ile mam być miła?

- Mamy masę roboty. Albo kanapki, albo nic.

- Wobec tego poproszę kanapkę - powiedziała zrezygnowanym tonem.

Kiedy odwinęła papier i ugryzła kęs, przekonała się, że Jacob miał rację. Kanapka rzeczywiście była smaczna. Przez kilka chwil jedli w milczeniu. Celie patrzyła na porośnięte drzewami łagodne zbocze.

- Teraz już rozumiem - odezwała się nagle.

- Co takiego?

- Dlaczego nie chcesz przetrzucić się na rurki. Ten staroświecki sposób ma w sobie coś. Dlatego co roku nie możesz doczekać się wyjścia do lasu i tego całego rytuału. Nawet Deke'a z jego traktorem. Gdybyś ściągał sok rurkami, to nie byłoby już to samo.

- Większość ludzi uważa, że jestem sentymentalny.

- A nie jesteś?

- Pewnie trochę. Robiłem to w tradycyjny sposób od dziec-

ka i ten spokojny rytm mi odpowiada. - Jacob wyjął termos i kubki. -. Z drugiej strony, założenie rur to poważna inwestycja.

- Która zwróciłaby ci się z czasem.

- Już o tym rozmawialiśmy. Na każde pięć lat przypadają dwa lata tłuste, dwa lata chude i jeden rok przeciętny. Ktoś, kto zainwestuje w złym roku, może zbankrutować. Trzeba myśleć praktycznie.

- Mógłbyś przecież instalować rury stopniowo. Jacob rozlał kawę do kubków.

- Ale ja lubię zbierać sok do wiader, nawet jeżeli jest przy tym więcej roboty.

- To znaczy, że jesteś sentymentalny.

- Może i tak. A ty nie jesteś sentymentalna z tą twoją rozklekotaną furgonetką, dziurawymi rękawiczkami i starą kurtką? Człowiek powinien trzymać się pewnych rzeczy.

- Jeżeli natrafisz na coś, co ci się podoba, to się tego trzymasz? - zapytała.

- Kiedy trafiam na coś, co mi się naprawdę spodoba, wpadam po uszy - odparł Jacob, patrząc Celie w oczy.

Popołudniowe słońce zajrzało przez okna cukrowni. Jacob podszedł do zbiornika i odkręcił zawór. Sok gulgocząc, popłynął zygzakami, wypełniając przegródki parownika. Nałożono już polan do pieca. Jedna zapałka wystarczyła, aby płomień rozpełzły się po całym palenisku.

Przez długie minuty nic się nie działo, a potem na powierzchni cieczy ukazały się bąbelki, aż wreszcie sok zaczął wrzeć. Jacob dołożył dREW do paleniska. Pomieszczenie napełniło się zapachem.

Celie pociągnęła nosem, próbując go określić. Nie był to

skondensowany zapach syropu klonowego, jak w naleśnikarni. Bardziej przypominał słodkawy, leśny aromat. Jacob nachylił się nad blachą i wciągnął do płuc haust powietrza.

- Tak pachnie wiosna - powiedział z uśmiechem. - Nie dbam o to, że jest luty.

Tymczasem kłęby pary uniosły się w górę, do komina pod dachem, a stamtąd prosto w wieczorne niebo. Gotujący się sok spływał z górnego poziomu na blachę, umieszczoną tuż nad paleniskiem. Gęstniejąc, ciemniał jak karmel. Na końcu każdej przegródki znajdował się otwór wylotowy, przez który wypłył gotowy syrop.

Na razie jednak spływał on leniwie w dół, a bąbelki na powierzchni robiły się coraz większe. Jacob sięgnął po nóż o szerokim ostrzu i plastikowy talerzyk, na którym leżała kostka masła..

- Co robisz? - zapytała Celie.

- Patrz! - Gdy zaczął wrzucać odrobinki masła do wrzącego płynu, bąbelki popękały. - W ten sposób syrop szybciej się gotuje.

Kłąb pary zawirował. Drzwi prowadzące do sklepu otworzyły się i do cukrowni weszła Molly.

- Co tak pięknie pachnie? - zapytała z błogim uśmiechem.

- Pierwsza partia syropu - odparł Jacob. Nagle rozległ się dzwonek u drzwi frontowych.

- Muszę wracać do sklepu. - Molly odetchnęła głęboko, po czym odwróciła się i wyszła.

Patrząc za nią, Celie pomyślała, że tego rodzaju praca daje ludziom poczucie kompletnego spełnienia i ciągłości, gdy krąg się zamyka.

Podeszła do Jacoba i kiwnęła palcem, a kiedy się nad nią nachylił, pocałowała go w policzek.

- Dziękuję ci - powiedziała.
 - Ale za co?
 - Za to, że pozwoliłeś mi w tym uczestniczyć.
- Jacob pochylił się jeszcze niżej i nagle pocałował ją w usta.
- A ja dziękuję ci za to, że chciałaś w tym uczestniczyć.

Następnego dnia Celie wyruszyła na inspekcję kolejnej plantacji. Teraz znacznie lepiej rozumiała sens swoich działań. Czuła, że to, co robi, ma kluczowe znaczenie. Jednak pod wieczór poczuła się zmęczona i z ulgą pomyślała, że kolejny dzień ma już za sobą. Spojrzała przed siebie. Drzwi jej furgonetki były otwarte i ktoś zaglądał do środka. Zirytowana, podeszła bliżej.

- Czego pan szuka w moim samochodzie? Intruz wyprostował się i odwrócił.

Był to Paul Durkin.

- A czego pani szukała na moim terenie? Wet za wet, to uczciwa gra, nie mam racji?

Celie zobaczyła nagle, że Durkin trzyma w rękach jej wtryskiwacz. A niech to licho!

- Ładna zabawka, co? - zarechotał.

- Cieszę się, że się panu podoba, ale muszę to zabrać - powiedziała stanowczym tonem.

- Proszę bardzo, jest pani. - Oddał jej wtryskiwacz i odsunął się na bok.

Nachyliła się, żeby schować wtryskiwacz do pudełka. Na szczęście butelki Żukolu były schowane w bagażniku. Kiedy znowu się odwróciła, Durkin stał tuż za nią.

- Cieszę się, że pana spotkałam - powiedziała, przechodząc do ataku. - Chciałabym zapoznać pana z wynikami inspekcji.

Durkin skrzyżował ręce na piersi.

- Równie dobrze możemy porozmawiać tutaj. O co chodzi? Coś pani znalazła?

- Zarażone drzewo, niestety. Dziś po południu przeprowadzę testy potwierdzające. Na razie znaleźliśmy tylko jedno drzewo. Trzeba będzie co nieco wyciąć, ale niewiele.

- Nie ma mowy!

- Panie Durkin, nie ma pan wyboru.

- Chce się pani założyć? Może pani porozmawiać z moim prawnikiem.

- Z pańskim prawnikiem? Durkin wyjął z kieszeni wizytówkę.

- Zadzwoń do niego w zeszłym tygodniu. Właśnie jest w trakcie załatwiania zakazu, który zablokuje wszelką wycinę, dopóki sąd nie rozpatrzy sprawy.

- To mu się nie uda!

- Uważam, że tak.

- Wygraliśmy takie sprawy w trzech innych stanach.

- Może i tak, ale mamy eksperta do spraw leśnictwa, który będzie świadczył na naszą korzyść.

Z pewnością Dicka Rumsona, uznała Celie.

- Niech pani spróbuje wyciąć choćby jedno moje drzewo. Jak dostanę ten papier, wsadzę panią za kratki. - Głos Durkina ociekał zadowoleniem.

- Czy to groźba?

- Jeśli chce pani poznać więcej szczegółów, to niech pani zadzwoni do mojego prawnika.

- Miejmy nadzieję, że nie dojdzie do procesu.

- Dla pani byłoby lepiej.

Obdarzyła go promiennym uśmiechem.

- To nie ja będę stroną, tylko rząd.

- Władze stanu Vermont nie poprą pani. Dick Rumson gotów jest zeznawać na moją korzyść.

Celie straciła cierpliwość.

- Te drzewa muszą zostać ścięte do połowy marca - powiedziała z naciskiem. - W przeciwnym razie zaraza rozprzestrzeni się na cały stan.

- A jaką mamy gwarancję, że wytniecie wszystkie, co trzeba? Lepiej się przyznajcie, że się na tym nie znacie. Opieracie się na przypuszczeniach, a potem liczycie, że wam się uda.

- To jedyna skuteczna metoda.

- Słyszałem co innego. Podobno w zeszłym roku w Minnesocie była druga epidemia.

- Dlatego, że część zarażonych drzew wywieziono jako drewno na opał do innego hrabstwa.

- Albo jeden z tych waszych chrząszczy poleciał dalej, niż zakładaliście - rzucił Durkin.

- Prześlę panu pocztą stosowne dokumenty. Te drzewa muszą zostać wycięte.

- Tak się pani wydaje.

- Czy pan w ogóle rozumie, co pan robi, panie Durkin?! - uniosła się Celie. - Niech pan powie swojemu prawnikowi, żeby przejrzał uważnie materiały i poinformował mnie, czy chce się w to pakować. Daję panu tydzień, a potem będzie pan miał poważne kłopoty.

- I kto komu grozi?

- To nie groźba, a obietnica.

Wsiadła do samochodu i chciała zamknąć drzwi, ale Durkin je przytrzymał.

- Ciekawa sprawa z tym wtryskiwaczem - rzucił od niechcienia. - Wygląda, jakby był niedawno używany. A prze-

cież, o ile dobrze pamiętam, mówiła nam pani, że nie macie pestycydu z atestem.

- Rzeczywiście nie mamy. - Znów spróbowała zamknąć drzwi, ale on nie chciał ich puścić.

- Robicie jakieś badania? - zapytał. Celie szarpnęła z całych sił.

- Niech pan zajmie się swoimi drzewami, panie Durkin, a resztę nam zostawi. - Zatrzęsnęła drzwi i odjechała.

Paul Durkin patrzył za oddalającym się samochodem ze złowieszczym uśmiechem.

RRS

Rozdział 11

Celie weszła do damskiej łazienki i zobaczyła Marce przy umywalce.

- O, tu jesteś!

- Cześć! - przywitała się Marce. - Jakie są plany na dzisiejszy wieczór?

- Na dzisiejszy wieczór? - zdumiała się Celie.

- Przecież dzisiaj przypada dzień świętego Walentego! Pomyślałam sobie, że z braku kawalerów, mogłybyśmy wybrać się na kolację albo na drinka do Montpellier.

- Przykro mi, ale muszę jechać do Jacoba.

- Kroi się gorący wieczór w cukrowni.

- Rzeczywiście gorący. I bardzo wyczerpujący.

- Ach tak? - Marce zaświeciły się oczy. Celie roześmiała się.

- Obsługujemy parownik, Marce.

- W walentynki? Daj spokój! Jeżeli on nie zamierza cię zaprosić, mógłby chociaż dać ci wolny wieczór.

- Teraz każda para rąk jest na wagę złota. Jestem mu bardzo potrzebna - przypomniała jej Celie, sięgając po wiszący obok ręcznik.

- Jacob Trask nigdy nie potrzebował niczyjej pomocy. Tak czy inaczej, powinien cię gdzieś zaprosić choćby po to, żeby ci podziękować.

- A co ma zrobić z sokiem w cysternach, skoro jutro będzie następna porcja?

- A co ja mam zrobić z tą uparciucha? - mruknęła Marce.

- Wszystko słyszałam. - Celie odwróciła się do drzwi.

- Jeżeli się upiję i wezmę w Las Vegas szybki ślub, to będzie twoja wina - ostrzegła ją Marce.

- Będę o tym pamiętać.

Gdy Celie zatrzymała się przed cukrownią Trasków, z kominu buchał siwy dym. Wchodząc do budynku, uśmiechnęła się do siebie. Tutaj mogła zapomnieć o chrząszczu-szkodniku, wrogo nastawionym Dicku Rumsonie i otaczającym ją świecie. Tutaj życie było proste: sok i ogień, drewno i syrop. Tu było jak w niebie. Tu był Jacob.

Zaciągnęła się słodkawym, drzewnym zapachem. Chociaż na dworze był mróz, w cukrowni panowała temperatura jak w tropikach. Rozpięła kurtkę i pośpiesznie ją zdjęła. Poprzez kłęby pary zobaczyła Jacoba i dech jej zapało.

Widziała mężczyzn ćwiczących na siłowni, którzy obsesyjnie rzeźbili ciała. Jacob na pewno nigdy nie był w takim miejscu, ale mógłby zawstydzić niejednego kulturystę. Miał na sobie dzinsy i podkoszulek. Pod cienkim trykotem kryło się cudownie umięśnione, potężne ciało. W przyćmionym świetle jego skóra nabrała miedzianego odcienia.

Przyjrzał jej się uważnie, a potem, ocierając pot z czoła, zapytał:

- Masz coś pod tym?

- Co? - zapytała zdumiona.

- Masz coś na sobie pod bluzą? W tym stroju długo nie wytrzymasz.

- Możesz otworzyć okno?

- Jasne, ale to niewiele pomoże.

- Chyba masz rację.

Gdy Celie zaczęła zdejmować bluzę, Jacob zadał sobie pytanie, co taka kobieta jak Celie może nosić na gołe ciało? Czarne koronki? Jedwab? Kiedy zobaczył, uśmiechnął się do siebie. Powinien był się domyślić. Bawełniany podkoszulek w kwiatuszki, praktyczny, a zarazem seksowny. Przy tym tak obcisły, że widać wszystkie krągłości.

- Jak ci minął dzień? - Podeszła do parownika i zajrzała do rynienki, w której bulgotał sok.

- Masę roboty - mruknął. - A tobie?

- Włókł mi się niesamowicie - odparła i ziewnęła.

- Nie musisz tu tkwić - powiedział i nagle gotowanie soku; w pojedynkę wydało mu się potwornie nudne. Zwłaszcza po tym, jak miał okazję obejrzeć jej podkoszulek w kwiatuszki z lśniącą kokardką przy dekolcie.

- Ale chcę. Co dziś robiłeś?

- Głównie gotowałem syrop. Wyciek soku trochę osłabł. Jutro możemy liczyć na kilkaset litrów plus kilka tysięcy, które musimy przerobić tej nocy.

- Tej nocy? - powtórzyła.

- Jak to się mówi, wpadłaś z deszczu pod rynnę. -

Uśmiechnął się. - Powinienem skończyć do drugiej albo trzeciej nad ranem, ale nie musisz zostawać tak długo.

- Chcę zostać do końca. To część naszej umowy.

- Już teraz wyglądasz na zmęczoną - zauważył.

- Napiję się kawy.

Na wieść o tym, że z nim zostanie, ogarnęła go radość.

Podszedł do pieca i metalowym pogrzebaczem otworzył drzwiczki. Nagle płyn w rynience głośno zabulgotał.

- Mam się tym zająć? - Celie sięgnęła po plastikowy talerzyk z masłem.

- Ja to zrobię - powiedział Jacob.

Wyrobienie syropu było sztuką, której uczył się latami. Nie można jej opanować w jedną noc. Poza tym znał lepsze sposoby na spędzenie nocy z Celie. Jednak ona była wyraźnie zawiedziona.

- Chcę ci pomóc.

-I pomożesz. - Chwycił dwa polana, wsunął je do pieca i zamknął drzwiczki. - W lodówce w kawiarni jest torba z kanapkami. Przynieś ją, a przy okazji trochę wody.

- Znowu kanapki?

- O tej porze roku żywię się wyłącznie kanapkami. Celie zniknęła za drzwiami i po chwili wróciła z torbą w ręce.

-Wzięłam też serwetki - powiedziała, wręczając mu butelkę wody mineralnej. - Zobaczmy, co tu mamy. - Sięgnęła do torby i wyjęła kanapkę z indykiem, jedną z tych, które przyszykował tego ranka. - Kto odpowiada za catering?

- Spieszyłem się. - Zamieszał bulgoczący sok, a potem podszedł do stolika, który Celie nakryła serwetką. - Co to ma być? Piknik?

- Chciałam, żeby było jak w domu. - Uniosła palec, aby otrzeć z ust odrobinę musztardy. - Nie przesadzasz nieco z przyprawami?

- Im więcej, tym lepiej.

- Chyba tak - przyznała, oblizując palce. Jacob wpatrywał się jak zafascynowany w różowy koniuszek jej języka. - Nie

powinieneś zajrzeć do soku? - zapytała, a w jej oczach zamigotały iskiereki.

Wtedy do niego dotarło, że się z nim droczy.

- Jesteś niegrzeczna - orzekł, po czym wstał i podszedł do parownika.

Odpowiedzią był jej perlisty śmiech.

Godzina mijała za godziną, a oni pracowali ramię w ramię, w zgodnym rytmie. Po północy Jacob zobaczył, że sok przestaje ściekać ze zbiornika.

- Nie wiem, czy ci podziękowałem jak należy za to, co zrobiłaś dla moich drzew - zwrócił się do Celie. - Myślę o szczepieniach. - Uśmiechnął się i przeszedł na środek hali.

- Wybacz mi. Byłem wtedy w szoku.

- Miałaś powód. Wiem, co to znaczy, kiedy trzeba wyciąć drzewa. Zwłaszcza dla ciebie.

- Nie, nie wiesz. - Zapatrzył się w bulgoczący sok, a potem się odwrócił. - Mój ojciec zmarł wśród tych drzew

- Tych, które wycięliśmy?

- Nie, tych które uratowałaś. Chodziłem tam przez cały ubiegły rok i myślałem o nim. Dzięki temu było mi lżej. Jak by te drzewa były żywą pamiątką po ojcu. Ścięcie ich oznaczałoby profanację jego pamięci.

Wstrząśnięta Celie pomyślała, że o mały włos tego nie zrobiła.

- Dlaczego nic mi nie powiedziałeś?

- A po co? Nie mogłaś przecież zostawić drzew, które stanowiły zagrożenie, tylko po to, żebym poczuł się lepiej. Musimy pozbyć się tego szkodnika, a jeżeli w tym celu trzeba będzie wycinać, trudno. - Podszedł do paleniska. - Ja przecież

wiem, że taty nie ma w tych drzewach. Jednak czuję, że jego duch żyje wśród nas - wyznał.

- Na co umarł? - zapytała Celie.

- Zeszłej wiosny miał zawał. Zbieraliśmy sok. W pewnym momencie odwróciłem się i zobaczyłem, że ojciec leży na ziemi. - Zapatrzył się w płomienie. - Chciałem go zawieźć do szpitala, ale to był rozległy zawał. Później powiedzieli mi, że nawet gdyby doszło do niego przed samym szpitalem, i tak byłoby za późno.

- Zrobiłeś, co mogłeś.

- Zawsze pracowaliśmy razem. Wyrabianie syropu bez niego wydaje mi się jakby nie na miejscu. On powinien tu teraz być. - Spróbował soku, a potem podstawił wiadro pod kran, wystający ze ścianki parownika.

- Czy ktoś jeszcze z waszej rodziny pracuje na plantacji, oprócz twojej matki?

Jacob podniósł wiadro, jakby było lekkie jak piórko. Mięśnie ramion napięły się mu z wysiłku.

- Nick i Gabe nie mogą tu wrócić. Wybrali inne zajęcie. To ja mam dopilnować, żeby wszystko szło jak należy.

- Sto akrów? Czy to nie za dużo jak na jedną osobę? Kto cię w to wmanewrował?

Popatrzył na nią tak, jakby po raz pierwszy w życiu usłyszał to pytanie.

- Chyba ja sam - odparł po namyśle. - Kocham tę pracę. Zawsze ją kochałem.

Reszta poszła w świat, a on został, pomyślała Celie. W tym momencie zrozumiała, że nawet taki siłacz jak on może poczuć się zmęczony. Tymczasem Jacob usiadł przy stoliku pod oknem, z którego roztaczał się widok na parking.

- Zawsze wiedziałem, że któregoś dnia to właśnie ja przejd-

mę plantację. Jednak nawet przez myśl mi nie przeszło, że tata mógłby odejść tak szybko, tak niespodziewanie. - Wbił! wzrok w bulgoczący sok i ocknął się dopiero wtedy, gdy Celie podała mu talerzyk z masłem.

- Ciężko robić to wszystko w pojedynkę - zauważyła.

- Praca nigdy mnie nie przerażała - odparł. - Ale chyba nie o to ci chodziło. - Wstał, żeby przeciąć bąble. - Świadomość, że wszystko spoczywa na moich barkach, czasami mnie przerasta. Czuję się wtedy samotny. Czy to chciałaś usłyszeć? - dorzucił sarkastycznym tonem.

- Nie - odrzekła. - Niezupełnie.

Milczał przez dłuższą chwilę, a potem powiedział:

- Traskowie prowadzili plantację od stu trzydziestu lat. Przez pięć pokoleń. Tata zmarł, a Gabe i Nick wcześniej wyjechali i jest już za późno, żeby mogli tu wrócić. To moim obowiązkiem jest dopilnować ciągłości. - Wstał po wiadro z resztą syropu, a kiedy dał głową znak, Celie otworzyła drzwiczki pa-leniska. - To problem rodzinny Trasków. Zapomnij, że o tym mówiłem.

- Nie zapomnę. - Celie wyprostowała się i spojrzała Jacobowi w oczy. - Wiem na ten temat więcej, niż ci się wydał je. Moi rodzice prowadzą księgarnię w Montrealu - ciągnęła. - Nazywa się „Cite de L’Ile” i jest w rękach naszej rodziny od czasów mojego pradziadka. Wychowałam się w tym cholernym sklepie, pracowałam w nim w weekendy i każdego dnia po szkole, a także w czasie wakacji. Mieliśmy mieszkanie nad księgarnią. Było za ciasne, za to blisko, a poza tym i tak nie byłoby nas stać na większe. - Uśmiechnęła się blado. - Prestiż niekoniecznie przekłada się na dochody.

- Gdzie są teraz twoi rodzice?

- Nadal prowadzą księgarnię i zajmują to samo mieszk-

ko. Pomaga im moja siostra. Margaux kocha książki, to całe jej życie. Natomiast ja zawsze chciałam się stamtąd wyrwać.

- Dlaczego?

- Staliśmy się niewolnikami księgarni. Nigdy nie mogliśmy wyjechać na wakacje, bo ktoś musiał zostać. Nie mogliśmy się przeprowadzić, ponieważ trzeba było być na miejscu. Zawsze też brakowało nam pieniędzy, bo sklep nie przynosił zysków. Jednak ojcu nawet by przez myśl nie przeszło, żeby go sprzedać. Uciekłam stamtąd najszybciej, jak zdołałam i nigdy tego nie żałowałam.

- Myślisz, że Gabe i Nick czują coś podobnego?

- Nie wiem, co czują Gabe i Nick, natomiast ważne jest to, że moi rodzice pozwolili mi pójść własną drogą. Nie rozumiejąc mojego wyboru, potrafili go zaakceptować.

Jacob zapatrzył się w swoje odbicie w zaparowanej szybie..

- Nie próbowałem zatrzymać braci.

- Nie o nich mówię. - Celie podeszła i położyła mu rękę na ramieniu. - Może powinieneś dać sobie prawo wyboru, żyć własnym życiem, jak oni.

- Przecież to robię - powiedział, starając się nie zwracać uwagi na ciepło, promieniujące od jej dłoni.

- Naprawdę? Nawet wtedy, gdy odpychasz ludzi? Odwrócił się i zobaczył, że wpatruje się w niego szeroko otwartymi oczami, w których odbijał się złocisty blask z paleniska. Krok po kroku, pokonała mur, jakim się otoczył, wdarła się w jego samotnię, wypełniła pustkę, z której istnienia nie zdawał sobie sprawy. Zaszli za daleko, żeby się wycofać.

Celie podeszła i zarzuciła mu rękę na szyję.

- Wykorzystaj szansę, Jacob, skoro pozwoliłeś mi zbliżyć się do siebie.

- Nie dałaś mi wyboru - odparł, przeczesując palcami jej włosy.

- Nie ty jeden wiesz, czego chcesz.

- Na szczęście. - Pochylił głowę i zamknął jej usta pocałunkiem.

Jacob poczuł, że ogarnia go namiętność. Tej nocy weźmie to, czego tak gorąco pragnie. Tej nocy oboje sprawdzą, jak mogłoby być między nimi.

Gdy tym razem wsunął rękę pod podkoszulek, nie wzdrygnęła się z zimna, lecz z jękiem przywarła do niego i pozwoliła jego dłoniom błądzić po jej plecach i talii aż do miejsca, w którym zaczynały się dzinsy.

Gdy zdjęła podkoszulek, powiodł dłońmi wzdłuż jej boków i jego kciuki prześlizgnęły się po łagodnych wzgórkach piersi, zakrytych cieniutkim jedwabiem. Serce biło mu tak mocno, że omal nie wyskoczyło z piersi. To, co się działo, przekraczało jego najśmielsze marzenia.

Mimo cienkiej warstwy jedwabiu Celie czuła żar bijący od jego dłoni, kiedy muskał czubki jej piersi. Chciała błagać go o więcej, poczuć go nagiego przy swoim nagim ciele. Niecierpliwym ruchem wyszarpnęła mu podkoszulek z dzinsów.

- Widzę, że to ci się podoba - wyszeptała.

- Ty mi się podobasz - rzucił chrapliwie, ściągając podkoszulek. Miał gładką skórę, połyskującą w blasku płomieni, a tors i ramiona muskularne jak u atlety. Z lekkim zarostem i spletanymi włosami wyglądał niczym pogański bożek.

Roznamiętniona, szarpnęła go za pasek. Palce jej drżały, gdy rozpiniała suwak jego dzinsów. Zanim się zorientował, do czego zmierza, osunęła się na kolana i obdarzyła śmiałą, intymną pieśczęcią. Oszołomiony, jęknął głucho. W którymś

momencie poczuł, że jest u kresu, że musi ją natychmiast powstrzymać.

Chwycił Celie za ramiona i pociągnął do góry. Przyparłszy ją do stołu, jednym ruchem zerwał jej stanik, a kiedy zaczął ściągać z niej dzinsy, uniosła biodra, żeby mu pomóc. Zaczął wodzić rękami po jej brzuchu, po łagodnych krągłościach bioder, po wewnętrznej stronie ud, a gdy dotarł do źródła jej pożądania, z jękiem wygięła się w łuk.

Wtedy poddał się i nachylił nad nią, by wziąć do ust czubek jej piersi. Zaczął go pieścić językiem i zębami, aż wreszcie Celie wpiła się palcami w jego ramiona, otoczyła udami w pasie i wydyszała:

-Już!

Wszedł w nią. Rozkosz była tak potężna, że zastygł na moment, a potem zaczął się poruszać coraz szybciej. Delikatność, wyrafinowanie - na to przyjdzie czas innym razem. Ponaglany przez własną namiętność i niecierpliwe okrzyki Celie, wyniósł ją błyskawicznie na szczyt, by samemu podążyć w jej ślady.

Rozdział 12

Ludzie stanowczo przeceniają rolę snu. Celie doszła do tego wniosku, gdy po upojonej nocy wręcz tryskała energią. Myślała tylko o jednym: za kilka godzin skończy pracę i będzie mogła pojechać do Jacoba. Przypomniła sobie, jak całował ją na pożegnanie, i zrobiło się jej gorąco.

- Cześć! - Marce wtargnęła do jej boksu. - Jak ci się udały walentynki?

- Świetnie, a tobie?

- Też nieźle. Koniec końców, wybrałam się na drinka z Philem i Garym. Ale mieliśmy zabawę... - Urwała i przyjrzała się Celie. - Chyba raczej ty powinnaś zdać mi relację z tej nocy.

- Co masz na myśli? - zapytała Celie z miną niewiniątka, ale zdradził ją rumieniec.

- Nie udawaj. Jak było? - spytała Marce, przysuwając sobie krzesło.

- Umarłam i trafiłam do nieba.

- Było aż tak dobrze?

- Nawet lepiej... - Celie zawiesiła głos. - Za każdym razem było cudownie.

- O rany! Nie wiesz przypadkiem, czy on ma braci?
- Niestety, są zajęci. Marce westchnęła.
- Zawsze jestem spóźniona.
- Jak chcesz, mogę go zapytać o kuzynów.
- Nie rób sobie kłopotu. Jeżeli są dobrzy, to nie będą wolni.

A co potem?

Celie wzruszyła ramionami.

- Nie miałam czasu, żeby się nad tym zastanawiać. Zasnęliśmy, a kiedy się obudziłam, było późno i musiałam zbierać się do pracy. Nawet nie zdążyliśmy porozmawiać.

- W ogóle? To rzeczywiście dziwne. - Marce się zadumała.

- Nawet nie wiesz, co on o tym myśli? Czy spłynęło to po nim jak woda po gęsi? Czy jest w siódmym niebie? Czy to tylko numer na jeden raz?

Celie zmarszczyła brwi.

- On ma na imię Jacob.

- Słusznie. Nie jesteś ani trochę zdenerwowana?

- Nie byłam, dopóki ty nie przyszedłaś - zirytowała się Celie.

Marce spojrzała na nią przepraszająco.

- Przepraszam. Czy już do ciebie zatelefonował?

- Nie, ale on nigdy do mnie nie dzwoni. Nie wiem nawet, czy zna mój numer. Tak czy siak, jestem na ogół na plantacji, a nie tutaj - przypomniała Celie bardziej sobie niż Marce.

- Ja tylko pytam. A może ty powinnaś zadzwonić?

- Wykluczone.

- Spaliście ze sobą po raz pierwszy i nawet o tym nie rozmawialiście? Uwierz mi, życie potrafi być bardzo skomplikowane. Nie możesz wpaść do niego jakby nigdy nic.

- Przecież jestem u niego codziennie. Dlaczego dziś miałoby być inaczej?

- Racja. Punkt dla ciebie.

- Dziękuję. A teraz, skoro udało ci się kompletnie zepsuć mi humor, może byś zostawiła mnie w spokoju?

Telefon zadzwonił tuż po wyjściu Marce. To Jacob, pomyślała z ulgą Celie, podnosząc słuchawkę.

- Celie Favreau.

- Co tam kombinujesz? - usłyszała poirytowany głos. - Kto mówi? - zapytała, choć z miejsca poznała, że to

Rumson.

- Dick Rumson! Co ty sobie wyobrażasz? Czy ty w ogóle wiesz, co robisz?

Chcąc zyskać na czasie, potraktowała jego pytanie bardzo dosłownie.

- W tej chwili kończę papierkową robotę i za kilka minut wyjeżdżam na plantację Willoughbyego.

- Nie ze mną te numery, Favreau. Ja wiem, że coś kombinujesz. Mogę zapytać, po co wozisz ze sobą wtryskiwacz?

Celie mocniej ścisnęła w palcach słuchawkę.

- Jako specjalistka od leczenia roślin, zawsze wożę ze sobą wtryskiwacz - odparła ze spokojem.

- Podejrzewam, że masz jakiś nowy środek i stosujesz go, oczywiście bez zezwolenia, a nie przypuszczam, byś robiła to bezinteresownie.

- Widzę, że znowu rozmawiałeś z Durkinem.

- Rozmawiam z całą masą ludzi.

- Myślisz, że o tym nie wiem?

- Co to ma znaczyć? - rzucił ze złością.

- Nie rozpraszaaj się na drobiazgi - powiedziała, odkładając pióro. - To nie ja jestem wrogiem, tylko chrząszcz.

- Ludzie, którym wycinasz drzewa, mogą mieć inne zdanie na ten temat.

- Zmieniają je, kiedy zaatakuje ich plantacje.
- Wcale tak nie musi być. Podobno robisz, co możesz, żeby temu zapobiec.

Celie traciła cierpliwość.

- Dick, mnie naprawdę nie zależy na tym, żeby przejąć twoją działkę. Niedługo będziesz mógł znowu odgrywać rolę króla puszczy. A teraz przestań judzić i mącić, i pozwól mi robić swoje. Zresztą kończę i więcej mnie tu nie zobaczysz.

- O tak, jesteś skończona - rzucił złowieszczym tonem.

- Co to ma znaczyć?

- Chyba sama wiesz. Miłego dnia - odparł Rumson i się rozłączył.

Jacob zdjął pełne wiadro z drzewa i przelał jego zawartość do kontenera, opryskując sobie rękę lepkiem sokiem. Podniósł ją szybko do ust i oblizał palce. Miały lekko słodkawy smak, jak Celie. Skojarzenie przyszło całkiem nieproszone, więc zirytowany odwiesił wiadro z brzękiem.

Miał powody, aby złościć się na siebie, ale co mu to da? Przecież poprzedniej nocy świadomie wyzbył się wszelkich skrupułów. Dojrzywał do tego tygodniami. Stało się i trzeba będzie ponieść konsekwencje. Zresztą gorzej już być nie może.

Tego roku tyle kłopotów na niego się zważyło, a co on najlepszego zrobił? Wpakował się w coś, co pochłania całą jego uwagę. Po co się oszukiwać? To nie chwilowe zauroczenie, z którego łatwo się otrząsnąć. Celie zawładnęła nim bez reszty. Stała się panią jego serca i myśli.

Tęsknił za nią i pragnął jej, zwłaszcza teraz, gdy wspomnienie ich nocy było jeszcze świeże. To prawda, że nie chciał żadnych dodatkowych komplikacji, ale nie miał już

wyboru. Trzeba było wycofać się zaraz po tym, jak zobaczył Celie po raz pierwszy. Po pierwszym pocałunku było już za późno, a gdy ujrzał ją w blasku ognia minionej nocy - przepadł z kretesem.

Celie z ulgą powitała koniec dnia. Jediną korzyścią wynikającą ze starcia z Rumsonem było to, że przestała myśleć o Jacobie. Jednak teraz zaniepokoiła się na widok ciemnych okien cukrowni. Wprawdzie minęła szósta, ale Jacob powinien tam być, zajęty gotowaniem soku. Tymczasem po raz pierwszy od wielu dni z komina nie unosił się dym. Bez trudu domyśliła się, gdzie można go znaleźć. Zakreśliła i pojechała w stronę jego domu.

Jadąc dębową aleją, dostrzegła światła w oknach. A więc był u siebie i przygotowywał kolację. A może czytał książkę albo spał? Tak czy inaczej, wstąpi do niego i będą mogli porozmawiać. Cóż z tego, że wyszedł wcześniej, nie uprzedzając jej o tym? To jeszcze nic nie znaczy.

Stukając butami o deski werandy, podeszła do drzwi. Zanim zdążyła zapukać, ze środka rozległo się głośnie szczekanie. Za matowymi szybami zamajaczyły jakieś kształty, a potem drzwi otworzyły się i zobaczyła Jacoba z przepychającym się Murphym.

- Cześć Murphy, mój śliczny. - Wyciągnęła rękę. - Co u ciebie, piesku?

Zanurzyła palce w gęstą sierść i zaczęła go drapać w ulubione miejsca, a on wił się, skowycząc z radości. Jacob był ubrany w dżinsową koszulę, wyrzuconą na spodnie. Mokra włosy zaczesał do tyłu, a jego oczy wydawały się jeszcze bardziej błękitne niż zazwyczaj.

Celie poczuła się nagle bardzo niepewnie.

- Dobrze, że chociaż twój pies ucieszył się na mój widok.
- Nie on jeden - odparł z uśmiechem. - Wejdz, proszę.

Otrzeпаła buty ze niegu i weszła do rodka,

- Podjechałam pod cukrownię, ale w rodku było ciemno.

Zdziwiłam się, bo dotąd zawsze pracowałeś o tej porze. Czy coś się stało? - Miała wrażenie, że papie bez sensu.

- Byłam zaniepokojona, więc pomyślałam sobie, że zajrzę do ciebie.

- Mądra dziewczynka. Wiedziałaś, gdzie mnie szukać.

Wyglądał tak apetycznie, że chciałoby się go schrupać, ale wciąż jej nie pocałował ani nawet nie musnął jej reki.

- Czemu cię nie zastałam w cukrowni?

- Sok przestał wyciekać. Skończyłem koło piatej.

- Zauważyłam, że znowu chwycił mróz.

- Tak bywa, kiedy drzewa puszczaą sok wcześniejsz niż zazwyczaj - wyjaśnił Jacob, drapiąc Murphyego za uszami. -

Odwil z reguły nie trwa zbyt dugo.

- Czy mona spodziewać się dalszego ciagu?

- W marcu bed nastepne zbiory, które potrwa duej.

Mam nadzieję. - W jego oczach pojawił się bysk. - A czemu pytasz? Czy spodobała ci się ta robota?

- Zbieranie soku z drzew było ciekawe, ale najbardziej podobało mi się gotowanie soku.

- O tak, mnie te.

- W cukrowni było straszliwie gorco. - Zrobiła krok w przód.

- Nigdy dotąd nie było tak gorco. - Donie Jacoba spoczęły na jej biodrach.

- Kiedyś musi być ten pierwszy raz.

- Owszem, i mam nadzieję, że nie ostatni.

Nawet się nie zorientowała, kiedy Jacob zawładnął jej ustami - i nagle wszystko znów było w porządku.

- Dobrze, że Isaac zrobił taki piękny strop - odezwała się Celie potem, gdy leżeli na podłodze w salonie, wpatrując się w sufit.

- Aha - mruknął leniwie Jacob, gładząc ją po piersi. - Polubiłem ten widok.

- Czyli jest nas dwoje.

- Co ty na to, żeby coś przekąsić? - zapytał.

- Jestem za.

Jacob zaśmiał się cicho.

- Jakieś propozycje?

- Sama nie wiem. A co masz?

- Jajka, mrożoną pizzę, chleb.

- .. wędlinę do kanapek - dokończyła za niego.

- Gdybym wiedział że przyjdiesz, coś bym przygotował. - Podniósł się, naciągając džinsy. Celie także wstała i założyła jego koszulę. Jej biała szyja zaślniła perłowo na tle ciemnego materiału. - Wygląda lepiej na tobie niż na mnie - stwierdził z zachwytem.

- Mogę ją zatrzymać? - Jej miękkie wargi były obrzmiałe od pocałunków, a czoło przecinała zmarszczka.

O co chodzi? - zadał sobie w duchu pytanie.

- Jak ci minął dzień?

- W sumie całkiem dobrze. Skończyliśmy kontrolę u Wiloughbyego i niczego nie znaleźliśmy.

- To chyba pomyślna wiadomość - stwierdził. - Tak.

- Byłaś na plantacji, w laboratorium, pisałaś raporty w biurze... Czy coś pominąłem?

-Nie.

- A co cię gryzie? - zapytał wprost.

- Co mnie gryzie? - Spojrzała mu w oczy. - Nic. Jestem tylko zmęczona. Mało spałam, a dzień był bardzo długi.

- Opowiedz mi, co robiłaś.

- Kiedy nie ma o czym. Pisałam sprawozdanie dla szefa, a potem w laboratorium zrobiłam kilka testów, które potwierdziły obecność szkodnika na plantacji Durkina.

- Paula Durkina?

-Tak.

Tym się przejęła, uznał Jacob.

- Pewnie zareagował niemiło na tę wiadomość?

- Gdyby Rumson... - zaczęła i urwała.

- Gdyby Rumson co?

Jacob cierpliwie czekał na odpowiedź.

- On jest po prostu niemożliwy - stwierdziła w końcu. - Zawrócił Durkinowi w głowie do tego stopnia, że ten wziął adwokata, żeby zablokować wycinkę na jego terenie.

- Co za idiota! - Jacob pociągnął Celie na sofę. - Da się z tym coś zrobić? - zapytał, gdy usiedli.

- Na pewno, ale na to trzeba czasu, którym, niestety, nie dysponujemy. Jeżeli uda mu się zablokować sprawę w sądzie na trzy albo cztery miesiące, będziemy mieli poważny problem. W każdym zarażonym drzewie może być kilka tuzinów dorosłych osobników. Kiedy wydostaną się na zewnątrz... -Celie bezradnie rozłożyła ręce.

Jak jej pomóc? Nad Rumsonem Jacob nie miał żadnej władzy, a z Durkinem też nie potrafiłby się dogadać. Było jednak coś, co mógł zrobić dla Celie.

- Nadal masz ochotę na koncert? - zapytał, sięgając po gitarę.

- Oczywiście - odparła. Wstała i otworzyła drzwi, aby wpuścić Murphy'ego, a gdy usiadła z powrotem na sofie, pies położył jej głowę na kolanach.

- Czego chciałybyś posłuchać?

- A co ty chciałbyś zagrać?

Jacob uśmiechnął się i zaczął grać coś, czego nie znała. Utwór był melodyjny, ale to jego dłonie przykuły jej uwagę. Widziała je już przy pracy, czuła na swoim ciele, wszystko to było jednak niczym w porównaniu z gracją, z jaką dotykały strun gitary. Nie mogła oderwać od nich wzroku. Wydobywały czyste, słodkie tony z prostego instrumentu z taką samą łatwością, z jaką budziły w jej ciele rozkosz.

Jacob zanucił powolną balladę. Patrząc jej w oczy, śpiewał o radości i bólu, o spotkaniu kochanków i o ich rozstaniu. Celie nagle pojęła, że go w pełni nie doceniała. Że ten burkliwy odludek jest lojalnym, hojnym, dobrym człowiekiem. Widząc, że kosmyk opadł mu na czoło, sięgnęła, by go odgarnąć. A gdy Jacob podziękował jej uśmiechem, a potem zaczął śpiewać refren, ogarnęło ją wzruszenie. Na myśl o tym, że będą musieli się pożegnać, zachciało jej się płakać.

Rozdział 13

Celie stała na skraju drogi, przecinającej plantację Paula Durkina, wsłuchana w warkot silników. Za każdym razem perspektywa wycięcia wielu akrów drzew wpędzała ją w podły nastrój. Także i tym razem, chociaż Durkin okazał się nieznośnym przeciwnikiem.

Podszedł do niej z kartką nadleśniczy Joe Doluca.

- Wygląda na to, że wszystko w porządku. Drzewa zostały oznakowane. Potrzebny mi tylko twój podpis i możemy zaczynać.

Zrezygnowana Celie z westchnieniem złożyła podpis. Joe machnął ręką i kierowca spychacza uruchomił silnik. Nagle z tyłu rozległ się głos:

- Stać!

Celie i Joe odwrócili się jak na komendę i zobaczyli zastępcę szeryfa hrabstwa Waszyngton, trzymającego w ręku kopertę.

- Cześć, Roy - powiedział nadleśniczy. - Co tam masz?

- To zależy. - Zastępca szeryfa odwrócił się. - Czy pani Celie Favreau?

-Tak.

- Przywiozłem nakaz sądowy, zarządzający natychmiastowe wstrzymanie wycinki na terenach należących do Paula Durkina. - Wręczył Celie list, a tymczasem Joe Doluca dał kierowcy spychacza znak, żeby się zatrzymał.

Kipiąc z furii, Celie rozdarła kopertę. Durkin, jak widać, dopiął swego. Sprawa trafiła do sądu i dopóki nie zapadnie rozstrzygnięcie, nie będzie można prowadzić dalszej wycinki. Zaś szkodnik, rzecz jasna, nie wie, co to paragrafy. Opuści drzewo, które udzieliło mu gościny, i pofrunie dalej, zakazać inne. W tym czasie prawnicy będą zajęci układaniem pism procesowych. Celie miała ochotę kłać jak szewc. Wiedziała, że ostatnie popołudnie w tym tygodniu nie minie jej na produktywnym zajęciu. Spędzi je przy telefonie, naradzając się z prawnikiem, jak nie dopuścić do procesu.

Jest tyle miłszych rzeczy, które można robić w sobotnie popołudnie, pomyślał Jacob. Tymczasem będzie musiał stać przed eleganckim hotelem i częstować ludzi syropem kłownym. Obiecał jednak, że się stawi, a nie zwykł łamać raz danego słowa. Wszedł do sklepu i zobaczył przy kasie Kelly - rozwiniętego nad wiek podlotka.

- Cześć, Kelly. Nie widziałaś mojej matki?

- Cześć Jacob - zagruchała. - Coś się tak wystroił?

Jacob miał na sobie strój, który dostał na występ w programie telewizyjnym - wełniane spodnie, czarny pulower i sportową marynarkę. Po skończonym nagraniu wrócił do domu i wrzucił te rzeczy do szafy, przekonany, że nigdy więcej ich nie włoży. Wciąż też nie wiedział, co go podkusiło, żeby je wygrzebać. Oczywiście nie spodziewał się, że natknie się na Kelly, która ostatnimi czasy, ku jego zażenowaniu, zbyt ostentacyjnie robiła do niego słodkie oczy.

- Och, niebawem muszę jechać do hotelu „Mount Jefferson” - wyjaśnił.

- Poczekaj, poprawię ci kołnierzyk. - Kelly wyszła zza lady.

- Sam go sobie poprawię - powiedział pospiesznie, żałując, że zgodził się na zgolenie brody. - Mama jest mi pilnie potrzebna - dorzucił. - Musimy jechać.

- Wydaje mi się, że poszła do cukrowni. - Kelly poklepała go po plecach i wróciła do kasy.

- Dziękuję - burknął, po czym pomknął korytarzem, mając nadzieję, że nie wyglądało to na ucieczkę. - Hej, mamó! - zawołał, otwierając drzwi do cukrowni. - Powiedziałem Gabe'owi... - Urwał. - Mamó?

Molly stała przy parowniku. Kiedy się odwróciła, dostrzegł na jej twarzy ślady łez i serce mu się ścisnęło.

- Źle się czujesz?

- Nie, wszystko w porządku - odparła, ocierając łzy. - Tylko czasami, ni stąd, ni zowąd, to mnie dopada.

Nie musiał pytać, co za „to”. Podszedł do matki i mocno ją przytulił.

- Para nowożeńców wstąpiła tu w drodze do Montrealu - powiedziała zdławionym głosem Molly. - Wiesz, że w przyszłym roku obchodzilibyśmy czterdziestą rocznicę ślubu?

- Wiem - odparł Jacob, wzdychając bezradnie. - Dałbym wszystko, żeby tata żył.

Molly przytuliła policzek do piersi syna, a potem zaczerpnęła tchu i się wyprostowała.

- Ja też, jednak czasu nie da się cofnąć, niestety. Nie ma jednej minuty, żebym za nim nie tęskniła.

- Przykro mi, że nie potrafię cię pocieszyć.

- Przeżyliśmy tu cudowne lata. Może gdyby był draniem,

cieszyłabym się, że umarł, ale wtedy nie miałabym pięknych wspomnień.

Jacob pociągnął matkę na ławkę pod ścianą, a kiedy usiedli, objął ją, bo nie wiedział, co jeszcze mógłby zrobić. Umiał naprawić matce ciekące krany, zarobić na ich wspólne życie. Potrafił, ryzykując ukąszenie, zdejmować gniazda os, żeby któraś z nich jej nie użądliła. Niestety, nie potrafił należycie jej pocieszyć. Mógł tylko usiąść obok niej i bezradnie patrzeć na jej ból.

- Nie wiem, co mnie dziś napadło. Nie mogę powstrzymać łez. - Zaczerpnąwszy tchu, Molly spojrzała na syna z wymuszonym uśmiechem. - A gdzie twoja pomocnica?

- Celie?

- Oczywiście, że Celie.

- Miała dziś rano coś do zrobienia. Obiecała, że zajrzy przed naszym wyjazdem. - Celie będzie wiedziała, co robić, pomyślał z ulgą. Ona potrafi wszystko naprawić, bo rozumie ludzi.

- Powiem ci, że to dobra dziewczyna - stwierdziła Molly. - Cieszę się, że jesteś z kimś takim jak ona.

- Nie wiedziałem, że jesteśmy ze sobą. - Jacob się zjeżył.

- Jeżeli wypuścisz ją z rąk, to okażesz się skończonym głupcem. Potrzebujesz jej, Jacobie, i to nie tylko w cukrowni. Nie myśl sobie, że nie zauważyłam, jak ostatnio się zmieniłeś.

Jacob westchnął i odwrócił wzrok.

- Lepiej, żebyś nie wiązała z tym nadziei. To chwilowa sprawa.

- Nie mów tak!

- To prawda. Dla niej, z jej pracą i trybem życia, to tylko tymczasowy przystanek. Za miesiąc czy dwa wyjedzie, żeby

ścigać tego szkodnika. - Gdyby miał dosyć rozumu, wycofałby się już teraz, zamiast się pograżać. Przecież będzie musiał znowu przyzwyczać się do pustych pokoi, a nie do domu rozbrzmiewającego jej śmiechem. - Wiedzieliśmy z góry, że to nie potrwa dłużej.

- To nie tak - odezwała się łagodnie Molly. - Mam przyjaciółkę, która straciła męża miesiąc po ślubie. Mam też taką, która rozwiodła się po osiemnastu latach. A twoi dziadkowie, na przykład, obchodzili złote wesele i jeszcze dane im było przeżyć wspólnie kilka lat. Ten, kto szuka w życiu gwarancji, może się zawieść. - Otrzeпаła kolana. - Trzeba po prostu żyć i nie marnować szans. Jeżeli ci zależy na tej dziewczynie, zrób, co możesz, żeby było tak, jak chcesz.

Jasne, pomyślał, wystarczy machnąć czarodziejską różdżką.

- Nie mogę jeździć za nią po całym kraju, a ona nie zostanie tutaj.

- Gdyby ci naprawdę zależało, coś byś wymyślił - skontrolowała Molly. - Nie chowałam cię na pustelnika.

- Nie jestem pustelnikiem - burknął, unosząc głowę.

- Źle się wyraziłam. Chciałam powiedzieć, że jeżeli ciągle będziesz się ukrywać i nikogo do siebie nie dopuścisz, skończysz jak pustelnik.

- Och, znam parę osób.

- Tak? Wymień mi sześć.

-Ty, Gabe, Nick, Laine... - zamyślił się. - Hadley oraz Sloane.

- Dziewczyny i narzeczone twoich braci się nie liczą. Widziałeś je raptem dwa razy w życiu.

- Deke! - przypomniał sobie. Molly prychnęła.

- Posłuchaj lepiej, co mówisz.

- Muriel.

- Szkoda, że nie listonosz. - Molly z westchnieniem pogłaskała go po policzku. - Och, synu. Nie wiem, w którym momencie zacząłeś zamykać wszystkie drzwi. Na początku myślałam, że to przez Marjorie Butler, która cię zostawiła i wyjechała do college'u. To wtedy zacząłeś zapuszczać brodę i zaszyłeś się na plantacji.

Jacob wytrzeszczył oczy.

- Jezu, mamó, to było szesnaście... nie, siedemnaście lat temu. Znaliśmy się od kołyski.

- Przepraszam.

Jacob skrzyżował ręce na piersi.

- To mnie obraża. Zapomniałaś o Rene, Ellen i Brendzie, i... - Jak ona miała na imię? Ta ładna blondynka, uczulona na psy... - Przecież wiesz, że miałem parę dziewczyn - powiedział.

- Nie były to chyba zbyt poważne znajomości, skoro nawet nie pamiętasz, jak one miały na imię - cierpko rzuciła Molly.

- Lorraine! - powiedział triumfalnym tonem.

- Żadna z nich przecież nie zabawiła tu dłużej niż przez jeden sezon.

- Prowadzę plantację klonów cukrowych, mamó. A większość kobiet pragnie czegoś więcej niż tylko noszenia pełnych wiader i pocenia się nad parownikiem. - Wizja skąpanej w blasku ognia Celie stanęła mu niespodziewanie przed oczyma. Odśunał ją jednak i z wymuszonym uśmiechem mocniej przygarbnał matkę. - Poza tym muszę troszczyć się o ciebie i farmę. Strata tylu drzew odbije się niekorzystnie na następnych zbiorach. Nie będzie nam łatwo, ale poradzimy sobie. Dobrze wiesz, że nigdy cię nie zawiodę.

Molly uśmiechnęła się.

- Wiem - powiedziała i nagle uśmiech znikł z jej twarzy. - Może chodzi o to, że Nick i Gabe są tacy szczęśliwi. A może myśl o twoim ojcu... Niech ci się nie wydaje, że w pojedynkę będzie ci lepiej. Nawet teraz nie zamieniłabym jednej chwili przeżytej z twoim ojcem na żadne skarby świata. - Łza spłynęła jej po policzku. - Źle jest być samemu, synu. Możesz mi wierzyć, bo wiem coś o tym.

Jacob milczał.

Molly otarła oczy.

- Spójrz na mnie. Wyglądam okropnie. Mogę cię o coś poprosić? Przygotowałam trochę klonowych przysmaków na drogę. Skocz do piwnicy i przynieś je. Ja zaczekam na dworze.

Próby nadrobienia zaległości po zmarnowanym piątku zajęły Celie mnóstwo czasu, ale zdołała się ze wszystkim uporać. Tak więc przy odrobinie szczęścia może uda jej się spędzić choć kilka minut z Jacobem. Już miała wejść do sklepu, gdy drzwi otworzyły się i stanęła w nich Molly.

- Celie, jak miło! - powiedziała. - Jacob poszedł do piwnicy po pudełko.

- Jaka pani elegancka. Wygląda pani naprawdę... - Celie urwała, bo dostrzegła zapuchnięte oczy Molly. - Źle się pani czuje? Co za głupie pytanie. Oczywiście, że źle. - Chwyliła ją za rękę.

Molly uśmiechnęła się drżącymi wargami.

- Obawiam się, że znów mam gorszy dzień. Jedziemy z Jacobem do Gabriela, do jego hotelu, na festyn.

- Lepiej, niech pani zostanie w domu - poradziła Celie widząc, w jakim nastroju jest Molly. - Proszę zamknąć sklep, włożyć miękkie papucie i porządnie się wypłakać.

- Nie kuś mnie, dziecko.
- Dobrze to pani robi.
- Zgoda, ale tylko pod warunkiem, że coś mi obiecasz.
- Oczywiście. A o co chodzi?
- Pojedź z Jacobem, zamiast mnie.
- Przecież nie mam pojęcia o produkcji cukru - zaprotestowała Celie. - Tylko się ośmieszę.
- Nie przesadzaj. Jacob i Gabriel nauczą cię wszystkiego, co trzeba. Jeżeli odmówisz, będę musiała pojechać.
- Wykluczone! Dobrze, zastąpię panią. - Zwłaszcza w towarzystwie Jacoba, pomyślała. - Będzie to dla mnie miłą odmiana. Poza tym chętnie obejrzę ten słynny hotel Gabriela.
- Och, to przepiękny hotel. Na pewno ci się spodoba. - Molly sięgnęła do kieszeni i wyjęła drobno zapisaną kartkę.
- Po przyjeździe przekaz to Gabrielowi. To wskazówki, jak przygotować syrop. On już wie o pączkach i reszcie.
- Celie uznała, że będzie musiała sporo się nauczyć.
- Nie miej takiej wystraszonej miny - odezwała się Molly.
- To wszystko jest łatwe, a Jacob ci pomoże.
- Co będę musiała robić?
- Odpowiadać na pytania dotyczące naszej plantacji oraz produkcji syropu i cukru. Być miłą dla gości... i pilnować Jacoba.
- To potrafię - zapewniła ją Celie.
- Naprawdę? - Molly Trask przeszła ją badawczym spojrzeniem.
- Celie poczuła, że się rumieni.
- Chciałam tylko powiedzieć, że dopilnuję, aby nie narobił sobie kłopotów.
- O, tego jestem pewna - stwierdziła Molly, taksując ją wzrokiem.

Celie spojrzała na swoje dzinsy i kurtkę, a potem na elegancki strój Molly.

- Chyba powinnam przebrać się w coś lepszego?

- Gdybyś mogła... O ile to nie kłopot - przepaszającym tonem odparła Molly.

- Żaden kłopot. Mam przecież reprezentować waszą planację. Proszę powiedzieć Jacobowi, że będę za jakieś dwadzieścia minut.

Jacob krążył nerwowo po parkingu. Nie przepadał za festynami, a jednak zawsze spieszyło mu się, aby tam pojechać. Może w myśl zasady, że im prędzej wystartuje, tym szybciej będzie miał to za sobą. Na widok zbliżającego się auta odetchnął z ulgą. Gdy Celie wysiadła z samochodu, oniemiał z wrażenia.

Wyglądała jak spowita w smugę mgły. Miała na sobie jasnopopielaty strój, składający się z długiej spódnicy i sweterka o szalowym kołnierzu oraz skórzane botki na wysokich obcasach. W jej uszach połyskiwały srebrzyste klipsy.

- Jesteś gotowy? Możemy jechać? - zapytała.

Za chwilę, powiedział sobie w duchu, będzie mógł artykułować słowa, a może nawet ruszyć się z miejsca.

- Och, nie stój tak! Nie będzie tak źle. Ja zajmę się klientami. Poradzę sobie.

- Wyglądasz cudownie.

- Co takiego? - Nie wierzyła własnym uszom.

- Wyglądasz cudownie.

- Słyszałam, ale... - Pokręciła głową. - Nigdy dotąd nie powiedziałeś mi komplementu.

- Och, daj spokój. Niemożliwe. Roześmiała się.

- Gdyby tak było, na pewno bym zapamiętała.
- To znaczy, że jestem idiotą.
- Proszę, żebyś tak więcej nie mówił.
- Jesteś cudowna.
- Mówiłeś, że wyglądam cudownie - poprawiła go - ale skłonna jestem zaakceptować ten wariant.
- Możemy się zbierać? - burknął. Podeszła i zarzuciła mu rękę na szyję.

- Jesteś słodki - wyszeptała.

Jacob objął ją, a kiedy poczuł jej ciało pod mięciutkim swetrem, w jednej chwili zapomniał o bożym świecie i zaczął ją całować.

- Chyba powinniśmy jechać - szepnęła.

Wprawdzie Jacob najchętniej udałby się prosto do domu i wyłuskał Celie z tego kokonu, lecz, niestety, musieli ruszać w drogę, więc ją puścił. Wsiedli do furgonetki i Jacob przekreślił kluczyk.

- Gotowa?

- Zawsze gotowa - odparła z figlarnym błyskiem w oku.

Celie wołała widok lasów i pól od miejskiego krajobrazu. Do szczęścia wystarczyłby jej zwykły namiot w lesie. Jednak na widok hotelu „Mount Jefferson” z wrażenia dech jej zapało. Nawet przez myśl jej nie przeszło, że ujrzy pałac z bajki.

Gdy portier w czerwonej liberii otworzył przed nimi drzwi o kryształowych szybkach, westchnęła z zachwytu. A kiedy weszli do imponującego foyer, nie mogła powstrzymać się od okrzyku:

- Jak tu pięknie!

- Jacob! - rozległ się nagle damski głos.

Celie odwróciła się i zobaczyła smukłą kobietę o niemal białych włosach, zmierzającą w ich stronę. A raczej w stronę Jacoba.

- Tak się cieszę, że cię widzę. - Blondynka chwyciła go za rękę.

Celie ze zdumieniem zobaczyła, że twarz Jacoba rozpromienia się w uśmiechu, a potem, ku jej osłupieniu, nachylił się i pocałował blondynkę w policzek.

- Celie - powiedział - chciałbym, abyś poznała Hadley Stone. Hadley, to Celie Favreau, która zajmuje się naszymi klonami. Hadley jest właścicielką tego hotelu, a ponadto szefem mojego brata, i to na wiele sposobów.

Hadley wyciągnęła z uśmiechem rękę.

- Miło mi cię poznać, Celie. Witaj w „Mount Jefferson”.

- Tu jest tak pięknie! Jak w bajce.

- Każdego ranka po obudzeniu muszę się uszczypnąć, żeby uwierzyć, że to prawda.

- Myślałem, że to mój obowiązek - rozległ się z tyłu męski głos.

Celie zerknęła przez ramię i zobaczyła Gabea.

- Cicho! - skarciła go Hadley.

- Przywiozłeś syrop? - Gabe wskazał na pudło u stóp Jacoba.

- Jedna duża beczka „Vermonckiej Nalewki” jest już w drodze.

- Co to takiego? - zainteresowała się Hadley.

- To lekki syrop, uzyskany z pierwszego wycieku w danym roku. Przywiozę ci też syrop klasy A, lecz dopiero po drugich zbiorach, za kilka tygodni.

-Będę bardzo wdzięczna. - Hadley rzuciła okiem na

Gabe'a. - Dwieście litrów powinno wystarczyć, prawda, panie zaopatrzeniowcu?

- Będziemy potrzebowali co najmniej tyle. Mógłbym zamówić więcej. - Mrugnął żartobliwie do brata. - Pod warunkiem, że będzie to syrop najwyższej klasy.

- Wypraszam sobie takie uwagi, o ile chcesz dostać pięć procent zysków.

Gabe uśmiechnął się.

- Gdzie ta beczka?

- A jak myślisz? Na platformie rozładunkowej w twoim magazynie.

- Wobec tego muszę zajrzeć do kuchni. - Gabe wyjął komórkę i wystukał numer. - Kochanie, czy pomożesz im się rozgościć?

- Oczywiście. - Hadley odprowadziła go zachwyconym spojrzeniem, po czym zwróciła się do Celie i Jacoba. - Nasze stoisko znajduje się na górze.

Zaprowadziła ich do przestronnej, oszklonej sali. Goście hotelowi siedzieli w fotelach i czytali gazety albo podziwiali panoramę gór. Na długim, nakrytym seledynowym obrusem stole ustawiono wiaderka na lód i srebrny dzbanek do kawy. Hadley podprowadziła ich do nakrytego na biało stolika.

- Może być? - zapytała.

- Jest idealnie. - Celie z zachwytem popatrzyła na gięte kolumny i rzeźbiony sufit. - Gdybym tu pracowała, byłoby to moje ulubione pomieszczenie.

- Pewnie tak - zgodziła się Hadley - dopóki nie zobaczymy następного.

- Mogę je sobie wyobrazić.

Hadley pomogła jej otworzyć pudło i zajrzała do środka.

- Co tam macie?

- Łakocie od Molly.

- Och, krem klonowy. Uwielbiam go - powiedziała Hadley.
- I cukier, i pieprz klonowy - dorzuciła z uśmiechem. - Wystawmy te rzeczy na stół, żeby wszyscy mogli ich spróbować.

Celie skończyła rozpakowywać pudło, a Hadley w tym czasie rozłożyła talerze, sztućce i serwetki.

- Za chwilę przyniesiemy resztę - zdecydowała. - Czy jeszcze czegoś potrzebujecie?

Celie zamyśliła się.

- Paluszki tostowe - odparła - albo coś innego, co można by smarować kremem klonowym.

- Słusznie. Zaraz coś przyniosę. Podam też cukier klonowy do kawy, żeby goście mogli go skosztować. - Wyjęła pióro i napisała coś na kartoniku bardzo starannie.

- Jesteś nie tylko dyrektorem, ale i kaligrafem?

Hadley uśmiechnęła się, po czym umieściła kartonik w metalowym stojaku, obok cukiernicy.

- Żadnej pracy się nie boję.

- Potrafi nawet napełniać balony helem - wtrącił się Gabe, który właśnie nadszedł. - W kuchni wszystko gotowe. Za kwadrans możemy zaczynać. - Spojrzał na zegarek. - Jacob, chcemy, żebyś powiedział kilka słów na powitanie. Nie przejmuj się, dostaniesz wsparcie - dodał ze śmiechem, widząc przerażoną minę brata.

Jacob zgromił go wzrokiem.

- Kiedy po urodzeniu przywieźli cię ze szpitala, chciałem cię wyrzucić przez okno. Nie zrobiłem tego, bo mam dobre serce. Mogę jednak w każdej chwili naprawić ten błąd.

- Ach, ci starsi bracia! - Gabe mrugnął do Celie. - Nie mają za grosz poczucia humoru. Wobec tego Hadley zabierze głos, a ty zajmiesz się prezentacją.

- Chętnie, pod warunkiem, że dowiem się, o co chodzi - zgodziła się Celie.

Bracia Traskowie odwrócili się do niej jak na komendę.

- Nigdy dotąd nie uczestniczyłaś w zimowym festynie?

- Nigdy.

- Przecież wychowałaś się wśród klonowych lasów - wytknął jej Jacob.

Gabe otoczył ją ramieniem.

- Chodź ze mną. Potrzebny ci szybki kurs dokształcający.

- Sam jej wszystko pokażę - zirytował się Jacob.- A ty już idź, Gabe, bo jesteś pilnie potrzebny w recepcji.

RS

Rozdział 14

Pokój przy kuchni, niegdyś jadalnia, służył obecnie za podręczny magazyn. Nie było tam zbyt elegancko, za to spokojnie i przynajmniej na razie, Celie i Jacob byli sami.

Jacob zajął się rozstawianiem talerzy, półmisek oraz sztuców, aby na koniec zaprezentować talerz z ciastem obok metalowego pojemnika z lodem i małej miseczki z syropem klonowym.

- A gdzie cukier klonowy? - zapytała Celie. - I co powinienam robić?

- Masz tu syrop, ciasto i lód. Trzeba skropić syropem lód, żeby stwardniał.

- A gdzie śnieg?

- Masz tu zeskrobany lód.

- Skoro to zimowy festyn, powinien być śnieg.

- Musisz zadowolić się tym, co jest.

- Dobrze. - Celie posłusznie skłoniła głowę. - I co dalej?

- Potem musisz to zjeść.

- I to już wszystko?

- Tak.

- Myślałam, że będzie ceremonia.

- Jaka znów ceremonia?
- No wiesz... - Zamachała rękami. - Jakiś rytuał, magia, gesty, instrukcje.
- Dałem ci instrukcje.
- Jeżeli to ma się udać, potrzebna jest lepsza organizacja.
Jacob spojrział na nią spode łba.
- Ludzie robili to w ten sposób przez trzysta lat.
- Nadal uważam, że ten, kto to wymyślił, mógł bardziej się postarać.
- Jak spotkam naszych przodków, przekażę im twoje uwagi
- powiedział cierpko Jacob. - Chcesz więcej szczegółów, proszę bardzo. Możesz poleć ciasto syropem albo maczać jego kawałki w podgrzanym syropie.
- Nie wiem nawet, jak to smakuje.
Jacob nabrał odrobinę lodu na widelec, położył na plasterku ciasta i skropił syropem klonowym.
- A teraz otwórz buzię! - Wsunął jej ciasto do ust, muskając palcami jej rozchylone wargi.
Syrop klonowy był chłodny i smaczny, a konsystencję miał jak rozgrzany воск.
- No i jak? - zapytał. - Co o tym myślisz?
- Myślę, że powinniśmy wrócić do oranżerii, zanim się zapomnę.
Kąciki ust drgnęły mu w uśmiechu.
- Tutaj? - zapytał.
- Chcesz się przekonać?
- Wyjdziecie stąd wreszcie czy nie? - Gabe stanął w progu i spojrział na nich z wyrzutem. - Chodź, braciszku, musimy zacząć. Migdalić się możecie później.
Ciele mimowolnie zachichotała.
- Jesteś rzeczywiście mistrzem taktu - orzekł Jacob, mija-

jąc brata. - Kiedy się u mnie zjawisz następnym razem, położę cię z Murphym.

Gdy mrok spowił góry za oknami, w oranżerii pozostało już tylko kilka osób. Obsługa bezszelestnie zbierała ostatnie półmiski, naczynia z roztopionym lodem i resztki ciasta.

Impreza okazała się bardzo udana. Celie śmiała się, żartowała, lała syrop, rozdawała próbki i bawiła się jak nigdy w życiu. Natomiast Jacob rzadko się odzywał i zwracał się do gości tylko wtedy, gdy musiał. Był jednak przy Celie, ilekroć sięgała po słoiczek klonowego kremu lub paczkę słodyczy. Stanowili zgrany zespół jak w cukrowni, przy gotowaniu soku. Gdy ostatni goście udali się na kolację, Celie mogła wreszcie się odprężyć.

- Chyba dobrze nam poszło - zwróciła się do Jacoba, wskazując plik zamówień na produkty z cukru klonowego.

- To tobie dobrze poszło - odparł, cmokając ją delikatnie w policzek.

- Dwa komplementy jednego dnia! Czy to nie przesada?

- Chcesz więcej? - rzucił z błyskiem w oku, ale zanim Celie zdążyła odpowiedzieć, podeszli do nich Gabe i Hadley.

- Hura, skończyliśmy! - zawołała Hadley. - Chyba wszyscy dobrze się bawili.

- Czy to znaczy, że odnieśliśmy sukces? - zapytała Celie.

- Niekwestionowany - zapewnił ją Gabe. - Prawdę mówiąc, chętnie powtórzylibyśmy tę imprezę w marcu, kiedy klony znów puszcza soki. Wydaje mi się, że nasi goście byli zachwyceni. Wiesz, co mam na myśli: powrót do starych tradycji, i tak dalej...

- Bardzo dziękuję, że poświęciliście swój czas - powiedziała Hadley. - Szkoda, że Molly nie mogła przyjechać, ale

tak się cieszę, że cię poznałam, Celie. Gdybyś chciała zmienić zawód, mogłabyś zrobić karierę w promocji. Zresztą oboje wypadliście świetnie - dodała Hadley.

- Przestań kadzić Jacobowi, bo jeszcze zacznie mu się wydawać, że ma wybór - wtrącił się Gabe.

- A nie ma?

- Nie. Inaczej mama spuści mu lanie.

- Trudno mi to sobie wyobrazić.

- Jeszcze jej nie znasz - odparł z powagą Gabe.

- To prawda - potwierdził Jacob. - Nawet w ateście potrafi obudzić strach przed karą bożą.

Hadley uśmiechnęła się ukradkiem.

- Naprawdę boicie się matki?

- Tak - odparli chórem.

Celie spojrzała wymownie na Hadley.

- Dobrze byłoby wiedzieć, jak można to osiągnąć.

- Zapewne ma to coś wspólnego z porodem i karmieniem - orzekła Hadley.

- Zdecydowanie - przyznała Celie. - Popatrz tylko, oni nic sobie z nas nie robią i po prostu odchodzą.

- Aha - przyznała Hadley, odprowadzając braci wzrokiem.

- Tak czy owak, miło na nich popatrzeć.

- Tworzycie z Gabe'em wspaniałą parę.

Twarz Hadley zajaśniała, jakby padło na nią słońce.

- On jest fantastyczny, prawda? Przyznam się, że nie wierzę własnemu szczęściu.

- Powiedziałabym raczej, że to on ma szczęście.

- A może my oboje? On jest taki cudowny. Oczywiście Jacob też jest niczego sobie - dorzuciła, spoglądając na Celie.

- Wprawdzie na pierwszy rzut oka wydaje się dosyć szorstki, ale to wyjątkowy człowiek.

- Rzeczywiście - potwierdziła Celie, przyglądając się zagrożonym w rozmowie braciom.
- Gdyby to było rodzinne spotkanie Trasków, nie zabrakłoby pytań o twoje plany wobec Jacoba - powiedziała Hadley. Celie spojrzała na nią z rozbawieniem.
- Chcesz mnie o nie zapytać?
- To nie wypada, a poza tym nie należę do rodziny.
- To tylko kwestia czasu - stwierdziła Celie.
- Co jest tylko kwestią czasu? - zapytał Gabe, który właśnie nadszedł z Jacobem.
- Zapytaj Hadley - odrzekła z uśmiechem Celie.
- Jak ją znam, nie puści pary z ust. A teraz musimy was przeprosić, ponieważ mamy biznesową kolację. Moja pani dyrektor, bądź grzeczna i pożegnaj się.
- Hadley uściskała Jacoba i pocałowała Celie w policzek.
- Mam nadzieję, że niedługo się zobaczymy.
- A ja liczę na to, że wkrótce będę mogła ci powiedzieć „A nie mówiłam?” - wyszeptała Celie.
- Hadley wybuchnęła śmiechem. Panowie spojrzeli na nią ze zdumieniem.
- O co chodzi? - zapytała Celie z niewinną miną. - Idźcie już sobie na to wasze spotkanie.
- Powiesz mi, o co chodzi? - spytał Jacob, patrząc w ślad za nimi.
- Nie, to babskie sprawy. - Celie rozejrzała się wokół. - Wykonaliśmy swoje zadanie?
- Z nawiązką. Ujrzałem cię w nowej roli.
- Można to zrozumieć na wiele sposobów.
- Mam to wyjaśnić? - zapytał, obdarzając ją długim pocałunkiem.
- Och, wystarczy - szepnęła, rozglądając się nerwowo,

kiedy ją puścił. - Może powinniśmy poszukać bardziej odosobnionego miejsca - dodała, ujmując go pod ramię.

- Może tak. Wyszli z oranżerii.

- Pomyślałam, że takie imprezy to świetna okazja, żeby promować wasze produkty. Oczywiście, gdyby Gabe i Hadley byli zainteresowani. Można by przywieźć kilka rodzajów syropu, krem klonowy i inne rzeczy. Jestem pewna, że rozeszłyby się jak ciepłe bułeczki. Wyszlibyśmy na swoje. To znaczy ty - poprawiła się Celie.

- Tak, oczywiście, ja.

- Może nie ty jako ty, ale ktoś podobny do ciebie - tłumaczyła, gdy szli wolnym krokiem przez foyer.

- Tak.

- Albo nie. Nie ktoś taki jak ty. Może ktoś inny.

- Niewątpliwie.

- Bardziej rozmowny.

- Rozumiem.

- Czy nie tam są drzwi? - zapytała ni stąd, ni zowąd. Jacob spojrział w ślad za jej wskazującym palcem.

-Aha.

- Więc dlaczego nie wychodzimy? Nie wracamy jeszcze do domu?

- Może później. - Jacob minął recepcję i pociągnął ją w głąb szerokiego korytarza. - Nie jesteś głodna?

- Prawdę mówiąc, umieram z głodu.

- Wobec tego dobrze, że tu jesteśmy. - Przystanąwszy w drzwiach przestronnej jadalni, Jacob zwrócił się do kierownika sali: - Stolik na dwie osoby dla Trasków.

- Tak jest, proszę pana. - Kelner wziął dwie karty dań. - Proszę za mną.

Celie chwyciła Jacoba za rękę i zachwyconym wzrokiem omiotła ośmiokątną salę z panoramicznymi oknami.

- Widziałeś kiedyś równie piękne miejsce?

Szef sali zaprowadził ich do stolika pod oknem. Migoczące płomienie świec odbijały się w kryształowych szybach. Za oknami widać było oświetloną oranżerię oraz tyły hotelu.

Celie usiadła, milcząc.

- Dobrze się czujesz? - zapytał Jacob, przyglądając jej się uważnie.

W przyćmionym świetle jej oczy wydawały się ogromne.

- Oczywiście. Ja... Jacob, tu jest przepięknie.

- Podoba ci się tutaj? - zapytał.

- Oczywiście, że tak. Jak możesz w ogóle pytać! Ale... - Urwała, bo do stolika podszedł kelner, aby nalać im wina.

- Z najlepszymi życzeniami od dyrekcji hotelu - powiedział, napełniając kieliszki winem, które zdobyło tytuł „Wina roku 1997”.

- Gabe proponował szampana, ale pomyślałem, że to będzie ci bardziej odpowiadać.

-I słusznie.

Jacob uniósł kieliszek.

- Za spóźnione walentynki!

- Aha, więc o to chodziło - stwierdziła ze śmiechem.

- Częściowo. Walentynki to ważne święto, a ty, zamiast się bawić, pracowałaś ze mną przez całą noc.

- O ile pamiętam, robiliśmy też parę innych rzeczy - dorzuciła z figlarnym uśmiechem, trącając kieliszkiem jego kieliszek.

Jacob upił łyk, a potem spojrzał na nią z powagą.

- Jestem twoim dłużnikiem - oznajmił. - Dopiero dziś zdałem sobie z tego sprawę. Ostatni rok był dla mnie ciężki.

Z dnia na dzień wszystko się zmieniło. Mam tyle pracy i ciągle myślę o plantacji... Dlatego czasami zapominam o ważnych sprawach. Chcę, byś wiedziała, że jestem ci wdzięczny za wszystko, co dla mnie zrobiłaś. Za twoją pracę, za to, że byłaś miła dla mojej rodziny...

-I twojego psa!

- I mojego psa - powtórzył z uśmiechem. - Ostanie półtora miesiąca było łatwiejsze tylko dzięki tobie. Nie jest to jakieś szczególnie piękne podziękowanie, ale nic lepszego nie przyszło mi do głowy.

Celie chciała coś powiedzieć, ale gardło miała ściśnięte ze wzruszenia. Jak doszło do tego, że Jacob stał się jej bliski w tak krótkim czasie? Że czuła się u niego jak w domu, choć przecież nie miała domu i nigdy jej na tym nie zależało? Jednak przebywając w towarzystwie tego mężczyzny, tak głęboko zakorzenionego w swoim świecie, nagle poczuła, że i ona mogłaby zapuścić korzenie.

Wstała i ucałowała go czule w usta.

- Proponuję wypić kolejny toast tym wspaniałym winem - powiedziała, kiedy znowu usiadła. - Twoje zdrowie!

- Nie, twoje zdrowie! - odparł z uśmiechem.

- Wobec tego wypijmy za nas oboje.

Kryształ zadźwięczał, gdy stuknęli się kieliszkami.

- Nasze zdrowie!

- W życiu nie jadłam czegoś tak pysznego - oświadczyła Celie po wyjściu z restauracji. - Chyba pora wracać do domu - dodała, ziewając ukradkiem.

- Mam znacznie lepszy pomysł. - Jacob podszedł do recepcji. - Nazywam się Jacob Trask. O ile wiem, coś tu dla mnie zostawiono.

- Oczywiście, proszę pana. - Ładna recepcjonistka podała mu klucz na ciężkim mosiężnym kółku. - Ma pan apartament prezydencki, na najwyższym piętrze. Będą państwo zadowoleni. Życzę miłego pobytu.

- Zostajemy na noc? - zapytała zdumiona Celie.

- Czemu nie?

Wsiedli do windy przy schodach, wykładanych czerwonym dywanem.

- Ponieważ bawi tu sama śmietanka, zażyczyłem sobie najlepszego apartamentu w całym hotelu - oznajmił Jacob.

Celie roześmiała się, ale śmiech zamarł jej na ustach, gdy Jacob otworzył drzwi apartamentu i wprowadził ją do środka.

Nie zapalił światła, bo nie było potrzeby. Blask księżyca wlewał się do ośmiokątnego salonu przez wszystkie okna, za którymi widać było góry i lasy. Wewnątrz eleganckie sofy i fotele ustawiono przy stolikach. Kręte schody prowadziły na wyższe piętro.

Gdy weszli na górę, powitało ich królewskie łóżko ze śnieżnobiałą pościelą. Nie było wiatru, mimo to półprzezroczyste firanki w oknach drżały, poruszane jakąś magiczną bryzą.

Celie milczała z obawy, że jeśli się odezwie, czar pryśnie. Odwróciła się do Jacoba, który wziął ją w ręce i zaniósł do imponującego łóżka. Spowici księżycową poświatą, zaczęli się kochać.

Rozdział 15

Celie okrążyła kolejne drzewo, szukając w nim złowieszczych otworków. Śnieg skrzypiał jej pod butami. Reszta zespołu pracowała nieopodal w głębokim skupieniu. Słyszając za plecami kroki, Celie odwróciła się i zobaczyła Deana Almedę, właściciela plantacji.

- Znaleźliście coś? - zapytał. Był wyraźnie zdenerwowany.

- Jak na razie wszystko jest czyste. - Celie ucieszyła się, że może przekazać pomyślną wiadomość. - Powinniśmy skończyć za godzinę.

- To dobrze, bo musimy brać się za zakładanie kurków. Nie będzie wam przeszkadzało, jeżeli już zaczniemy?

- Nie, pod warunkiem, że będziecie pracować wyłącznie na sprawdzonym terenie.

Almeda skinął głową i odszedł. Patrząc w ślad za nim, Celie pomyślała, że prawdziwy sezon dopiero się zacznie. Nie mogła uwierzyć, że to już prawie wiosna. Nawet nie zauważyła, kiedy styczeń zamienił się w luty, a luty w marzec. W tym czasie, wraz ze swoją ekipą, zdążyła sprawdzić prawie wszystkie kwadraty, zaznaczone na mapie. Misja zbliżała się

ku końcowi. Tym razem jednak satysfakcję mąciła świadomość, że będzie musiała podjąć pewne decyzje. Nagle rozdzwoniła się jej komórka.

- Celie Favreau.

- Powiedz, że mnie kochasz.

- Czy to znowu Colin Farrell? Mówiłam ci już...

- Nie, tu Pete! Nie poznajesz mojego głosu? - zapytał urażonym tonem.

Uśmiechnęła się, rozbawiona.

- Pewnie dlatego, że od siedmiu lat nie mieszkamy w tym samym akademiku.

- To żadne usprawiedliwienie. Nie jesteś ciekawa, po co dzwonię?

Celie zimny dreszcz przebiegł po plecach.

- Masz na dziś wyjątkowo korzystny horoskop i chciałbyś mi go przeczytać?

- Jest zgoda! - obwieścił triumfalnie Pete. - Wreszcie zapadła decyzja. Twój preparat został skierowany do powszechnej i natychmiastowej sprzedaży. Możesz pędzić do lokalnego sklepu i zamawiać Żukol.

Celie wydała gromki okrzyk i zaczęła tańczyć z radości, nie przejmując się minami współtowarzyszy. Dopiero po chwili dotarło do niej, że upuściła telefon, więc go podniosła.

- Celie? Jesteś tam? - dopytywał się Pete. - Upadła ci komórka?

- Kocham cię, Pete! - wykrzyknęła. - Chcę mieć z tobą dziecko! Jesteś boski!

- Co? Możesz powtórzyć?

- Nie masz pojęcia, jaka jestem szczęśliwa. A jakie są instrukcje?

- Żukol powinien być zastosowany w połączeniu z wycin-

ką, ale tylko do pięćdziesięciu metrów. Coroczne szczepienia przez trzy lata i problem z głowy.

Krag o promieniu pięćdziesięciu, a nie stu pięćdziesięciu metrów! Wycinka niecałych dwóch akrów, a nie piętnastu!

- Ciągłe nie mogę w to uwierzyć! Kiedy następnym razem przyjadę do Maryland, postawię ci drinka, Pete.

- Tylko jednego?

- Ile będziesz chciał. I największy befsztyk, jaki będziesz w stanie skonsumować. Musimy to uczcić.

- Poczekaj, co mówiłaś na samym początku? Możesz to powtórzyć? Halo, Celie?

Jacob stał na drabinie i oglądał zbiornik. Wiosenny wyciek soku zacznie się lada dzień. Czuł to wewnętrzne napięcie, niczym biegacz na starcie, czekający na wystrzał. Nie miał złudzeń, że czeka go długotrwały, morderczy wysiłek. Nie przejmował się tym jednak, bo wierzył głęboko, że poradzi sobie i dotrze szczęśliwie do mety.

Nagle drzwi się otworzyły.

- Jest atest!

- Co?! - Odwrócił się zbyt gwałtownie i uderzył głową o okap. - Ach, to ty, Celie - powiedział, krzywiąc się z bólu.

Podbiegła do niego.

- Nic ci się nie stało?

- To tylko małe zadrapanie. Nic mi nie będzie. - Zeskoczył z drabiny i pocałował Celie. - A teraz mów, co słyhać.

- Zarejestrowali Żukol. - Zrzuciła mu ręce na szyję i cmoknęła go w policzek.

W rewanżu wycałował ją siarczyście i dopiero potem dotarł do niego sens jej słów.

- Zarejestrowali? Jak to? - Odsunął się, marszcząc brwi.

- Dali atest z zaleceniem powszechnego stosowania.
- Zaraz, chwileczkę. Myślałem, że ten środek został wcześniej zatwierdzony. O ile pamiętam, tak mi powiedziałaś kilka tygodni temu.
- Była zgoda, lecz papiery ugrzęzły w urzędach. Oficjalnie wszystko jest w porządku.
- A wtedy nie było?
- Było, prawie. - Celie wzruszyła ramionami. - A teraz to „prawie” zniknęło.
- A przedtem?
- Przedtem? To znaczy kiedy?
- Kiedy szczepiłaś moje drzewa.
- Już ci mówiłam. Papiery krążyły po urzędach, bo każdy musiał przystawić pieczętkę.
- Mogli się nie zgodzić?
- Nie, co najwyżej dokumenty mogły zostać zwrócone do poprawki, bo komuś nie spodobał się przecinek. To były czysto techniczne kwestie, niemające znaczenia. Żukol trafił na rynek. Muriel może go już dzisiaj zamawiać. Wszystko jest w porządku. A nawet lepiej, po prostu fantastycznie! - Obdarzyła go jednym z tych swoich promiennych uśmiechów i Żukol oraz cała reszta przestały się liczyć. A co mówi meteorolog? - zapytała.
- Temperatura ma wzrosnąć w ciągu najbliższych trzech, czterech dni. O ile można wierzyć prognozom na wyrost.
- A ty wierzysz?
- To nie ma znaczenia - odparł, wzruszając ramionami. - Jestem gotowy.
- Mam przyjść wieczorem i pomóc ci przy sprzątanii? Jacobowi stanęła przed oczyma potężna wanna Isaaca.
- Tak, byłoby bardzo dobrze, gdybyś pomogła mi coś wy-

szorować - powiedział, muskając wargami usta Celie. - A po kąpieli zjemy kolację.

- To mi się podoba. Poza tym będzie doskonała okazja, żeby coś oblać.

- Żukol?

- Aha. A także wyniki naszej kontroli. Sprawdziliśmy prawie dziewięćdziesiąt procent plantacji w hrabstwie Waszyngton i znaleźliśmy chrząszcza tylko w dwóch miejscach.

Prawie dziewięćdziesiąt procent, pomyślał z lękiem. To znaczy, że zostało jej tylko dziesięć.

- To dobra wiadomość. - Miał nadzieję, że jego głos zabrzmiał normalnie. - Więc prawie skończyłaś?

- Jest jeszcze mnóstwo do zrobienia. Pozostało nam jeszcze kilka plantacji, w tym niektóre położone częściowo na terenach sąsiednich hrabstw. Muszę też dopilnować, by sąd oddalił skargę Durkina.

- A na czym stanęło?

- Nasz departament prawny przygotował dokumenty. Jeżeli nam się poszczęści, sąd w ciągu tygodnia wyda zgodę na podjęcie szczepień. A ponieważ teraz nie trzeba będzie wycinać aż tylu drzew, prawdopodobnie Durkin nie będzie protestował.

Jacob pokiwał głową w milczeniu.

- Czyli przede mną jeszcze tygodnie harówki - dorzuciła z uśmiechem.

Jednak ani słowa, ani uśmiech nie mogły odmienić rzeczywistości. Zbliżał się czas jej odjazdu. Myśl ta towarzyszyła Jacobowi, gdy całował Celie na pożegnanie. A także później, kiedy patrzył, jak odjeżdża. I wtedy, gdy zaczął rąbać drwa jna opał, bo musiał czymś się zająć, żeby nie zwariować.

Był absolutnie zadowolony z życia, zanim pojawiła się

w nim Celie. Nigdy nie uskarżał się na samotność. Do szczęścia wystarczała mu praca na plantacji, Murphy, gitara oraz przelotne romanse. Teraz jednak wszystko się zmieniło. Po raz pierwszy ktoś był mu naprawdę potrzebny.

Wbrew logice poczuł, że jest zły na Celie. Wszystko tak dobrze się układało, dopóki nie spotkał jej przy swoich drzewach. Wtargnęła w jego świat, kradnąc mu serce. A teraz miała zniknąć z jego życia.

Co gorsza, sytuacja była bez wyjścia. On był przecież uwiązany do Eastmont, a jej praca wymaga ciągłej zmiany miejsca. Nawet gdyby próbował skusić Celie, żeby została, to czym? Celie nie rzuci przecież pracy, której była tak oddana, po to, żeby gotować z nim syrop.

Jakie to śmieszne i żalosne zarazem. Ona odejdzie, a on będzie musiał z tym się pogodzić. Teraz pytanie nie brzmi: czy, ale kiedy?

- Wiesz, czego nie mogę zrozumieć? - zapytała Celie Jacoba, gdy zegar wskazywał dragą nad ranem. - Dlaczego nie masz tu rozkładanego łóżka? Można by się położyć na kilka minut.

Jacob spojrział na nią spod oka.

- Dlatego, że gdyby ktoś położył się na kilka minut i zasnął, syrop by się przypalił, co oznaczałoby ponad tysiąc litrów zmarnowanego soku i pięć albo sześć godzin sprzątnięcia. A gdzie w tym czasie trzymać świeży sok?

- To jednak nie jest dobry pomysł.

- Możesz mi wierzyć, że nie. Natomiast potem, to już co innego. Mamy jeszcze jakieś pół godziny roboty, a u mnie w domu jest bardzo wygodne zapasowe łóżko. Chętnie ci je pokażę.

- Nie mogę się doczekać.

- Mogłabyś przypilnować przez chwilę parownika? - zapytał, kierując się w stronę drzwi. - Zaraz wracam.

- Nie ma sprawy.

- Właśnie dołożyłem do ognia, więc nie powinno być problemów. - Podeszedł do niej, żeby ją ucałować. - Tylko mi nie ucieknij.

- Nawet mi to przez myśl nie przeszło. Przyniósłbyś mi kawę?

- Jasne.

Gdy zamknęły się za nim drzwi, Celie pomyślała, że ostatnio wszystko układa się nadzwyczaj pomyślnie. Preparat dostał atest. Rano przyszła wiadomość, że sąd oddalił skargę i nakazał podjęcie szczepień. Drzewa Durkina zostaną usunięte w samą porę, a dzięki Żukolowi trzeba będzie ściąć tylko niewielką część. Tak więc bez większych zniszczeń szkodnik zostanie wytopiony.

Nie było żadnych powodów, dla których mieliby z Jacobem się rozstać wtedy, gdy jej misja dobiegnie końca. Istnieją przecież samoloty i samochody. I nawet ktoś tak przywiązany do ziemi, jak Jacob w końcu zrozumie, że warto czasami poświęcić trochę czasu na podróż, żeby pobyć razem. Co i prawda ona ma naturę wędrownika, ale to przecież może się zmienić.

Jacob nie lubił zmian, ale na pewno uda im się wspólnie coś wymyślić. Nie ma więc sensu zamartwiać się drobiazgami. Problem polegał na czym innym. Wiedziała, że Jacobowi na niej zależy, ale ona nie wyznała, co do niego czuje. Jak powinna teraz postąpić? Powiedzieć mu wprost, że go kocha? Wybadać najpierw grunt? Czekać? Ale na co? Chciała przecież, aby wiedział, i za każdym razem kiedy na nią patrzył lub jej dotykał, miała te słowa na końcu języka.

Głośny syk przykuł nagle jej uwagę. Bąbelki soku w parowniku zrobiły się większe niż zazwyczaj. Mijały minuty, a Jacoba wciąż nie było. Czy syrop rzeczywiście może się przypalić? Miał coraz ciemniejszy kolor, a bąble były wielkości piłeczki golfowej.

- Jacob! - zawołała, podchodząc do drzwi, ale odpowiedziało jej milczenie. Gdzie on mógł się podziać?

Wróciła do parownika i wyłamując nerwowo palce, patrzyła na wciąż rosnące bąble. Wreszcie sięgnęła po nóż i talerzyk z masłem. Zrobi to, co Jacob w takiej sytuacji, mimo iż kazał jej trzymać się z daleka soku. Nie miała jednak innego wyjścia.

- Jacob! - zawołała ponownie, ale znów nie było odpowiedzi. - Cóż, trudno - mruknęła.

Widziała setki razy, jak to robił. Ostrożnie przesunęła czubkiem noża po masle i nachyliła się nad parownikiem. Nie przypuszczała, że może być aż taki rozgrzany. Zupełnie jakby trzymała rękę nad rozpalonym grillem. Mimo to dotknęła nożem szczególnie dużego bąbla, potem jeszcze jed nego i...

- Cholera! - Wrząca ciecz opryskała jej dłoń. Instynktownie cofnęła rękę, upuszczając nóż, który wpadł z pluskiem do syropu. - Cholera! - wykrzyknęła. - Przez cienką warstwę syropu widziała wyraźnie nóż na dnie rynienki. Czy to tylko jej wyobraźnia, czy rzeczywiście syrop wokół niego ciemniał na jej oczach? Zamrugła i znów wyteńczyła wzrok. Była pewna, że objawy te nie wróżą niczego dobrego.

Jacob wyszedł z piwnicy, niosąc nową paczkę kawy. To nonsens pić kawę o tej godzinie, ale ledwie trzymał się na nogach. Nagle usłyszał wołanie Celie. Puścił się biegiem, pchnął drzwi i zobaczył ją przy parowniku.

- Jacob! Dzięki Bogu.
- Coś ci się stało?
- Nie, mnie nie. Chodzi o syrop.

Zajrzał do parownika, zobaczył nóż, a wokół niego ciemniejący krąg.

- Skąd on się tam wziął, do cholery?
- Upuściłam go niechcący - powiedziała z rozpaczą. -

Przepraszam. Próbowałam przeciąć bąble.

- Ostrzegałem cię, że masz trzymać się z daleka - przypomniał, sięgając po metalowe szczypce.

- Wiem. Przepraszam. Chciałam jak najlepiej. Spróbowałam wyjąć nóż, ale było już za późno. Zdesperowany, pokręcił głową.

- Niech to diabli!
- Co?

- Nóż przywarł do dna. Syrop się przypalił. Wszystko się zmarnowało. - Dwieście pięćdziesiąt litrów, może nawet więcej! Ile czasu straci na czyszczenie parownika? Jakież sześć, może nawet osiem godzin. Przepuścił jeszcze trochę soku, żeby przepłukać urządzenie, po czym zamknął dopływ.

- Co teraz trzeba zrobić? - zapytała Celie.
- Wylać syrop - odparł, otwierając drzwiczki paleniska.
- Cały?

- Oczywiście, że cały. Nóż przywarł do dna. Syrop ma przypalony smak. Muszę wszystko wylać i wyczyścić parownik. - Co z niego za idiota, żeby się wybrać do piwnicy, zostawiając Celie na straży! Czasami lepiej jest pracować w pojedynkę. Człowiek się pilnuje i nie popełnia głupstw.

- Tak mi przykro - powiedziała drżącym głosem Celie. -Ja naprawdę nie chciałam.

Jacob chwycił wiadro i podstawił je pod kran parownika.

- Wiem, że nie chciałaś. Przecinanie bąbli jest trudniejsze, niż się wydaje. Dlatego prosiłem cię, żebyś tego nie robiła. - Patrząc na wyciekający sok, próbował zapanować nad przygnębieniem. - Nie mówmy o tym. Posłuchaj, muszę to wyczyścić, więc idź do domu.

- To ciężka praca - zaprotestowała. - Pozwól przynajmniej sobie pomóc.

- Sam zrobię to szybciej.

- Nie potrzebujesz pomocy przy skrobaniu?

- Sam mogę to zrobić. Idź już, proszę. - Wyprostował się i zaczerpnął tchu. - Posłuchaj, to była moja wina. To ja poszedłem do piwnicy po kawę, choć nie powinienem był zostawiać cię na tak długo. Jestem zbyt zmęczony, żeby myśleć logicznie.

- A twierdzisz, że nie potrzebujesz pomocy.

- Już mi wystarczająco pomogłaś. To widać. Zbladła, jakby uderzył ją w twarz.

- Wybacz - powiedział szybko. - To nie było fair. Jestem wściekły i wyzywam się na tobie. Oboje jesteśmy wykończeni, a to jest robota dla jednej osoby. Idź do domu i prześpij się trochę. Później porozmawiamy.

- Naprawdę? - zapytała drżącym głosem.

- Tak. Mam masę roboty i zrobię to szybciej, jeżeli nikt nie będzie mnie rozpraszał. - Podeszedł do Celie i pocałował ją w czoło. - Do jutra - powiedział cieplejszym tonem.

Rozdział 16

Celie wpatrywała się w ekran komputera. Konieczność podsumowania efektów miesięcznej pracy na pięciu stronach stanowiła nie lada wyzwanie. Zamiast siedzieć w biurze, powinna wizytować plantacje. Z dnia na dzień robiło się przecież coraz cieplej. Tylko krok dzielił ich od celu, ale chrząszcz wyroi się już wkrótce, i lepiej nie zastanawiać się, co będzie, jeśli nie zdążą usunąć wszystkich zakażonych drzew.

Dotknęła z westchnieniem klawiatury. Po co się oszukiwać? Zły humor miał niewiele wspólnego z raportami. Brał się raczej stąd, że ostatnio coś popsuło się między nią a Jacobem. Odniosła wrażenie, jakby nagle wyrósł między nimi niewidoczny mur.

Nagle usłyszała, że ktoś wchodzi do jej boksu. Odwróciła się, przekonana że to Marce albo Bob Ford, i otworzyła usta ze zdumienia.

- Gavin? Co tu robisz? - wyjąkała, wpatrując się w swojego szefa. Przecież Gavin powinien być w Maryland. Może był służbowo w okolicy i postanowił zajrzeć do instytutu? Możliwe też, że przyjechał tutaj specjalnie, żeby z nią porozmawiać. Jeśli tak, nie wróży to nic dobrego.

- Dzień dobry, Celie. Widzę, że ciężko pracujesz.
- Przygotowuję lutowy raport - odpowiedziała niepewnie.
- Ten, który miał być gotowy na pierwszego marca? Rumieniec wystąpił jej na policzki.

- Cały zeszły tydzień miałam na głowie inspekcje i sprawy sądowe. Dzisiaj po raz pierwszy mogłam spokojnie usiąść nad raportem.

- Jako szefowa tego projektu, masz obowiązek informować mnie na bieżąco o wszystkim - rzekł z naciskiem.

- Staram się, jak mogę.

- Naprawdę? Zechciej mi wobec tego wyjaśnić, dlaczego zdecydowałaś się zaszczepić drzewa z kręgu przeznaczonego do wycięcia? Przecież sama pomagałaś przygotować plan wycinki. Tak wynika z protokołów. Co więcej, robiłaś to preparatem, który jeszcze nie miał atestu.

Celie odebrało na moment mowę. Co powinna powiedzieć? Zrobiłam to, bo raporty komisji były przesadnie ostrożne. Bo mam dosyć wycinania zdrowych drzew, skoro wiem, że jest na to lekarstwo, ale biurokraci je blokują. Bo nie mogłam znieść bólu w oczach ukochanego mężczyzny, którego życie waliło się w gruzy.

Westchnęła z rezygnacją.

- Wtedy wydawało mi się to jedynym rozwiązaniem.

- Agencja Ochrony Środowiska domaga się wyciągnięcia dyscyplinarnych konsekwencji.

- Gavin, daj spokój. Przecież Żukol dostał atest w zeszłym tygodniu. Co chcesz zrobić? Zdegradować mnie za to, że wyprzedziłam datę rejestracji o kilka tygodni?

Gavin wyprostował się urażony.

- To bardzo poważne wykroczenie. Liczba dni nie ma tu znaczenia. Szczepiąc drzewa, złamałaś prawo federalne. Je-

steś szefową tego programu i na tobie spoczywa szczególna odpowiedzialność. A ty zawiodłaś nasze zaufanie.

- Odpowiadam za wytepienie szkodnika, i to w sposób jak najbardziej efektywny. Preparat został dopuszczony do sprzedaży.

- To nie ma nic do rzeczy.

- Przepraszam, ale jak mam to rozumieć? Żukol został wstępnie zaaprobowany już na początku stycznia. A ja wyprzedziłam tylko cykl papierkowy.

- Preparat nazywa się SMB-17 i kiedy go stosowałaś miesiąc temu, nie był dopuszczony do użytku.

- To tylko czcza formalność - zaprotestowała.

- Nie możesz ustanawiać własnych praw, Celie. Są pewne reguły. Dopóki jakiś pestycyd nie zostanie zarejestrowany, nie ma zgody na jego stosowanie.

- Próbowałam uratować drzewa.

- To nieważne.

- Jak to nieważne?! - uniosła się. - To co my tu robimy? Co jest ważniejsze: ochrona przepisów czy lasów? Spędziłeś tyle czasu za biurkiem, Gavin, że straciłeś z oczu cel.

- Nie, to ciebie zaślepiło - odrzekł ze złością. - Znam swoje obowiązki i zamierzam odebrać ci szefostwo tego programu.

Cios był tak silny, że na moment pozbawił ją tchu.

- Degradujesz mnie? - Ledwie słyszała swój głos.

- O cztery stopnie, i ciesz się, że nie o więcej. Na razie pozostaniesz do dyspozycji biura w Riverdale, dopóki nie znajdziemy ci czegoś odpowiedniego.

Maryland, pomyślała w panice. Z dala od projektu. Od Eastmont. Daleko od Jacoba!

- Przecież kończymy całą operację - powiedziała z przerażeniem. - Kto mnie zastąpi?

- Dick Rumson.
- Rumson?!
- Będą mu pomagać przeszkoleni przez ciebie inspektorzy.
- Ale on nie ma pojęcia o tej robocie! - wybuchnęła.
- Ty miałaś. Jakie są tego skutki? Nagle wszystko stało się jasne.
- Skąd wiecie o szczepieniach? - zapytała.
- Od anonimowego informatora - odparł sucho Gavin.
- Czy tym anonimowym informatorem nie był przypadkiem Dick Rumson? Przecież to on najbardziej skorzysta z mojej degradacji.
- Nie widzę...
- Tutaj potrzebny jest ktoś, kto ma stosowne kwalifikacje. Chcecie mnie ukarać, to mnie posadźcie za biurkiem. Skoro waszym zdaniem zawiniłam, muszę ponieść konsekwencje. Ale dlaczego miałoby za to płacić hrabstwo, stan i cały region? Mianujcie szefem Boba Forda, a przynajmniej zapytajcie go, co sądzi o Rumsonie.
Gavin zacisnął usta.
- To nie twoja sprawa, Celie.
Rzeczywiście, pomyślała ogłuszona. Przez dziesięć lat koncentrowała się na jednej sprawie, a teraz nagle wszystko się skończyło.
- I co dalej? - zapytała.
- Zostajesz odesłana na dwutygodniowy urlop bezpłatny, po którym zameldujesz się w Riverdale. - Gavin wstał. - To jeszcze nie koniec, Celie. Ludzie przeżywali gorsze upadki w swojej karierze i wyciągnęli z nich naukę. Jestem pewny, że sobie poradzisz. - Podał jej rękę. - Powodzenia. - Wyszedł, pozostawiając ją zdruzgotaną.

Dym unoszący się z komina cukrowni, słodki, drzewny zapach wokół... Sceneria tak dobrze znajoma, ale po raz pierwszy Celie patrzyła na to z rozpaczą. Od początku wiedziała, że będzie musiała wyjechać, jednak nie przypuszczała, że stanie się to tak nagle. Myślała, że będzie miała dosyć czasu, żeby porozmawiać z Jacobem i poczynić jakieś ustalenia na przyszłość, że zdąży wyznać mu miłość.

Tymczasem nagle wszystko się zmieniło. Ich dzisiejsza rozmowa to ostatnia szansa, aby go przekonać. Zebrała się w sobie i weszła do środka. Jacob pochylał się nad parownikiem, zwrócony tyłem do drzwi. Patrzyła na niego przez chwilę, a potem podeszła i jakby nigdy nic, rzuciła:

- Widzę, że działa.

Odwrócił się. Był blady jak ściana.

- Wyglądasz, jakbyś miał zaraz zemdleć. Nie kładłeś się ani na chwilę?

Jacob wzruszył ramionami.

- Muszę ponownie uruchomić parownik. W przeciwnym razie będę musiał wylewać sok, bo nie ma go gdzie magazynować.

Po jej wyjściu przez całą noc czyścił i skrobał przypalone urządzenie - a wszystko to przez jej nieostrożność.

- Tak mi przykro - powiedziała.

- Co się stało, to się nie odstanie. Najważniejsze, że już wszystko w porządku. - Odstawił talerzyk z masłem i poszedł dołożyć do ognia.

Wszystko w porządku? Może i tak, ale nie między nimi. Nigdy nie czuła się tak onieśmielona, nawet na początku, wtedy, gdy się poznali. Nadszedł czas na decydującą rozmowę, a ona nie wiedziała, od czego zacząć.

- Jak zbiory soku? - zapytała.

-W porządku.

- A co z parownikiem? Jak działał tej nocy?

- W porządku - mruknął, nie patrząc na nią.

Celie zacisnęła pięści. Teraz albo nigdy, pomyślała. Zaczepnęła tchu.

- Dostałam dziś w pracy wiadomość - zaczęła. Jacob nie odpowiadał, tylko dźgał pogrzebaczem w palenisku. - Jestem... muszę... przenoszą mnie! - wybuchnęła.

Pogrzebacz znieruchomiał. Zapadła cisza. Jacob wyprostował się i odwrócił, aby wziąć kilka polan.

- Tak nagle? - zapytał, po czym zaczął wpychać je do paleniska.

Celie czekała, co jeszcze powie, ale na próżno.

- Zostałam przeniesiona do Maryland. - Niestety, nie mogła mu powiedzieć, że z powodu szczepień, bo nie chciała obarczać go dodatkowym ciężarem. Przecież zrobiła to na własne ryzyko. - Tutaj prawie skończyliśmy, więc postanowili oddelegować mnie do innych zadań.

Dopiero wtedy Jacob na nią popatrzył.

- Wyjeżdżasz?

- Tak - odparła przez ściśnięte gardło - ale to nie znaczy, że musimy się rozstać.

Wyjeżdża! Wiedział, że do tego dojdzie, a mimo to był jak ogłuszony. To początek końca!

- Trudno utrzymywać bliższą znajomość na odległość. Przecież to kilkaset kilometrów - zauważył.

- Wcale nie tak trudno. Są przecież telefony, e-maile. To tylko kilka godzin samolotem. Możemy nadal się kontaktować i widywać... - Urwała, po czym dodała: - O ile chcesz.

- To nie jest aż takie proste, jak ci się wydaje, Celie -

powiedział znużonym tonem, zamykając drzwiczki paleniska. - Już to przerabiałem i wiem, że co z oczu, to z serca. Pobladła; oczy jej pociemniały.

- Znam małżeństwa, które przez jakiś czas musiały mieszkać na różnych kontynentach, a mimo to przetrwały rozłąkę.

- Uczucia gasną z czasem, nie rozumiesz tego?

- Naprawdę uważasz, że jestem niestała w uczuciach? -

Myślę, że jesteś wspaniała - odparł, spoglądając jej

w oczy. - Jednak los kieruje cię gdzie indziej, więc ten rozdział życia możesz uznać za zamknięty i rozpocząć nowy.

- Może uda mi się załatwić coś bliżej i na dłuższy okres.

Czuł, że ją traci, że nie będzie w stanie znieść powolnego

obumierania ich związku. Dlaczego ona tego nie rozumie?

- Celie - powiedział łagodnym tonem - nigdy nie wyjadę z Eastmont. Za dużo mnie tu trzyma. Nie mogę jeździć za tobą po całym kraju. Nie mogę i nie chcę. - Zaczerpnął tchu. - Mówiłaś, że już od dziecka pragnęłaś ruchu i ciągłych zmian. Eastmont nie mieści się w tych kategoriach. Ja też nie. Tutaj nigdy nie będziesz szczęśliwa.

- Naprawdę tak uważasz?

- Ja to wiem. Myślisz, że mogłabyś spędzić tu całe życie?

- Jakie to ma znaczenie, co ja myślę? - zapytała łamiącym się głosem. - I tak mi nie uwierzysz.

- Nikt nie chce zostać na dłużej w tym miasteczku. Ani ci, co się tu wychowali, ani ci, co przyjeżdżają tu do pracy, na przykład do instytutu.

- Bob Ford został.

- Bob Ford dojrzał do tego, żeby się ustatkować. Zapytaj go o rotację personelu. To tacy ludzie jak ty, Celie. Rok,

a może nawet mniej, i już ich tu nie ma. Zawsze tak było i tak będzie.

- No cóż, przykro mi, że muszę wyjechać. Przykro mi też, że nie będę mogła zostać do końca zbiorów, aby ci pomóc. Zostało mi tylko kilka dni, to wszystko.

- Nie ma problemu. Jedź. - Szybka amputacja mniej boli, pomyślał.

- Właśnie, że jest problem. Potrzebna ci pomoc.

- Nie potrzebuję niczyjej pomocy. - Jacob chwycił wiadro i poszedł przecedzić sok, potykając się pod drodze.

- Popatrz na siebie - nie ustępowała, idąc tuż za nim. - Padasz na nos ze zmęczenia.

- Jestem przyzwyczajony - odparł. - To nic nowego. Nie jesteś mi potrzebna - dorzucił, próbując w to uwierzyć.

- Nie mogłeś wyrazić się jaśniej - powiedziała głucho Ceglie. - Dzięki za szczerość.

- Wiesz, co miałem na myśli.

- Tak. Ty lubisz mieszkać tam, gdzie nic się nie zmienia, bo sam nie chcesz się zmienić. Chcesz być samotny, dlatego od pierwszego dnia próbowałeś mnie odtrącić.

Rzecz w tym, że powinien był zrobić to w porę. Gdyby miał dosyć charakteru, nie stałby teraz naprzeciw niej z uczuciem, że serce mu pęka.

- Można było tego się spodziewać. - Było, minęło, i teraz każde z nich pójdzie własną drogą, dodał w duchu.

- Gdybym cię znała, mogłabym pomyśleć, że ci ulżyło.

- Że mi ulżyło? Nieszczerze.

- Ależ tak. Teraz nikt już nie będzie cię prześladował.

Wrócisz do pustelniczego stylu życia i będziesz podtrzymywał swój wizerunek. Żadnego towarzystwa, żadnej partnerki.

Czy czasami będąc sam, nie czujesz się samotny? Czy choć raz zapragnąłeś towarzystwa drugiego człowieka?

- Co mam zrobić? - zapytał. - Błagać cię, żebyś została? Żebyś zrezygnowała z projektu, który był całym twoim życiem? A co będzie, jeżeli któregoś ranka obudzisz się i pomyślisz, że to, co mógłbym ci dać, to nie wszystko? - Wrócił do paleniska, a Celie deptała mu po piętach. - Odsuń się, dobrze? Bo się sparzysz.

- Już się sparzyłam.

Trzeba z tym jak najszybciej skończyć, uznał.

- Posłuchaj, Celie - zaczął łagodnie - przestańmy zadrećcać się nawzajem. To już koniec. Wiedzieliśmy z góry, że to nie może trwać wiecznie.

- Nikt nie może być kompletnie sam, nawet ty. Możesz mnie odtrącić i odpychać każdego, kto spróbuje do ciebie się zbliżyć, ale kiedyś zrozumiesz, że bez ludzi nie poradzisz sobie na tym świecie.

- Jak dotąd doskonale sobie radziłem - odparował.

- Ty i to twoje bezcenne dziedzictwo. Ale co dalej? Skończy się na tobie, bo nie będziesz miał go komu przekazać. I co wtedy stanie się z plantacją Trasków?

Te słowa zawisły w powietrzu.

- Celie... - zaczął.

- Nie - podniosła rękę - rozmowa skończona. Wyjeżdżam. Żegnaj, Jacobie.

Wyszła, zamykając za sobą drzwi.

Rozdział 17

Każdy powrót do Montrealu był ekscytującą przygodą dla Celie. Szukała nowych lokali, sklepów, klubów. Tym razem jednak widok logo McDonalda na miejscu jej ukochanego bi-stra sprawił, że posmutniała. Zburzono też jej ulubiony sklep muzyczny, a na jego miejscu wyrósł szkielet wysokościowca. Nie powinno jej to zdziwić, a jednak było jej przykro.

Zmieniała się nawet montrealska starówka. Otwarto nowe sklepy i restauracje dla turystów. Knajpki na wybrukowanych kocimi łbami uliczkach nadal kusily światelkami, ale to już nie to samo. Nie towarzyszyło jej wrażenie, że wróciła do domu, bo zbyt wiele zmieniło się od czasów jej dzieciństwa.

Tętniący życiem w lecie plac Jacques'a Cartiera był opustoszały o tej porze roku. Tylko jakiś zziębnięty uliczny muzyk grał na gitarze melodyjną balladę. Jak Jacob...

Jedno, co się nie zmieniło w Montrealu, to kłopoty z parkowaniem. Przez dobry kwadrans szukała wolnego miejsca, zanim udało jej się coś znaleźć. Fronton księgarni „Cite de L’Ile” wyglądał tak jak zawsze. Na wystawie pięć książek -trzy nowości, jedna używana i jedno wznowione wydanie - w tej samej co zawsze konfiguracji. Jako nastolatka, szczerze niena-

widziała tego miejsca. Czemu więc nagle zapiekły ją oczy?

Pchnęła drzwi i usłyszała znajome dzwonki.

- *Maman?* - zawołała, stawiając torbę na podłodze.

- Celie! Nie wierzę własnym oczom! - Matka, drobna szatynka, z włosami upiętymi w szykowny kok, wybiegła z za lady i chwyciła ją w objęcia. - Czemu nie zadzwoniłaś?

I wtedy wreszcie, wśród zapachów papieru i kurzu, Celie poczuła, że jest w domu.

- To był impuls - odparła. - Mogę zostać na tydzień czy dwa?

- Oczywiście. - Matka zasepiła się nagle. - Czy wszystko w porządku?

Celie zaczerpnęła tchu i rozciągnęła usta w uśmiechu.

- Będzie dobrze.

- Co ty wyprawiasz? - zapytał Jacob, widząc, że Deke zatrzymuje traktor przy cysternach z sokiem. - Przecież zbiornik jest dopiero w trzech czwartych pełny.

- Jest już prawie pełny - odparł Deke, zeskakując energicznie na ziemię.

- Prawie?! Brakuje jeszcze czterystu litrów. Deke spojrzał na niego błagalnie.

- Muszę do kibla.

- Idź w krzaki.

- Nie o to mi chodzi.

- Nie chcę wiedzieć, o co ci chodzi. Idź, dopóki sok się przepompowuje, a potem wracaj jak najszybciej na stok. Niedługo zacznie się ściemniać.

Z niepokojem pomyślał, że Deke pracuje coraz gorzej. Jeżeli już po czterech dniach było z nim tak źle, to co będzie po

czterech tygodniach? Któregoś ranka po prostu nie przyjdzie. I co on wtedy zrobi? Gdzie znajdzie robotnika w sezonie?

Odwrócił się i pchnął drzwi cukrowni. Nie czas teraz o tym myśleć. Trzeba się skupić na gotowaniu soku, bo cały sok świata nie jest nic wart, jeżeli nie da się go przetworzyć w produkt na sprzedaż. Poza tym praca pozwoli mu zapomnieć o zmęczeniu... i o Celie. O jej zaraźliwym śmiechu, gładkiej skórze i pobladłej twarzy, kiedy mówiła: Żegnaj.

Zaklął. To śmieszne. Po co do tego wracać? Było, minęło, a życie toczy się dalej. Otworzył drzwiczki i zamieszał po grzebaczem w palenisku. Nagle usłyszał, że ktoś wchodzi do sklepu, a potem rozległy się znajome głosy. Zamknął z westchnieniem piec i podszedł przywitać się z braćmi.

- Ale ty wyglądasz! - Gabe klepnął go w plecy.

- Miałem ciężki tydzień - odparł, ściskając rękę Nicka. - Co was tu sprowadza?

Bracia spojrzeli po sobie.

- To był spontaniczny odruch - odparł Gabe.

- Telepatia - potwierdził Nick.

- Możecie powiedzieć, o co chodzi? - zirytował się Jacob. -

Przyjechaliście do mamy?

- Nie - odparł Nick. - Do ciebie.

- Po co?

- Żeby ci pomóc.

- Zamierzacie pomóc mi przy zbiorach soku?

- A przy czym innym? - zapytał Gabe.

- To wykluczone. Przecież obaj pracujecie.

- Kiedy spotkaliśmy się w Święto Dziękczynienia, mówiłem ci, że zarezerwuję sobie trochę czasu - przypomniał mu Nick.

- Ja powiedziałem ci to samo - dorzucił Gabe. - Będziesz miał teraz Nicka przez dwa tygodnie i mnie w weekendy, a potem mnie przez dwa kolejne tygodnie, a Nicka w weekendy. Przyjechalibyśmy wcześniej, gdybyśmy wiedzieli, że sytuacja jest tak rozpaczliwa, że musiałeś zatrudnić Dekea.

- Następnym razem zadzwoń, jak będziesz potrzebował pomocy. - Nick spojrzał na niego wymownie. - Jedziemy na jednym wózku, pamiętasz?

-Ja nie...

- Co nie?

- Myślałem, że tylko tak mówicie.

- Przecież jesteśmy braćmi - zirytował się Nick. - To rodzinna plantacja. Źródło utrzymania twoje i mamy. Jak mogłeś pomyśleć, że nie przyjechalibyśmy, żeby ci pomóc?

Jacob poczuł się nagle jak idiota.

- Czy to takie głupie? - zapytał rozzłoszczony. - Nie mieszkanie tu i każdy z was ma swoje życie. A ty, Nick, powinieneś się zająć przygotowaniem do ślubu.

- To już załatwione. Masz jakąś inną propozycję?

- Posłuchaj, nie zaczynaj...

- Ejże, chłopaki - wtrącił się Gabe. - Wiem, że wasze kłótnie są objawem braterskiej miłości, ale skupcie się raczej na soku. Bo o ile dobrze pamiętam, duże bąble to zły znak.

Bracia się roześmiali.

- Dobrze już, dobrze - powiedział Jacob. - Nieważne, co was tu przywiodło. Cieszę się, że jesteście, bo rozpaczliwie potrzebuję pomocy.

Celie szybko przestawiła się na życie w Montrealu. Niepełna tydzień wystarczył, żeby mogła jeździć po mieście bez mapy. Jednak większość czasu spędzała w księgarni.

- Gdzie znów zaniósł Margaux? - zapytała. Pomagała właśnie matce rozpakować nowe książki.

- Pojechała do Vancouver, by odwiedzić koleżankę. Zrobiłyśmy już remanent, a do letniego festiwalu zostało trochę czasu, więc postanowiła wykorzystać tę przerwę.

Celie świetnie pamiętała te ciągnące się do późnej nocy remanenty, podczas których dosłownie padały na nos.

- Przez ten sklep nigdy nie miałyśmy wakacji - powiedziała. - Kiedy dorastałam, nienawidziłam tego uwiązania.

Matka spojrzała na nią ze zdumieniem.

- Przecież jeździliśmy na wakacje do Toronto i nad Niagarę. A któregoś roku wynajęliśmy domek na Wyspie Księcia Edwarda. Musisz to pamiętać. To wtedy poparzyła cię meduza.

- Na Wyspie Księcia Edwarda? - powtórzyła Celie i nagle napłynęły blade wspomnienia słonecznych dni, piekącego bólu i determinacji, aby nie płakać.

- Pewnych rzeczy możesz nie pamiętać, bo byłaś za mała. Ojciec uważał, że trzeba czasami wyrwać się z księgarni.

- Miał rację. Nie znosiłam tego miejsca. Wszyscy znajomi gdzieś wychodzili, tylko ja tkwiłam wśród zakurzonych szpargałów. W każdy weekend każdego lata. To było okropne!

- Kiedy byłaś mała, lubiłaś siedzieć ze mną przy kasie. Miałaś swój stołeczek i książeczkę z obrazkami, i udawałaś, że czytasz. Nazywaliśmy cię naszą maskotką.

- Pamiętam. - Celie uśmiechnęła się.

- Czyli nie zawsze było aż tak źle?

- Nie - odparła Celie. - Wtedy nie. - Nagle księgarnia wydała się jej jedyną bezpieczną przystanią.

- Kiedy mi wreszcie powiesz, co cię tu sprowadza? - zapytała łagodnie matka.

Celie spojrzała na nią z rozpaczą. Przez tyle dni walczyła, by się nie rozkleić, aż opadła z sił.

- Och, mamó - zaczęła przez ściśnięte gardło - wszystko jest nie tak.

Przytuliła się do niej i nareszcie dała upust łzom.

- Nie odezwał się od tamtej pory? - zapytała matka, nalewając kawę w kuchni na piętrze.

- To cały Jacob - odparła Celie. - Nigdy nie zboczy z obranego kursu. - Napiecie, w jakim żyła od wielu dni, nareszcie opadło. Szkoda tylko, że wraz z nim nie ulotnił się smutek.

- Jakoś to przeżyjesz - zapewniła ją matka. - Zawsze byłaś dzielna. Jeszcze im wszystkim pokażesz! Pamiętasz tę meduzę? Byłaś wtedy małą dziewczynką, ale nawet nie zapłakałaś i chciałaś od razu wracać do wody. Zobaczysz, że teraz też tak będzie...

W tym momencie zadzwoniła komórka. Celie spojrzała na numer kierunkowy.

- Nie odbierzesz? - zapytała matka.

- Nie mam ochoty z nikim rozmawiać.

- A jeżeli to on?

- Z nim tym bardziej nie mam ochoty rozmawiać.

- Ale ja mam. Tu numer Celie Favreau. Aha. Chwileczkę.

Bob Ford - zwróciła się szeptem do Celie.

- Bob Ford?! - Celie wzięła od niej komórkę. - Cześć, Bob.

- Witaj, Celie. Miło usłyszeć twój głos.

- Twój też. Jak tam Marce?

- Płacze za tobą. A co u ciebie?

- Jestem w Montrealu, u rodziców.

- Bardzo mi przykro, że tak się stało.

- Nie ma o czym mówić, ja...

-Urwała.

- Posłuchaj, wiem, co przeżywasz. A tak między nami, uważam, że postąpiłaś słusznie.

Nawet nie wiedział, ile znaczyły dla niej te słowa. Ford mówił dalej:

- Nie wiem, jakie są twoje plany, ale chciałbym ci podrzucić pewien pomysł. Od ponad dziesięciu miesięcy mam wakat na stanowisku badawczym, a ponieważ nie udało mi się znaleźć nikogo odpowiedniego, zwlekałem, żywiąc nadzieję, że prędzej czy później pojawi się właściwy kandydat. Gdyby cię to interesowało, możesz od zaraz dostać u mnie tę pracę.

- Chcesz mnie zatrudnić w instytucie?

- Oczywiście, miałybyś mniejsze pole działania niż dotąd - zastrzegł się - ale za to całkowitą swobodę badań. Mogłabyś kontynuować prace nad tym swoim chrząszczem; nawiązać kontakty ze Stanowym Departamentem Leśnictwa. Wiem, wiem - uprzedził jej protest - ale Rumson będzie musiał odejść, bo jego koleś, gubernator, kończy wkrótce kadencję.

Jeszcze dwa tygodnie wcześniej byłoby to spełnieniem jej marzeń. A teraz?

- Bob... - Zaczerpnęła tchu. - Posłuchaj, doceniam twoją propozycję, ale...

- To ty mnie posłuchaj uważnie, dobrze? Wiem, że do tej pory prowadziłaś programy o zasięgu krajowym i globalnym, więc może to dla ciebie zbyt skromne pole do popisu. Niestety, twoja najbliższa przyszłość nie zapowiada się zbyt ciekawie. Po co masz się marnować, Celie, skoro proponuję ci inne wyjście?

Tak, to faktycznie jest jakieś wyjście, pomyślała. Mogłaby przyjąć tę pracę, zamiast dać się pogrzebać żywcem. Jednak w miasteczku takim jak Eastmont musiałaby ciągle wpadać

na Jacoba i słuchać o nim na każdym rogu. Czy zniosłaby to na dłuższą metę? Westchnęła ciężko.

- Bob, to wspaniała okazja, ale przed podjęciem decyzji muszę sama z sobą dojść do ładu.

- Rozumiem, ale proszę cię o jedno. Nie rób nic pochopnie. Mogę poczekać ze dwa miesiące. Pojedź więc tam, gdzie cię Gavin skierował, i popracuj przez kilka tygodni. Jeżeli się okaże, że możesz tam wytrzymać, przejdę do planu B. Ale jeżeli nie, tu zawsze znajdziesz dom.

Tak, tylko że Eastmont przestało już być jej domem. Zresztą, czy w ogóle miała jakiś dom?

Po osiemnastu godzinach pracy przy parowniku, około drugiej w nocy, Jacob opadał z sił. Wracał wtedy do domu i kładł się do łóżka. Sam...

Niekiedy udawało mu się przespać kamiennym snem aż do rana, częściej jednak budził się już po krótkim czasie. Kiedy spał, śniła mu się wyłącznie Celie, natomiast czas czuwania był ciągłą walką o to, by o niej zapomnieć.

Niestety, w tym momencie zaczynało mu już brakować sił. Dlatego też leżał teraz w łóżku, bombardowany wspomnieniami. Bliski obłądu, nie potrafił zrozumieć, jak mógł pozwolić Celie odejść.

Klnąc, zwał się z łóżka i zszedł na dół, wraz z zaspanym Murphym. Był zbyt zmęczony, żeby czytać, a w telewizji nie nadawano o tej porze programów rolniczych. Pozostawała mu tylko gitara, jego wierna towarzyszką. Dzięki niej zajmie ręce, a myśli będą mogły poszybować gdzie indziej.

Niestety, gdzie by nie poszybowały, wszędzie rozbijały się o Celie. Nie mógł skoncentrować się na grze, bo przed oczy-

ma wciąż miał twarz zasłuchanej Celie. Zaczął kolejno kilka piosenek, ale wciąż wracał do ballady z Appalachów, którą grał dla Celie. W końcu zniechęcony odstawił gitarę. Drzeмиący obok Murphy zaskomlał cicho.

- Wybacz, stary - powiedział Jacob.

Potrzebował Celie do życia jak powietrza i okazał się najgłupszym z głupców, bo pozwolił jej odejść. Postąpił jak tchórz, ponieważ wolał ją odtrącić, niż żyć w ciągłym strachu, że mogłaby go opuścić.

Coś zimnego trąciło go w rękę. Po chwili Murphy znów zaskowyczał.

- Wiem, stary - powiedział, drapiąc go za uszami. - Ja też za nią tęsknię... i zrobię wszystko, żeby do mnie wróciła.

Rozdział 18

Choć był już marzec, po niebie sunęły śniegowe chmury. Marce wyszła przed dom, zakładając grube rękawice. Ruszyła w stronę parkingu i nagle stanęła jak wryta. Na podjeździe zobaczyła zieloną ciężarówkę, z której wysiadał Jacob.

- Nie ma jej tu - rzuciła, przesywając go nienawistnym wzrokiem. - I nie radzę ci ze mną zaczynać, bo nie jestem twoją znajomą. - Minęła go i podeszła do swojego wozu.

- A mówią, że to ja jestem nieznośny. Marce odwróciła się, nie kryjąc złości.

- Owszem, kiedy zachowujesz się tak bez powodu. A ja mam powody. Celie jest moją najlepszą przyjaciółką. Od początku to wszystko mi się nie podobało, ale trzymałam język za zębami, bo Celie wydawała się szczęśliwa. Jednak po tym, jak ją potraktowałeś, kiedy Celie zdegradowano, nie będę dłużej milczeć. Jesteś największym draniem na...

- Co powiedziałaś?

- Jeszcze nic nie powiedziałam. Jesteś...

- O tej degradacji - przerwał jej ponownie Jacob. - Co się stało?

- Dobrze wiesz, co się stało. Gdybyś nie był...

Jacob podniósł ręce.

- Masz rację. Chętnie się z tobą umówię, żeby wysłuchać reszty, ale teraz muszę wiedzieć, co to za sprawa z Celie. Nazwij mnie osłem i przejdźmy do rzeczy.

- Zaszczepiła twoje drzewa, a Rumson na nią doniósł. Wobec tego odsunęli ją od programu i zdegradowali o kilka stopni. Nie miała prawa stosować środka bez atestu, mówiąc szczerze.

- Przecież Celie powiedziała mi, że dostała zielone światło już w styczniu!

- Tak, ale papiery utknęły pomiędzy urzędami. Z Agencją Ochrony Środowiska nie ma żartów. Bez pieczętki nie ma zgody na stosowanie. Koniec, kropka. Jeżeli jeszcze do ciebie nie dotarło, ile ryzykowała, to musisz mieć kurzy mózdzek. A może wolałeś nie wiedzieć, bo chodziło o twoje drzewa?

Rzeczywiście powinien był dokładnie wypytać Celie, jak sprawy stoją. Co prawda, miał mnóstwo rzeczy na głowie, ale to marne usprawiedliwienie.

- Poinformowała mnie, że przenoszą ją do Maryland, ale nie wyjaśniła dlaczego - powiedział Jacob. Musiała być załamana, pomyślał, a on tylko stał i nic nie mówił, a potem ją dręczył.

- Tylko dlatego jeszcze ma pracę, że bardzo trudno zwolnić kogoś z rządowej posady - ciągnęła Marce. - Po przymusowym urlopie dostanie biurko w suterenie.

- Jak to?

- O tym też nie wiesz? To o czym rozmawialiście, kiedy do ciebie przyszła?

- To sprawa pomiędzy mną a Celie - odrzekł stanowczo. - Gdzie ona jest?

- Niby dlaczego miałabym ci powiedzieć?

- To także sprawa pomiędzy mną a nią. Możesz sobie na mnie używać, ile wlezie, bo na to zasłużyłem. Chcę ją odnaleźć i przebłagać.

- Może ja nie wiem, gdzie ona jest.

- I tak ją znajdę, nawet gdybym musiał jechać do Marylandu i przeszukać kolejno wszystkie biura.

- Chciałabym to widzieć!

- Nie wątpię. Jeżeli jesteś przyjaciółką Celie, to powinno ci zależeć na tym, żebym ją przeprosił. Nawet jeżeli każe mi iść do diabła.

- Chciałabym to usłyszeć.

- Powiesz mi czy nie?

Jacob stał przed księgarnią „Cite de L’Ile” i zastanawiał się, czy Celie jest w środku. Przyjechał z Eastmont, licząc na to, że w trakcie ponad dwugodzinnej jazdy zdoła zebrać myśli, ale się pomylił. Pragnął jej powrotu ponad wszystko na świecie, były jednak pewne sporne kwestie, których nie sposób pominąć. Czy rozmowa o nich jeszcze bardziej ją od niego oddali? Tego nie wiedział, będzie jednak musiał poruszyć te tematy. Zgoda połowiczna, oparta na niedomówieniach, to przecież żadna zgoda.

Stał przed witryną, modląc się w duchu, żeby Celie tam była i zechciała dać mu jeszcze jedną szansę. W końcu zebrał się na odwagę, pchnął drzwi i wszedł do środka. W tym ciasnym pomieszczeniu, zapchanym książkami, od razu zaczął się dusić. Filigranowa szatynka o oczach Celie spojrzała na niego zza lady.

- W czym mogę pomóc?

- Szukam Celie.

- A po co?

Właśnie po co? Bo bez Celie jego świat jest niekompletny? Bo chce się dowiedzieć, dlaczego postawiła wszystko na jedną kartę, żeby go ratować? Bo jeszcze jeden dzień bez niej, a zwariuje?

- Chciałbym z nią porozmawiać.

- Nie jestem taka pewna, czy ona zechce z panem rozmawiać.

Nawet nie zapytał, skąd wiedziała, kim jest.

- Zaryzykuję.

- Wygląda pan na takiego. - Kobieta przyjrzała się mu, a potem skinęła głową. - Celie poszła na spacer do starego portu.

- Wskazała na okno. - Pójdzie pan prosto, ulicą Bonsecours.

- Czy ma na sobie czerwoną kurtkę?

- Niech pan modli się o to, jeżeli chce ją pan znaleźć.

Od rzeki Świętego Wawrzyńca duł lodowaty wiatr. Celie zawiązała mocniej chustkę i patrzyła, jak lodołamacz sunie środkiem kanału. Poranne spacerowanie po nabrzeżu stały się ostatnio jej zwyczajem. Dzięki nim miała okazję wyrwać się z księgarń, gdzie brakowało jej świeżego powietrza, i pobyć sam na sam ze swoimi myślami. Poza tym lubiła patrzeć na wpływające do portu statki lub zastanawiać się, dokąd wypływają. Myślała również o swojej przyszłości. Dni mijały nieubłaganie. Po najbliższym weekendzie będzie musiała pojechać do Marylandu i zgłosić się do pracy. O ile tam pojedzie.

Dopóki Bob Ford nie zadzwonił, gotowa była poddać się karze. Odzyskanie dawnej pozycji zajęłoby jej pewnie kilka lat, nie wątpiła jednak, że w końcu by jej się udało. A potem on wyskoczył nagle z propozycją i od tamtego dnia nie zaznała już ani chwili spokoju.

„Tu zawsze znajdziesz dom” - powiedział. Niestety, powrót nie wchodzi w rachubę. Eastmont to przecież nie tylko instytut, ale i miasto, więc prędzej czy później natknęłaby się na Molly Trask, a także na Jacoba.

Rozżalona pomyślała, że może wreszcie pora powiedzieć sobie „dosyć”. Może właśnie o to w tym wszystkim chodziło? Aby wreszcie dojrzała i zrozumiała, że życie to nie jest bajka?

Przypomniała sobie słowa matki: „Chciałaś zaraz wracać do wody”. Nie dopuści do tego, aby nieudany romans zniszczył jej życie i kazał odrzucić szansę, jaką dawał jej Bob Ford. Sięgnęła do kieszeni po komórkę. Co jej szkodzi zadzwonić do Boba i jeszcze raz o tym porozmawiać? A za tydzień czy dwa, kto wie...?

Nagle usłyszała za plecami kroki, a potem znajomy głos:
- Celie?

Stała na nabrzeżu i patrzyła na niego szeroko otwartymi oczami.

- Jacob?

Nie odpowiadał, tylko chłonał ją wzrokiem. W tej czerwonej kurtce, zarumieniona od chłodu, z włosami targanymi przez wiatr, była jeszcze piękniejsza niż w jego marzeniach.

- Co tu robisz? - zapytała w końcu.

- Szukam cię.

- Skąd wiedziałeś, gdzie jestem? Od Marce?

- Wpadłem do niej wczoraj. Odbiliśmy bardzo interesującą rozmowę. Wyzwała mnie od ostatnich, a ja się z nią zgodziłem. Jest bardzo lojalna wobec ciebie.

- To dobra przyjaciółka.

Jacob popatrzył na statek, wyrąbujący drogę na skutym lodem kanale. Jaka szkoda, że on z równą łatwością nie potrafi usunąć przeszkód, stojących im na drodze.

- Trzeba mi było powiedzieć.

- O czym...? - Spojrzała na niego. - Ach tak...

- Powinnaś była mi powiedzieć - powtórzył. -. O Żukolu, o degradacji.

- A gdybyś wiedział, pozwoliłbyś mi to zrobić?

- Nie zgodziłbym się na to, żebyś dla mnie ryzykowała utratę pracy.

Celie odwróciła się i popatrzyła na rzekę.

- A może zrobiłam to dla drzew?

- Ale to były moje drzewa. Dlaczego nie byłaś ze mną szczerą? Tego rodzaju decyzji nie podejmuje się w pojedynkę. A ty nie dałaś mi szansy. To nie fair.

Celie zachnęła się.

- Kim ty jesteś, żeby tak mówić?

- Facetem, który czuje się okropnie, bo zostałaś ukarana za to, że chciałaś mu pomóc. Idiotą, który cię zagadał, zamiast cię wysłuchać. Durniem, który roztkliwiał się nad sobą, gdy ty przechodziłaś piekło. Oto kim jestem.

- Sądzisz, że byłoby lepiej, gdybym ci powiedziała? Myślisz, że chciałabym, żebyś ze mną został z obowiązku albo z poczucia winy? - zapytała.

- Nie dlatego tu jestem. - Jacob zaczerpnął tchu. - Powinnaś była wyjawić mi, o co toczy się gra. Na tym polega związek. Człowiek dzieli się z partnerem wszystkim, także swoimi problemami.

Prychnęła pogardliwie.

- Sam to wymyśliłeś?

- Tak, sam - odparł gniewnym tonem. - Wiem, że nie je-

stem łatwy, ale się staram. Jeśli dwoje ludzi chce być razem, nie mogą mieć przed sobą tajemnic. Popełniłaś błąd. Zresztą, ja też, mówiąc szczerze.

Patrzyli na siebie przez chwilę, a potem Celie zapytała:

- Jaki?

Jacob zaśmiał się z goryczą.

- Założyłem z góry, że kiedyś znikniesz, więc gdy oznajmiłaś, że wyjeżdżasz, dostałem szału i przestałem cię słuchać. Nie mogłem znieść myśli, że mogłabyś mnie porzucić.

- Dlatego postanowiłeś uprzedzić cios?

- Na to wygląda, prawda? Powinienem być ci zaufać, a ja nie dałem ci żadnych szans.

- Nam, nie mnie - poprawiła go. - A przecież było nam cudownie.

- Było? - powtórzył strwożony.

Patrząc na odpływający lodołamacz, zaczęła mówić:

- Dużo myślałam przez ostatnie dwa tygodnie. Twierdzisz, że to nie poczucie winy lub obowiązku kazały ci tu przyjechać, ale są także inne powody. Powiem wprost: do tej pory za tobą goniłam. A kiedy cię dopadłam, znów zaczynałeś uciekać. Teraz przestałam cię ścigać. Czy dlatego tu jesteś? Bo jeżeli tak, to nie jest fundament pod przyszły związek; to patologia.

Jacob zmarszczył brwi.

- Nie dlatego tu jestem.

- Nie? To dlaczego? Przecież nie tak dawno temu nie mogłeś się doczekać, żeby się mnie pozbyć.

- Byłem idiotą. Ale i ja sporo myślałem przez te dwa tygodnie. - Nie mogę znaleźć słów, pomyślał w panice. Celie odejdzie, tym razem na zawsze. Poczuł, że się dusi. - Posłuchaj, niewiele wiem, ale jedno wiem na pewno: chcę, żebyś ze mną

była. - Odchrząknął, bo w gardle mu zaschło, - Jesteś mi potrzebna, gotów jestem błagać cię na klęczkach.

- Co powiedziałaś? - zapytała zdumiona Celie. Nagle słowa przyszły same:

- Kocham cię - wyznał. - Wiedziałem o tym od walentynek. Byłem idiotą i wszystko popsułem, ale się zmieniłem. Proszę cię, daj mi szansę. Potrzebuję cię, Celie. - Spojrzał na nią błagalnie. - Myślę, że i ty mnie potrzebujesz.

Sekundy mijały. Jacob czekał. Nerwy miał napięte jak struny. Nagle Celie rzuciła mu się w ramiona.

- Jesteś tego pewny?

- Bardziej niż czegokolwiek na tym świecie. - Serce biło mu tak mocno, że omal nie wyskoczyło z piersi.

- A ja stałam tu i mówiłam sobie, że widocznie nie było nam pisane, że muszę się z tym pogodzić. A tak naprawdę, odchodziłam od zmysłów... - Łzy popłynęły jej po policzkach. Cofnęła się i spojrzała na Jacoba. - Tak bardzo cię kocham. Kiedy się z tobą pożegnałam, myślałam, że serce mi pęknie.

Jacob pocałował Celie w czoło, a potem w usta.

- Przepraszam cię za wszystko, co musiałaś przeze mnie przecierpieć. - Przygarnął ją do siebie.

- Wspomniałeś, że uczucia gasną z czasem, ale nie nasze. Nie potrafię nawet wyobrazić sobie, że coś mogłoby między nami się zmienić.

- Myślę, że za rok nasze uczucia będą inne niż teraz, a jeszcze inne za pięć czy dziesięć lat. Może przyjdzie nam uczyć się siebie przez telefon czy Internet, ale nam się uda.

- To nie będzie konieczne!

- Jak to?

- Bob Ford zaproponował mi pracę. Właśnie miałam do niego dzwonić.

- Nie pojedziesz do Marylandu?

Pokręciła głową. Jacob chwycił Celie na ręce i obrócił się wokół własnej osi. Jego radosne okrzyki spłoszyły ptaki, które odleciały, spoglądając na nich z wyrzutem.

- To nie sen? Nie zamienisz się nagle w mewę i nie odleciez, zostawiając mnie skostniałego z zimna? A kiedy się obudzę, okaże się, że to kołdra ze mnie spadła, a reszta jest jak dawniej?

Celie słuchała go z uśmiechem, a kiedy skończył, powiedziała:

- Nie wiem, ale mogę cię uszczypnąć albo zrobić coś takiego. - Wspięła się na palce i lekko ugryzła go w szyję.

-Aj!

- Czy wyglądam jak mewą?

-Nie.

- Wobec tego to nie jest sen.

- Mimo wszystko lepiej się upewnić - uznał Jacob, po czym wziął Celie w ramiona i obdarzył ją namiętym pocałunkiem.